

ROZMOWA „DO RZECZY”

Mentzen o zadyszcze Konfederacji
i powyborczych scenariuszach



TYGODNIK LISICKIEGO

NR 37/544 11-17 WRZEŚNIA 2023
CENA 9,90 Zł (W TYM 8% VAT)

DO RZECZY

Rozprawa Ziemkiewicza
z mecenasem Giertychem

**ALFABET KRZYSZTOFA
MASŁONIA:** GIEDROYC,
HERLING-GRUDZIŃSKI,
HEŁAK, KONWICKI,
MIŁOSZ I INNI



Jak duże poparcie ma dziś
na Ukrainie prezydent Zelenski



ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829



Nakład: 52 000 egzemplarzy

Marszałek Edward Śmigły-Rydz

ODROBIONA LEKCJA HISTORII?

Czego uczy nas Wrzesień '39

TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

KONFERENCJA

„Prawna obrona przed polonofobią” już w październiku!

KŁAMCY PRZED SĄDEM

Jak Polacy bronią dobrego imienia swojego narodu

SKUTECZNA POLITYKA HISTORYCZNA

Czego Polska może się nauczyć m.in. od Izraela

MANIPULACJE, KŁAMSTWA I POMÓWIENIA

Jak działają środowiska wrogie Polsce

EDUKACJA I WALKA O PRAWDĘ HISTORYCZNĄ NA TEMAT II WOJNY ŚWIATOWEJ



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Sadyści szaleją na Podlasiu i w tym kraju

Myślałem, że po tym, jak nasza noblistka ogłosiła, że 800 mln Hindusów nie je mięsa, a mimo to wyładowali na Księżycu, nic nie będzie mnie w stanie poruszyć. Tak, byłem pewny, że w kategoriach groteski wypowiedź Olgi Tokarczuk jest nie do przebicia, bo Hindusi po pierwsze jedzą mięso, po drugie ci, którzy go nie jedzą, robią to często z powodu biedy, a po trzecie, to nie oni wyładowali na Księżycu, tylko łazik. Zakładam zresztą, że wcześniejszy amerykański kosmonauta, Neil Armstrong, który w 1969 r. postawił stopę na Księżycu, zjadał się hamburgerami i stekami. Co z tego jednak, u licha, wynika?

Byłem więc przekonany, że – co się tyczy bigosu w głowie – polska autorka, głosząca swe mądrości na Campusie Rafała Trzaskowskiego, nie znajdzie sobie równych. Aż się prosiło, żeby wyróżnić ją i wskazać jako tę pisarkę, której wypowiedzi najdoskonalej pasują do podanej niegdyś w jednym z seriali definicji: „Gdyby głupota miała skrzydła, pani fruwałaby jak gołębnica”. I kiedy tak wyobrażałem już sobie fruującą radośnie noblistkę, okazało się, że popełniłem błąd. Wyżej od niej na skrzydłach wzbiła się inna artystka, reżyserka i aktywistka, Agnieszka Holland.

Otóż – jak wynika z całej serii wywiadów, których zdążyła udzielić prześladowana przez PiS (tak sama mówi o sobie) Holland – poświęcony migrantom z Białorusi film „Zielona granica” musiała pokazać teraz, bo inaczej zniszczyłby go PiS. Jeszcze ciekawiej robi się, gdy reżyserka próbuje wytłumaczyć, dlaczego w ogóle rząd postanowił wybudować ogrodzenie na granicy z Białorusią i dlaczego polskie służby – Straż

Graniczna, policja czy wojsko – starają się nie wpuszczać wysyłanych przez Łukaszenkę migrantów. Otóż okazuje się, że chodziło o to, by służby te nauczyć... okrucieństwa. Oczywiście nie tak w ogóle i wobec wszystkich, ale w szczególności i konkretnie: „PiS [...] chciało budować poczucie zagrożenia. I testować, czy służby zrobią to, czego władza od nich oczekuje”.

W tym momencie rezolutna dziennikarka „Newsweeka” zadaje kluczowe pytanie: „Przygotować je [służby] do rozwiązań siłowych na wypadek utraty władzy?”. I uzyskuje tak potrzebną odpowiedź reżyserki, z której to wynika, że „władza w Polsce wypróbowała, że może wyłączyć spod prawa dużą część kraju, ludzie pozwolili zamknąć się w zonie”, a służb mundurowych zapewne „pozbawiono odruchów empatyczno-humanitarnych”.

Pięknie. Teraz już wszystko jasne. PiS wcale nie stara się ograniczyć napływu migrantów z Białorusi, bo w to mu graj. Straszy Polaków i ćwiczy wojsko w okrucieństwie po to, żeby pozbawieni ludzkich odruchów strażnicy skoczyli do gardeł zwyciężskiej opozycji, kiedy to PiS przegra wybory (to wydaje się poza wszelką dyskusję). W ten sposób PiS szkoli przestępców w mundurach. To prawda, Holland dostrzega „dobrych” strażników, którzy uciekają na emeryturę lub wstydzą się tego, co robią, ale „część to sadyści, którzy dostali upragnioną zabawkę – przyzwolenie na rasową nienawiść i okrucieństwo [...]”.

Nie da się ukryć, skojarzenia prowadzą nas – tak Holland, jak jej rozmówczyni, bo to wątek obecny we wszystkich wywiadach – ku Holokaustowi, który tym razem może zgotować PiS. Strażnicy

w opowieściach Holland do złudzenia przypominają obsługę obozów koncentracyjnych. Zresztą nie tylko strażnicy. Całe polskie społeczeństwo, można odnieść wrażenie, skażone jest złem i nienawiścią, bo Polacy nie przepracowali Holokaustu – cokolwiek by to znaczyło. A już na pewno ludność Podlasia, która teraz wyróżnia się wrogością wobec migrantów, tak jak ich przodkowie wobec Żydów. „Myślę, że obudziła się w nas ta trauma nigdy w Polsce niezafałszowana, ta trauma holokaustowa. Przecież tam, niedaleko, był Sobibór; obóz śmierci, w którym doszło do buntu. Kilkuset więźniom udało się uciec i wszyscy właściwie zginęli przy pomocy miejscowej ludności. Tam się jedno nakłada na drugie”.

Nic dziwnego, że – jak wieszczy Holland – za 20 lat ci, którzy sprzeciwiają się obronie polskich granic, zostaną... Sprawiedliwymi wśród Narodów Świata, dokładnie jak ci, którzy ze szponów Niemców i Polaków (bo przecież rację miała Barbara Engelking, Holokaust to była wspólna zbrodnia) ratowali Żydów.

Wszystko to pani Holland mówi... ostrożnie, bo wie, do czego jest zdolna „cała ta brunatna hołota, która nami rządzi”. Nie może jednak milczeć, bo troszczy się o ludzkość i widzi, że polski nacjonalizm może obudzić demony w Niemczech. Na tym mrocznym niebie polskiego antysemityzmu i okrucieństwa pojawia się jednak niekiedy wąty promyk nadziei. Oto i on: „Piękna twarz freaków, psycholożki, niebinarnej osoby. To są współcześni sprawiedliwi”.

Naprawdę Agnieszka Holland dorzuciła do pieca. Co na to powie Olga Tokarczuk? Czekam z utęsknieniem. ©

TEMAT TYGODNIA

16 JAN FIEDORCZUK

GORĄCE GŁOWY '39

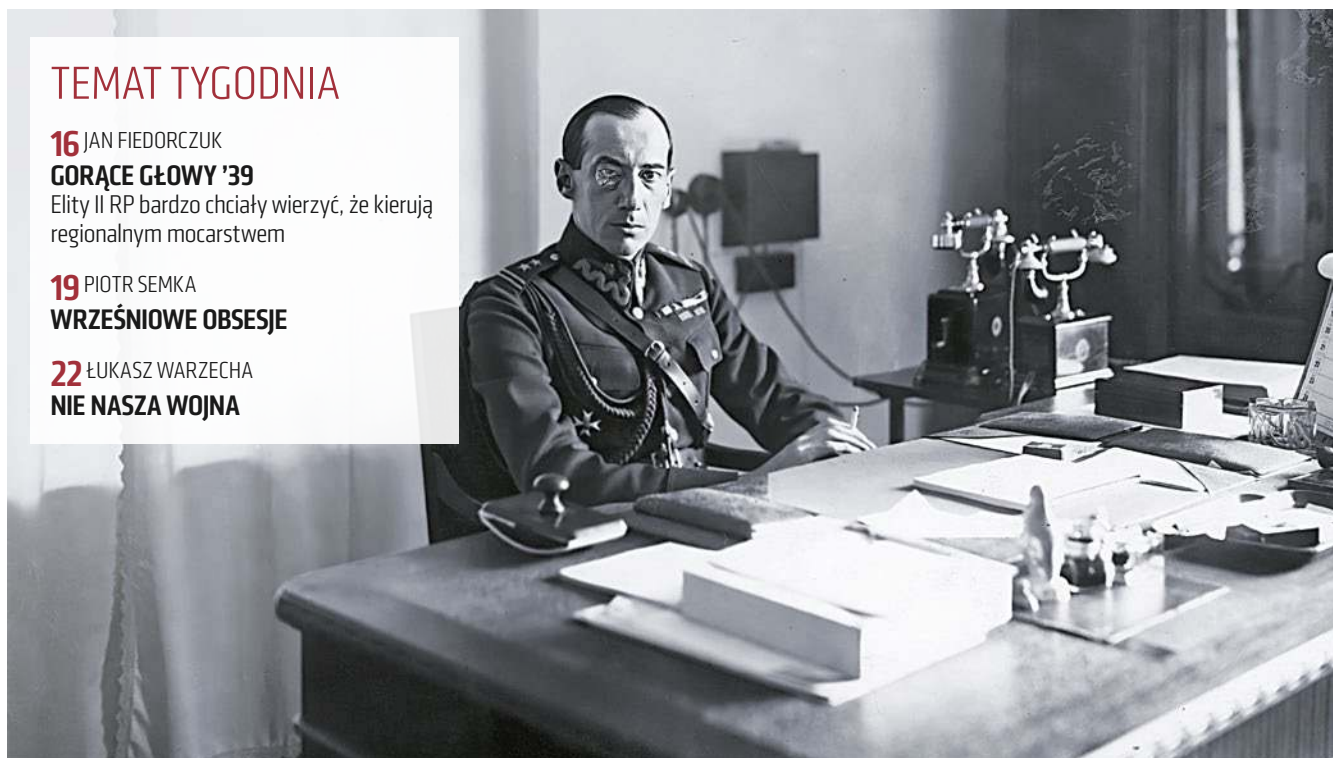
Elity II RP bardzo chciały wierzyć, że kierują regionalnym mocarstwem

19 PIOTR SEMKA

WRZEŚNIOWE OBSESJE

22 ŁUKASZ WARZECHA

NIE NASZA WOJNA



KRAJ

26 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

GIERTYCH TRAGICZNY

Opozycja znacznie lepiej by wyszła na tym, gdyby Tusk, zamiast brać Giertycha na listę wyborczą, posłuchał swego czasu jego rad

29 ROZMOWA Z LIDEREM KONFEDERACJI

MENTZEN NA ŻYWO

32 ANDRZEJ KRZYSTYNIAK

UKRYWANIE POLSKOŚCI

34 TOMASZ ROWIŃSKI

Z OKRZYKIEM DO SEJMU

KULTURA

36 LUDZIE KULTURY W OCZACH KRYTYKA

ALFABET KRZYSZTOFA MASŁONIA

40 PIOTR GOCIEK

W IMIĘ OFIAR

NIE PRZEGAP

42 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

48 JERZY KARWELIS, MARIUSZ JAGÓRA

BIZNESPLAN ZARAŻY MEDIÓW

Aby zobaczyć, jak działają media, trzeba zacząć od czasów przedcovidowych, gdyż wirus zastał media w momencie nieciekawej transformacji, którą tylko przyspieszył

51 PAWEŁ CHMIELEWSKI

WATYKAN MIĘDZY ROSJĄ A CHINAMI

HISTORIA

54 PIOTR SEMKA

„PIĘKNY WISIELEC”

Relacja z wystawy ku czci hrabiego Gyuli Andrassyego – austro-węgierskiego męża stanu

ŚWIAT

58 MACIEJ PIECZYŃSKI

JAK DUŻE POPARCIE NA UKRAINIE MA ZEŁENSKI

Prezydent spacyfikował oligarchów, ocenzurował telewizję i sprawił, że opozycja boi się wyborów

62 PIOTR WŁOCZYK

NIE WYRZUCĄ NAS Z DOMU

EKONOMIA

68 JAKUB WOZINSKI

KONSUMENT NA KULTUROWEJ WOJNIE

Klienci odrzucają dyktat LGBT

SPORT

74 ŁUKASZ ZBORALSKI

DETRONIZACJA

Iga Świątek przestała być numerem jeden kobiecego tenisa

ADRES: Tygodnik DO RZECZY

 Batory Office Building II
 Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
 e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
 Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**
KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Godiek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojanczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski,
Wiesław Chelminiak, Dominika Cośic (Buksele),
Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czarniecki,
Wojciech Golonka, Ryszard Gromadziński, Piotr Gursztyn, Marek Jurek,
Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalcuk (Rzym),
Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzak,
Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta,
Błażej Toralski, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieromiejczyk,
Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert
PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska,**
Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk,
Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sierkowski, Łukasz Zygańdo
STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedziółko** (kierownik studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład),
Jacek Nadratowski (obrobka zdjęć)
 Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
 Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska,**
Agata Błaszczak-Stefaniak
RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
 Okładka: **Biblioteka Narodowa**
WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.
 Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

 Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
 Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

 Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

 Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
MARKETING: **Piotr Pech** tel.: +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmppg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
 prenumerata@pmppg.pl, tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek**, tel.: 508 040 664,
 pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829, Nakład 52 000 egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

 Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
 ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA: Prenumerata realizowana przez **RUCH SA:**

 Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
 składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

 e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
 Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
 w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

 Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
 niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adjustacji
 tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
 autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
 materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

 © © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
 autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
 artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
 materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Naiwna wiara w ludzką wszechmoc

Szanowna Redakcjo,
 z zainteresowaniem przeczytałem w 35. numerze „Do Rzeczy” artykuły poświęcone tzw. zmianom klimatycznym, ich przyczynom i przekonaniu światowych fanatyków-propagandzistów o decydującej roli człowieka we wszelkich tego typu zjawiskach klimatycznych na Ziemi.

Nie jestem klimatologiem, jednak interesuję się historią, zwłaszcza Europy. Z dostępnych, cytowanych w wielu książkach zapisów kronikarskich (np. „Świt królestw”, D. Jones, wyd. Znak Horyzont) wynika, że od ok. IX w. na naszym kontynencie doszło do znacznego podwyższenia średnich rocznych temperatur. Ocieplenie sięgało daleko na północ kontynentu i było tak znaczne, że umożliwiał tam uprawę winorośli i przyczyniło się do rozwoju rolnictwa i hodowli

wielu dziełach holenderskich mistrzów pędzla. Nastąpił okres zwany „małą epoką lodowcową”.

Od połowy XIX w. następuje ponownie wzrost temperatur i ocieplenie, które trwa do dzisiaj.

Skoro człowiek jest głównym motorem zmian pogodowych, to czy ludzie odpowiadają także za wczesnośredniowieczne optimum klimatyczne? Albo za małą epokę lodowcową? Bo skoro za ocieplenie, to i za ochłodzenie! Tym, którzy tak uważają, można pogratulować tylko swoistego zadufania w ludzką wszechmoc i sprawczość. I parafrazując, podsumować, że są dziwy na niebie i ziemi, o których wam się nie śniło.

Z poważaniem
Leszek Sebesta

**„Przebac mi, smutna Bratysława...”,
 Grzegorz Majchrzak, „DRz” nr 34/2023**

Panie Grzegorzu, Karel Kryl nagrał „Braciszka” jeszcze w 1969 r. (płyta: „Bratříčku zavírej vrátka”), a Pani Antonina Krzysztos (nieustające pozdrowienia – Tosiu!) śpiewała polską wersję z końcem lat 80. kaseta „Pieśni, piosnki, piosneczki” oficyny CDN.

Pozdrawiam z Toronto

Od autora

Chciałem serdecznie podziękować za sprostowanie. Oczywiście oryginalny utwór pochodzi z roku 1969. Mój błąd się pojawił, kiedy poprawiałem datowanie wersji polskiej. Z tego, co pamiętam, w wykonaniu Pani Antoniny Krzysztos słyszałem ją osobiście w latach 80., ale na płycie pojawiła się – o ile mi się udało ustalić – w latach 90.

Pozdrawiam serdecznie
Grzegorz Majchrzak

Sprostowanie

W numerze 35. „Do Rzeczy” w informacji dotyczącej stawienia się w areszcie Donalda Trumpa napisałem, że przyszedł do budynku w Fulton w stanie Atlanta. Oczywiście chodziło o stan Georgia. Za pomyłkę przepraszam. **Łukasz Zboralski**



65712 Topa 8 @ Lech Kowalski

w całej Europie. Trwało ok. 500 lat, następnie od początku XIV w. doszło do gwałtownego załamania pogody. Wszędzie następowały wielotygodniowe okresy deszczu, intensywne i śnieżne zimy, chłodne lata. Doprowadziło to do klęsk głodu i chorób. Zamarzał Bałtyk, a także Tamiza i nawet Bosfor. Śnieżne krajobrazy obserwować możemy na

NA PIERWSZY OGIEŃ

Ślepa miłość wieku dojrzałego



PIOTR SEMKA

Ponoć nie ma nic gorszego niż późne zakochanie się. Wiele filmów nakręcono na temat osób wydawałoby się w pełni życiowo doświadczonych, które nagle tracą cały rozsądek i mądrość życiową, gdy znajdują obiekt namiętności.

Ta metafora dobrze pasuje do „Gazety Wyborczej”, która w tym roku skończyła 34 lata. Od samego początku miała za ambicje kreowanie polityki, a nie jej opisywanie. Wykreowała powstanie Unii Demokratycznej, była akuszerem powstania Komitetu Obrony Demokracji. To pozwalało udawać, że nie jest związana z żadną partią. Faktycznie niekiedy tak było, bo to „Wyborcza” kreowała partie, a nie na odwrót. Tyle że przez długie lata za tą namiętnością do sprawstwa w polityce stała zazwyczaj bardzo realistyczna kalkulacja polityczna.

I oto w tym roku jakoś ta cecha pisma Adama Michnika nagle wyparowała. Trzydziestoczteroletnia „Wyborcza” zakochała się niczym prostolinijna pensjonarka w Donaldzie Tusku. Gdy „król Europy” zwlekał z powrotem z Brukseli,

jej publiczności przyznawali się na łamach, że o powrocie ukochanego śnią po nocach.

Sen się spełnił. Znany gdańszczanin wrócił do Polski. Tyle że już półtora roku temu było jasne, iż Tusk nie ma ochoty na żadne porozumienie wokół wspólnej listy, tylko chce podporządkować sobie polityków opozycji. Gdyby „Wyborcza” potrafiła zachować do Tuska racjonalny stosunek, rozpoczęłaby kampanię publicystyczną wzywającą go do poważnego traktowania Trzeciej Drogi i Lewicy. Do ustalenia jakiegoś minimum programowego w kwestii przyszłego rządu.

Dziennik zaczął jednak występować w roli tuskowego naganiacza, który poucza resztę opozycji, że ta przeszkadza w budowaniu jednej listy Wielkiemu Donaldowi. Do wspólnej listy nie doszło, a wielu publicystów sympatyzujących z opozycją zaczyna dziś obawiać się, że jeśli Trzecia Droga nie przekroczy progu wyborczego, to zmarnowane głosy wzmocnią siłę PiS.

Co robi w tej sytuacji „Wyborcza” prawie miesiąc przed wyborami? Ogłasza: „W sztabie le-

wicy konsternacja: z niezależnych badań wynika, że nie wchodzi do Sejmu”. I odkrywa, że Lewica ma same wady. Wśród liderów nie ma kobiet, Czarzasty ciągle kojarzy się z politycznym cynizmem, w dodatku ugrupowanie ma fatalne hasło wyborcze – „Mam serce po lewej”, które, jak kpi dziennik, mogłoby reklamować kongres kardiologów.

Dla polityków takie teksty to pocałunek śmierci. Owszem, Tusk jest zainteresowany, by „Wyborcza” odgrywała rolę jego bezpłatnej agencji propagandowej. Tylko dlaczego gazeta to robi? Dlaczego spokojnie patrzy na możliwą sytuację, w której zarówno Lewica, jak i Trzecia Droga nie przekroczy progu wyborczego? Ano dlatego, że gazeta postawiła wyłącznie na Tuska i jest przekonana, że ten na pewno wygra zdecydowanie z PiS. Problem w tym, że nie jest to wcale takie oczywiste.

Kiedyś „Wyborcza” raziła swoim cynizmem, ale w polityce myślała niekiedy o wiele bardziej precyzyjnie niż sami politycy. Dzisiaj zaczyna ulegać swoim emocjom i ślepej miłości. Ciekawa ewolucja. ©©

STOPY PROCENTOWE OSTRO W DÓŁ

Rada Polityki Pieniężnej ogłosiła w ubiegłą środę zaskakująco dobrą wiadomość dla kredytobiorców złotych. Wszystkie stopy procentowe zostały obniżone aż o 0,75 punktu procentowego (stopa referencyjna do 6 proc. w skali roku). Skala obniżki stóp zaskoczyła ekonomistów, była bowiem trzykrotnie mocniejsza niż oczekiwał rynek. I to mimo wciąż wysokiej inflacji, która w sierpniu – według wstępnych danych GUS – wynosiła 10,1 proc. Po decyzji RPP złoty osłabł się gwałtownie wobec głównych walut. (jap)



Jesteśmy jednym z największych producentów szczepionek na świecie

Nasze portfolio obejmuje innowacyjne szczepionki przeciw półpaścowi, RSV i meningokokom typu B, a także ponad 20 szczepionek od lat stosowanych w profilaktyce:

- krztuśca, tężca i błonicy u dzieci i dorosłych
- odry, świnki i różyczki
- WZW typu A i B
- WZW typu B u osób dializowanych
- inwazyjnej choroby meningokokowej (meningokoki typu B i ACWY)
- zakażeń pneumokokowych u dzieci
- zakażeń rotawirusowych
- zakażeń Haemophilus influenzae typu b
- zakażeń wirusem brodawczaka ludzkiego (HPV)
- ospy wietrznej
- grypy
- polio
- malarii

Jesteśmy wynalazcą platformy systemów adjuwantowych stosowanych w szczepionkach przeciwpandemicznych COVID-19, a także szczepionkach przeciwko HPV, WZW typu B, RSV i półpaścowi.

Każdego roku dostarczamy pacjentom w Polsce prawie 3 miliony dawek szczepionek zabezpieczając zdrowie osób w każdym wieku – niemowląt, dzieci i młodzieży, osób dorosłych oraz seniorów.

20+

szczepionek
w portfolio

~3 mln

dawek dostarczanych
każdego roku dla polskich
pacjentów

4 na 10

dzieci na świecie otrzymuje
każdego roku szczepionkę
GSK

~2 mln

dawek dostarczanych
codziennie pacjentom
na całym świecie

Źródło: na podstawie raportu „GSK w Polsce. Innowacyjna firma biofarmaceutyczna. PARTNER POLSKIEJ GOSPODARKI”, sierpień 2022

Sierpień 2023, SUPP-2302513



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Moralne napuszenie

Film jest najważniejszą ze sztuk – dzięki „Misiowi” Barei wiedzą to nie tylko czytelnicy dzieł Lenina, lecz także masowa widownia. Szczególnie wie o tym – i szczególnie w to wierzy – lewicowo-liberalna opozycja, która już kilkakrotnie właśnie w wejściu na ekrany filmu upatrywała upragnionego „gejmczendżera”, momentu, który odwróci pasmo klęsk w starciu ze zniechodowanym Kaczyńskim. Miał być takim „gejmczendżerem” film Smarzowskiego o klerze, dokument Sekielskich o pedofilach w sutannach, a nawet sprotkrowana przez Patryka Vegę wersja „Ucha prezesa” dla, powiedzmy, nieprzesadnie inteligentnych. Te nadzieje zawiodły.

A teraz, kiedy wszystko wskazuje na to, że wiara w „film, który wygra wybory”, wreszcie się spełnia – salony jakby tego nie dostrzegają. Nic dziwnego, bo film Agnieszki Holland wygrywa wybory, ale dla PiS. A raczej nie tyle sam film je wygrywa, ile stworzenie jego premierą okazji dla wrogich PiS „liderów opinii”, by się po raz kolejny moralnie napuszyć i nabzdyczyć na Polaków, że są podli, bo w przeciwieństwie do oświeconych salonów nie chcą w brodatych bandytach z drugiego końca świata, atakujących Polskę i polskich funkcjonariuszy na rozkaz Łukaszenki i Putina, widzieć uciekających przed wojną bezbronnym kobiet i dzieci, które najwyższy moralny obowiązek każe wpuścić i przytulić.

O samym filmie piszą inni. Dla mnie fenomenem jest to, jak bardzo lewicowo-liberalne urojenie wyśzościowe wyjadło tzw. elitom mózgi, tak że dla napuszenia się swą moralną wyśzością gotowe są zaprzepaścić nawet wymarzone „odsunięcie PiS od władzy” i zapomnieć o „rozliczeniach”. Nawet półanalfabeta rozumie, że stawianie miesiąca przed wyborami w centrum uwagi właśnie tej sprawy, w której opozycja najbardziej mija się z nastrojami społecznymi, to nóż w plecy i tak „robiącej bokami” PO. A „intelektualiści” nie rozumieją. Wystarczyło hasło: „Brońmy Holland przed nienawiścią PiS-owskiego ciemnogrodu!” – i już wszystkie „autorytety” opozycji murem i chórem pracują na jeszcze lepszy wynik PiS. ©©



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Cena tożsamości

Są słowa, które niszczą i wykluczają. Niekiedy służą jedynie wypychaniu zwalczanych osób czy środowisk na margines, kiedy indziej – wykluczeniu totalnemu i zwyczajnej przemocy. Nie wiem, czy Tomasz Terlikowski, kwalifikując jako „sektę” wspólnotę Maximilianum, zdawał sobie sprawę z efektów swego publicystycznego zajazdu. Jego efekty już są dewastujące. To nie tylko dręczenie wspólnoty ks. Łukasza Kadzińskiego, drony dziennikarskie latające nad ich domami, publiczna stygmatyzacja, lecz także najzwyczajniejszy strach. Strach rodziców o własne dzieci, o to, czy nie zostaną zabrane.

Dla porządku wyjaśnijmy, jakie są znamiona owej „sekty Terlikowskiego”: to wielodzietność, wychowanie domowe dzieci, życie w kręgu przyjaciół i praktyka tradycyjnej katolickiej pobożności. No i... zaangażowanie rodziców w harcerstwo, do którego dzieci należą.

Całe lata temu byłem ze wspólnotą ks. Kadzińskiego na Mszy, którą ksiądz odprawiał w Niedzielę Palmową w Łomiankach. Palmowej procesji towarzyszył tradycyjny śpiew przy lekkim akompaniamencie bębenków. Wśród wiernych sporo było mam swobodnie trzymających dzieci na rękach. Patrząc na nich, powiedziałem do żony, że wyglądają pięknie, jak jakieś skrzyżowanie dzieci kwiatów i Opus

Dei. I chyba tylko dwie procesje poruszyły mnie tak mocno jakimś pierwotnym (duchowym, nie rekonstrukcyjnym) autentyzmem: w Rzymie, też w Niedzielę Palmową, z Benedyktem XVI otoczonym przez kardynałów niosących gałązki palm, i filmowa, Drogi Krzyżowej w „Pasji” Mela Gibsona.

Benedykt XVI wzywał, byśmy potrafili być kreatywną mniejszością, pokazać katolicyzm jako inny sposób życia, jako – w pozytywnym sensie słowa, którym papież się posłużył – kontrkulturę. Idee jednak mają konsekwencje i cenę. To straszne, że w teoretycznie wolnym społeczeństwie taką ceną bywa strach. Tę cenę za wybór „opcji Benedykta” płaci Maximilianum. ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O zwyrodnialcach

Ostrzegam, że nie jest to felieton dla wrażliwych. Może wywołać wzburzenie, nienawiść i gwałtowną reakcję organizmu. Wszystkie włoskie media obiegała makabryczna wieść, ilustrowana porażającym filmikiem. Dwanaścioro młodych ludzi (17–22 lata) z trzech leżących koło siebie miasteczek w Lacjum wynajęło mały ośrodek agroturystyczny w Anagni na potrzeby przyjęcia urodzinowego. Pupilką i atrakcją agrowilli była kilkumiesięczna kózka. Przyzwyczajona do pieszczoł gospodarzy i turystów miała do ludzi bezgraniczne zaufanie. I przypląciła je życiem.

Świętująca młodzież poczuła nagłą, nieodpartą potrzebę zaistnienia na YouTube, na Instagramie i TikToku. W pustych,

chorych i pijanych łbach narodziła się idea zrobienia filmiku z zabijania kózki. Jeden zabijał zwierzę kopniakami w głowę, drugi filmował telefonem, a reszta pośród rechotów zachęcała: „Dawaj! Jeszcze raz! Mocniej!”. Potem włożyli martwe zwierzątko na wózek i zrzucili z wysokiego tarasu. Filmik natychmiast trafił do sieci. Co przerażające, błyskawicznie pojawiły się pod nim setki lajków i wesołych, pochwalnych komentarzy.

Gospodarz ośrodka zgłosił sprawę na policję, a reszta dokonał ogromny rezonans medialny. Pierwsze informacje pojawiły się 2 września, a następnego dnia policja wytropiła wszystkich uczestników makabrycznych urodzin i rozpoczęła przesłuchania. Mama nieletniego

sadysty, który kózkę kopał w mały łeppek, rozesłała do mediów absurdalny list i udzieliła wywiadu „La Repubblica”, tłumacząc, że młodzieniec jest niewinny, bo kopał zwierzątko, które już było w agonii. Potem zmieniła wersję, twierdząc, że kózka była już martwa, czyli że zabili ją inni, więc nie ma się o co jej synka czepiać. W tym czasie ktoś opublikował zdjęcia wszystkich zwyrodnialców, podając ich tożsamość i adresy. Mamusia poskarżyła się, że synek nie może teraz spać ani jeść i boi się wyjść z domu, bo mu wszyscy dokuczają.

Odpowiedź na pytanie, kto tych dwanaścioro kretynów i kretynek chował, jest bardzo prosta: Internet. ©©

Autorem jest korespondentem Polskiego Radia.



ZUZANNA
DĄBROWSKA

GWIAZDOBZDUR

CHAJZER PALI MOSTY

„Dziś zostałem wezwany »na dywanik« w TVN” – poinformował niedawno Filip Chajzer. Tak, efekt owego zawezwania jest dokładnie taki, jak się państwo spodziewają – Fifiego zwolniono. „Powodem jest moja »działalność uliczna«. Moja sonda z Panią opiekującą się mężem chorym na stwardnienie rozsiane, którą mieliście przyjemność oglądać na moich prywatnych social mediach, oraz planowana jedna w tygodniu audycja w Radiu ZET zostały uznane za działalność konkurencyjną



i złamanie zapisów umowy” – przekazał były już gospodarz „Dzień dobry TVN”. Najwidoczniej Chajzer nie był wcale tak szczęśliwy w roli prezentera śniadaniówki, jak mógł się wydawać. Przyznał bowiem, że był „zakładnikiem pracy”, w której... „był robiony w ciula”. „Wrzesień to zmiana. Zmiany są dobre. Często na pytanie – »co u Ciebie« mówimy – »a, stara bida«. Asekurancki SZIT. Stara okiełznana »bida« wydaje się lepsza od ewentualnej nowej

nieznanej. Pozorna strefa komfortu. Stażesz się zakładnikiem w swoim własnym życiu. Zakładnikiem toksycznego związku, niszczącej relacji z pseudoprzyjacielem, pracy, w której Cię nie szanują i robią w... ciula, zakładnikiem; nałogu, tradycji, schematu, itd., itd... I tak trwasz w tym mroku, czekając, aż przyjdzie jakiś mistyczny oddział antyterrorystyczny i uwolni Cię z własnej niewoli” – filozofuje w instagramowym wpisie. Czyli jednak ten cały TVN nie taki wspaniały, jak go malują? Po prostu szok.

PRZYŁAPANA

Kto? Maja Bohosiewicz. Na czym? Na zajmowaniu listu warszawskich „gastro-śniadaniowców”. Spieszę z wyjaśnieniem. Instagramerka Magda Staszewska („The Travelling Onion”) przyłapała Bohosiewicz na tym, jak kropka w kropkę udostępniła w sieci przygotowany przez nią przewodnik i to bez podania autora. „Jest mi strasznie przykro, bo wystarczyło wstawić moją rolę albo oznaczyć autora treści, bo poświęciłam trochę czasu i pieniędzy na stworzenie tych gastroprzewodników po Polsce” – napisała influencerka, stwierdzając, że Maja po prostu bezceremonialnie skopiowała jej ciężką pracę. „Po raz kolejny moja własność intelektualna została skradziona przez innego dużego twórcę. To jest 1:1 skopiowana moja praca. Wydałam w czerwcu trochę pieniędzy na przetestowanie wielu miejsc i zrobienie materiałów [...]. Poświęciłam kilka godzin na spisanie tego, wyselekcjonowanie i przygotowanie materiałów” – wyjaśnia Staszewska. Bohosiewicz co prawda przeprosiła, ale raczej nie czuje się winna. – Napisałam do tej dziewczyny, że bardzo mi przykro, iż jej praca została u mnie pokazana bez otagowania, ale nie wiedziałam, że osoba, która mi to wysłała, nie jest „autorem tekstu” [...]. Ktoś to wysłał w Q&A, a ja udostępniłam, jak było. Tak więc Maja Bohosiewicz wykazuje skruchę i przeprasza – oznajmiła na Insta Stories. I tutaj nastąpiła kolejna wpadka, bo celebrytka oznaczyła innego internetowego twórcę (choć o podobnym nicku). „Maju, jesteś twórczynią internetową od kilku lat na pewno i powinnaś wiedzieć,

że to na tobie spoczywa odpowiedzialność i weryfikacja treści, które wrzucasz w 100 proc. 1:1 skopiowanych z mojej pracy bez oznaczenia autora. I nieważne, kto ci to wysłał. I nie byłam to ani ja, ani kimkolwiek jest osoba, którą oznaczyłaś po kilku godzinach. Wystarczyło poświęcić 15 sekund na weryfikację” – wskazała Staszewska. I niech ktoś jeszcze powie, że praca influencera jest łatwa. Pułapka na każdym kroku.

KWIATY DLA HOLLAND

„Przedwyborcze odmetry szaleństwa”. Od 22 września w kinach będzie można oglądać film „Zielona granica” w reżyserii Agnieszki Holland (dotyczący kryzysu na granicy polsko-białoruskiej). Umówmy się – większego prezentu, kilka tygodni przed wyborami, PiS dostać nie mógł. Aby to wiedzieć, wystarczy obejrzeć trailer. Najlepsze, że Holland wydaje się tego absolutnie nie rozumieć. Pytana przez „Wprost”, dlaczego nakręciła film, nie bawi się w dyplomację. – Bo się wkur..... Nie można wiecznie rozglądać się i czekać, aż ruszą się inni – podkreśla. Tak więc w ramach tego wkur..... opowiadająca się za odebraniem mężczyznom części praw wyborczych reżyser postanowiła zrobić ze strażników granicznych bezduszne roboty, które wykonują polecenia jeszcze bardziej bezdusznej władzy. Po drugiej stronie są idealizowani aktywiści. – Spędziłam z nimi sporo czasu. Pozornie ich motywację wydają się oczywiste. Tuż obok pojawili się ludzie, którzy mogą umrzeć, jeśli ktoś nie zanieś im butelki wody, jedzenia albo ciepłego swetra [...]. Tam aktywiści działają wbrew wszystkim, po kryjomu, a ich praca jest kryminalizowana – przekonuje reżyser. Agnieszka Holland nie mogła odmówić sobie porównania pomagania migrantom do pomocy Żydom w czasie drugiej wojny światowej. – Sprawiedliwi, którzy ukrywali Żydów, musieli wynosić kubły z odchodami albo uciszać przechowywane na strychach rodziny – przypomina. W „Zielonej granicy” zobaczymy niezastąpionych Maję Ostaszewską i Macieja Stuhra. Więcej chyba dodawać nie trzeba. © ©



Narodowy Bank Polski
informuje:

Dzięki NBP Polska jest na dobrej drodze:

wartość rezerw dewizowych
przekroczyła **180 mld** dolarów,
a zasoby złota zwiększyły się do
ponad **300 ton!**





MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, czasami tak jest, że ciوسی przychodzą z nieoczekiwanej strony, ale i miłe zaskoczenia pojawiają się tam, gdzie nie pomyślelibyśmy, że można ich szukać.

Of kors Szymona Hołownię uważamy za katolickiego fundamentalistę – aczkolwiek sympatycznego, iż wszyscy pamiętamy, jak uroczko płakał nad konstytucją. Dlatego co prawda go nie lubimy, ale powiedzmy, że szanujemy, iż widać po nim empatię i sympatię wobec świeckich fundamentów nowoczesnego państwa prawa.

No i teraz się okazuje, iż wśród postulatów Polski 2050 (możliście nie słyszeć, to taka partia Hołowni) jest dogłębna reforma polskiej szkoły, która miałaby polegać na likwidacji czerwonych pasków, ocen z zachowania oraz kuratorów oświaty.

Chcielibyśmy się skupić na tematach pasków i ocen z zachowania, ponieważ są nam one najbliższe i uważamy je za najważniejsze spośród wymienionych. Otóż jesteśmy za tym, iżby paski na świadectwach były różnobarwne, najlepiej tęczowe, albo iżby całe świadectwo było w kolorach tęczy. Hołownia postuluje, iżby inny kolor paska był dla sportowców, inny dla artystów, inny dla młodych ludzi wykazujących postawy proekologiczne. Doceniamy pomysł, ale też nie możemy nie zauważyć, iż dzieli on uczniów na takich, którzy potrafią jedno, ale nie za bardzo potrafią drugie. A paski dla sportowców

to już niestety oczywista pomyłka – nie chcemy, iżby szkoła promowała fizyczną supremację i uprawiała kult tężyny fizycznej, iż to totalnie fashysm jest. Dlatego tęczowe paski dla wszystkich i będzie git.

No a likwidacja ocen z zachowania to akurat genialny pomysł. Pamiętajmy, iż ocena zachowania zawsze uzależniona jest od kontekstu i nie można przecies obwiniać ucznia, iż wpłynęły na niego

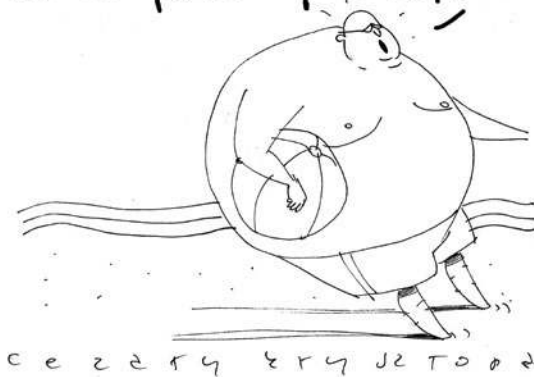
i postanowił się tym zająć – akurat tak się składa, iż przed wyborami xD.

Mamy jednak wrażenie, iż jak się PiS do czegoś weźmie, to w najlepszym wypadku zostanie to zrealizowane źle, a w najgorszym – po prostu będzie to wielopoziomowa złośliwość wymierzona w mniejszości dietetyczne.

I chyba jednak skłaniałibyśmy się ku drugiej opcji, iż nie wierzymy w to, iż nagle w polskich szpitalach będzie do wyboru dieta wegańska, wegetariańska, keto, frutariańska, freegańska z tego, czego nie zjedzą pacjenci z sąsiedniej sali, bezglutenowa, wolna od soli i tak dalej. Nie sądzimy również, iż szpitalny personel będzie respektował czyjeś normy białka i przynosił na wieczór indyka z ryżem w pudełku.

Pewnie będzie to taka typowo polska dieta: rano kajzerka z szynką, na obiad rosół (na następny dzień pomidorowa) ze schabowym, a na kolację parówki z biedry. Do tego wszystkiego najtańsza herbata bez cukru. A, no i najgorsza rzecz – kompot, a więc gotowane owoce. No serio, to tylko w Polsce ktoś mógł wpaść na pomysł, iżby gotować jabłka. Tak więc może lepiej będzie, jak się PiS do tego nie będzie zabierał. ©©

memusiu, ja nie chcę wrócić do kampanii wyborczej!...



konteksty zewnętrzne. Dołożylibyśmy jeszcze do tego możliwość wystawiania ocen z zachowania nauczycielom przez uczniów – wtedy by zobaczyli, jak to jest być po tej drugiej stronie i być poddawany tej nieustannej presji.

PiS wreszcie zauważył, iż posiłki w polskich szpitalach bardzo często są, mówiąc ogólnie, słabej jakości,

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: [FB.COM/MWIZWO](https://fb.com/mwizwo)

PODSŁUCHANE

Kaczyński kontra żubry

Pani Agnieszko, słyszałem, że chce pani nakręcić drugą część „Zielonej granicy”.

Tak, panie Donaldzie. Wie pan, jest wspaniała historia tego Ibrahima.

Ja tego teraz nie użyłam, a szkoda. **Ale wie pani, że po tych wyborach mogą być następne przed terminem? A pani kolejny film, z całym szacunkiem...**

Ja tam się analizami polityki nie zajmuję. Mnie człowiek interesuje. A wy macie tę wspaniałą dziewczynę u siebie, Olę Wiśniewską. Ją bym tam też włączyła.

Ale że jak?

Ona uratuje Ibrahima. Więc nie tylko będzie wątek uchodźczy, lecz także miłość ponad podziałami rasowymi...

A mogłaby pani wziąć na wstrzymanie na dwa, trzy lata?

Niech pani zrobi film o czymś neutralnym... O żubrach choćby.

A rozumiem: Puszcza Białowieża, Kaczyński każe ciąć, żubry giną...

Świetny pomysł! ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Moim zdaniem moja matka umarła przez PiS”.

KRYSTYNA JADNA, aktorka, reżyserka, w programie Tomasa Lisa na YouTube

STRANDMON
Fotel uszak

899,-



**Światowy design.
Świetnie wykonany w Polsce.**

Lepiej pomyślany dom



Dziś wydanie wyjazdowe z Karpacza. Na początek chcemy przypomnieć, że Polska się rozwija, a ludzie żyją dostatniej. W tej sytuacji obniżenie jakości materiałów dla uczestników Forum Ekonomicznego uważamy za niedopuszczalne. Tymczasem w zeszłym roku pakiety startowe rozdawano w gustownych plecaczkach, a teraz jedynie w zwykłych płóciennych torbach na ramię. Żądamy zdecydowanej poprawy!

I jeszcze sugestia ogólna do wszystkich uczestników, a było tam parę tysięcy osób płci obojga, w tym obiecująca młodzież polskiej polityki i gospodarki. Widać, a właściwie słychać było, że to pokolenie wychowane w wolności. Podpowiadamy jednak, że dyskutowanie szczegółów relacji damsko-męskich w swoich firmach i urzędach w miejscach publicznych to ryzykowna praktyka. Szczególnie gdy dotyczy relacji biurowych. Na szczęście my nie robimy w obyczajówce. No, chyba że mamy njusiki od wiceministra w górze.

Najbardziej zauważalną osobą z rządu był na Forum prof. Piotr Gliński. Co nie jest zaskakujące, gdyż on generalnie jest dość zauważalny. Stał się on, jak może niektórzy wiedzą, obiektem niechęci dziennikarza „Die Welt”, który awanturował się podczas wystąpienia ministra. To też nas nie dziwi, bo ostatnio relacje polsko-niemieckie są wyjątkowo napięte. To już wojna! Więcej za chwilę.

Otóż ze źródeł brukselskich wiemy, że słynne wystąpienie prof. Ryszarda Legutki w europarlamencie, kiedy to rzucił trochę niewygodnych prawd w twarz kanclerza Olafa Scholza, wywołało u tego ostatniego bardzo nerwową reakcję. Ale nie publicznie, tylko potem, podczas obiadu. Skąd to wiemy? Cóż, tego obiadu Scholz nie jadł samotnie, tylko z koleżanką, Robertą Metsolą. No i tak wypłynęła do wiewiórek wieść, że przez pół obiadu zamiast jeść, Scholz pomstował na Legutkę. A musicie wiedzieć, że obiady w europarlamencie są naprawdę długie. Wiemy, co mówimy, zdarzało nam się je jeść.

dwaj
panowie



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Zemsta Niemców na Forum Ekonomicznym była perfidna. Ale Polacy sami sobie ją ściągnęli na głowę. Otóż podczas gdy rozmaite narodowe strefy darmowego wyszynku dla spragnionych gości zamykały podwoje dość wcześniej, u Niemca do późna w nocy można było dostać niemieckie piwo, wino, wurst, pierogi oraz słuchać ludowych przyspiewek trzech osobników odzianych w krótkie porcięta. Dlatego nim zaczynały się cowieczorne wyzerki na bankiecie, wszyscy ciągnęli do Niemca. Znaczy do Deutsch-Polnische Industrie- und Handelskammer.

Co ciekawe, w Pawilonie Niemieckim odnotowaliśmy nawet obecność znanych polskich konserwatystów. Ale nie zdradzimy nazwisk. Widzicie, kompromaty raz użyte przestają być przydatne. Ponadto część argumentacji nas przekonała. Na przykład: „Wolę pić u Niemca niż u Sorosa”. Tak, chodziło o pawilon „Rzeczpospolitej”.

Spotkań i paneli było wiele, ale chcieliśmy odnotować nadzwyczajne zainteresowanie, które towarzyszyło premierze książki o obecnym szefie KPRM, niegdyś marszałku Sejmu, czyli

Marku Kuchcińskim. Tu jakość publiki była wyjątkowo wysoka, ze znanymi postaciami świata polityki włącznie, jak np. Ryszard Terlecki. Co więcej, kolejka po podpis była tak długa, że Kuchciński spóźnił się na bankiet.

Dużo większym zaskoczeniem niż biografię polityczną Kuchcińskiego przyjęto nagrodę Człowieka Roku dla ambasadora Eine Totalopposition w Pols..., nie, przepraszamy, dla ambasadora USA w Polsce, Marka Brzezinskiego. Szczególnie że laureat w żenującym przemówieniu wspominał głównie Wałęsę i Kwaśniewskiego oraz domagał się wypuszczenia do Polski ukraińskiego zboża. No i teraz jest kłopot, bo wszyscy myślą, że organizator Forum, Zygmunt Berdychowski, kibicuje opozycji. Z tego, co wiemy, to nie kibicuje.

Kłopot organizatorzy forum ściągnęli sobie jednak sami na głowę. Otóż było bardzo blisko, by Człowiekiem Roku została marszałek Sejmu Elżbieta Witek. Jednak ostatecznie przegrała głosowanie, właśnie z Markiem Brzezinskim. Przeważać miały obawy, że kilka tygodni przed wyborami takie wyróżnienie byłoby aktem nadmiernie politycznym. Pytamy ze zdziwieniem: A dla Brzezinskiego nie jest?

W trzecim dniu Forum, a mianowicie w czwartek, polska reprezentacja grała na Narodowym w Warszawie w piłkę kopaną z groźną jak zawsze drużyną Wysp Owczych. Jednym z gości łóż prezydenta Andrzeja Sebastiana był minister Przemysław Czarnek, który w przerwie perorował głośno o tym, jaki beznadziejny jest Robert Lewandowski i żeby go więcej nie powoływać. W drugiej połowie Lewy strzelił dwa gole, więc wyszło zabawnie.

Ciekawa rzecz, by oglądać mecz na żywo, pewien fan futbolu prosto z paneli w Karpaczu pognął po południu na lotnisko do Wrocławia, by samolotem zdążyć na czas. I zdążył. Nie podamy nazwiska tego polityka, zdradzimy jedynie, że jest europosem, a jego syn startuje z miejsca numer 21 na wrocławskiej liście PiS i ma na imię

Przemysław. A na nazwisko nie Czarnek, ale dość podobnie.

Jak już powszechnie wiadomo, wiceminister i poseł ziemi świętokrzyskiej Piotr Wawrzyk został zniknięty, zarówno z resortu spraw zagranicznych, jak i z list wyborczych PiS. Równocześnie, choć mniej spektakularnie został zniknięty jego pociotek, niejaki Jarosław Osajda. Faktem jest, że to właśnie on miał stać za powoływaniem centrów wizowych, które miały wydawać, głównie ludziom z Azji, polskie wizy. Co ciekawe, kierunek azjatycki osobiście Osajdy

Roman Giertych zapowiedział, że wybiera się z ziemi włoskiej do Polski. Najbardziej ucieszyła się prokuratura, która od dwóch lat próbuje sprowadzić Omdleusza

nie interesował. Zamierzał udać się na północ. A konkretnie do Islandii na ambasadora. Intensywnie zabiegał o to Wawrzyk. Uznano jednak, że promowanie takich młodziaków na szefów placówek (nawet tak odległych) to jednak gruba przesada.

Wawrzyka na stanowisku zastąpi Jarosław Lindenberg. Zwany w niektórych kręgach po prostu ambikiem. Ksywka wzięła się stąd, że kierował już tyloma placówkami, że może mówić: „Z zawodu jestem ambasadorem”. W dodatku na wszystkich się sprawdził. Podwładnych nowego wiceministra przestrzegamy – nie należy przy nim używać zwrotu „a niech cię piorun trzaśnie”. Rzecz w tym, że będąc w Czarnogórze, rzeczywiście zaliczył uderzenie pioruna w trakcie górskiej wędrówki. I przeżył. Nie mamy więc wątpliwości, że sobie poradzi w resorcie, w którym pioruny ścielą się gęsto.

Wracamy do stosunków polsko-niemieckich, gdyż bardzo leżą nam na sercu. Taki cytatik:

„Patrzę z niepokojem jako historyk na fiksację władzy wokół wybiórczo traktowanej historii. Wyciąganie z lamusa antyniemieckich uprzedzeń dowodzi braku pomysłu na dialog polsko-niemiecki i braku koncepcji, jacy mamy być w XXI w.”. To z wywiadu dla WP, którego udzielił prof. Krzysztof Ruchniewicz, dyrektor Centrum Studiów Niemieckich i Europejskich im. Willy’ego Brandta Uniwersytetu Wrocławskiego. Jak wiadomo, obaj panowie G. z urodzenia są wrocławiakami. Jeden z nich przy okazji wizyty w rodzinnym mieście wypatrzył prof. Ruchniewicza w luksusowej limuzynie. Co prawda, jako pasażera. Dziwnym trafem limuzyna była na blachach dyplomatycznych, czy – jak kto woli – konsularnych. Popytaliśmy. Uspokojono nas, że profesor nie został niemieckim dyplomatom. Po prostu konsul Niemiec ma tak dobre serduszko, że dość często wozi profesora.

Roman Giertych zapowiedział, że wybiera się z ziemi włoskiej do Polski. Najbardziej ucieszyła się prokuratura, która od dwóch lat próbuje Omdleusza sprowadzić na ojczyznę łono. No cóż, studenci prawa na tym przypadku będą się zapewniwie uczyć, co to są przesłanki aresztowe.

Niewiele osób wie, że Giertych rozmiłował się w języku rosyjskim do tego stopnia, że uczył się języka Puszkina i Putina u nejtiv spikera. Interesujący szczegół: w związku z zapowiedziami powrotu największego polskiego mecenasa także prokuratorzy rozczytują się w literaturze rosyjskiej. A szczególnie do gustu im przypadło słynne zdanie z Bułhakowa: „Rękopisy nie płoną”.

My mamy dla Romana powitalny prezent. To nowa ksywka. Ze starą żegnamy się bez żalu, bo już była zgrana i trochę się nam znudziła. W związku z ostatnimi wydarzeniami, a zwłaszcza z obecnością na listach Koalicji Łobywatelskiej, nie będziemy już mecenasa Giertycha nazywać ani Koniem, ani Qńiem, ani nawet najdłuższym polskim prawnikiem. Nowa ksywka jest elegancka i bardziej na czasie: Roman Giertusk. ©©

Czasami mamy do czynienia z wydarzeniami, w których niczym w soczewce skupia się duch danej epoki. Tak było poniekąd ze słynną broszurą Juliusza Łukasiewicza, polskiego ambasadora w Paryżu i bliskiego współpracownika szefa polskiej dyplomacji Józefa Becka, która w skróconej formie prezentuje nam wycinek nastrojów panujących w schyłkowej II RP. „Polska jest mocarstwem”, bo tak brzmiał tytuł słynnej publikacji, to swoisty pean na cześć sanacji, a jednocześnie próba zaprezentowania odrodzonego państwa, jako jednego z filarów europejskiego porządku. Przytoczmy słynny passus, który dobrze oddaje charakter dokumentu:

„Świadoma wysiłków, którym zawdzięcza swą wielkość i siłę, Polska jest mocarstwem, stanowiącym kamień węgielny dzisiejszej struktury wschodniej i środkowej Europy. Była ona i jest czynnym współtwórcą tej jedynie sprawiedliwej i zapewniającej narodom lepszą przyszłość struktury politycznej. W konsekwencji losy współczesnej Europy zależą od polityki Polski nie w mniejszym stopniu niż od polityki innych mocarstw”.

Broszura, jakkolwiek wymownie świadcząca o pewnej części polskich elit, zapewne przepadłaby bez śladu wśród innych podobnych propagandowych tekstów, gdyby nie wymownie korespondujący z tytułem dokumentu moment publikacji – 1938 r. Ironią losu jest to, że broszurka doczekała się wznowienia jeszcze w 1939 r. tuż przed samą wojną.

Wbrew tezę Łukasiewicza II RP była traktowana przez sąsiadów jako państwo sezonowe i określana pogardliwie mianem „bękarta wersalskiego”. O swoją niepodległość odrodzone państwo musiało walczyć od pierwszych dni istnienia na niemal wszystkich frontach, a z biegiem lat sytuacja jedynie się komplikowała, czego tragicznym apogeum był rok 1939. Po prostu II RP nigdy nie była mocarstwem i w ostatecznym rozrachunku, szczególnie po śmierci Piłsudskiego, bardziej stanowiła przedmiot niż podmiot międzynarodowej rozgrywki.

Możemy się zastanawiać, czy tak musiało być. Wszak alternatywy wobec polityki sanacji próbowały szukać marginalne środowiska germanofilskie na czele z Władysławem Studnickim czy ośrodki komunistyczne wpatrzone

Wręczenie buławy
marszałkowskiej
Edwardowi Śmigłemu-
Rydzowi, 1936 r. FOT. NAC

Gorące głowy '39



Jan Fiedorczuk

Elity II RP bardzo chciały wierzyć, że kierują regionalnym mocarstwem, które może prowadzić politykę na równi z europejskimi potęgami. Pod koniec lat 30. odrodzona Polska była jednak bardziej przedmiotem niż podmiotem międzynarodowej rozgrywki

w Moskwę, ale z perspektywy lat widać, jak wielkie ryzyko wiązało się z sojuszem z którąś z totalitarnych potęg. Wspomina się też o propozycji, którą Polska miała złożyć Francji w sprawie prewencyjnej wojny z Niemcami w 1933 r., ale historycy do dzisiaj są podzieleni, ile w tych doniesieniach prawdy, wskazując na brak dowodów. Wiadomo również o propozycji sojuszu militarnego, którą Piłsudski złożył Stalinowi, jak jednak wskazuje prof. Krzysztof Rak, trudno ten wybieg czytać inaczej niż „blef” stanowiący część szerszej gry dyplomatycznej. W latach 30. Polska znalazła się między młotem a kowadłem i summa summarum wpływ rodzimych elit na rozwój sytuacji – wbrew temu, co zdaje się one same sądziły – był znikomy. Profesor Marian Zgórniak z UJ stwierdził przed laty, że nawet gdyby stery polskiego państwa dzierżył sam Aleksander Macedoński, to wojna dla Polski i tak była przegrana.

A jednak, powiedziawszy to wszystko, ciężko nie odnieść wrażenia, że jeszcze w 1938 r., zajmując Zaolzie, jeszcze w 1939 r., z dumą obwieszczając sojusz z Wielką Brytanią i bez chwili kalkulacji odrzucając niemieckie propozycje antykomunistycznego sojuszu, Polacy byli przekonani, że nadal są liczącym się graczem na arenie międzynarodowej.

POTRZEBA MOCARSTWA

To, że mocarstwowe fantazje nabrały za sanacji karykaturalnych znamion, nie zmienia faktu, że samo pragnienie wielkości było po części racjonalną próbą znalezienia wyjścia z klinczu, w którym znalazło się odrodzone państwo. „Polska będzie wielka albo nie będzie jej wcale” – te słowa, przypisywane zazwyczaj Józefowi Piłsudskiemu, w rzeczywistości stanowiły motto znamienitej części pokolenia II RP – czyż to nie endecja, będąca orędownikiem realizmu politycznego, powołała właśnie Obóz Wielkiej Polski? Wszak koncepcje wielkiego regionalnego mocarstwa ulokowanego na terenie Międzymorza wychodziły m.in. od grup narodowych radykałów z ONR. Działacze Konfederacji Narodu na czele z Bolesławem Piaseckim jeszcze w czasie drugiej wojny snuli wizję Imperium Słowiańskiego, które miałyby sięgać od Finlandii do Bałkanów. Podobnie jednak i sympatyzujący z Piłsudskim neo-konserwatyści grupujący się wokół pisma

„Bunt Młodych” krzewili „ideę mocarstwową”, opowiadając się czy to za restauracją monarchii (Stanisław Cat-Mackiewicz), czy budową wielonarodowej federacji (Adolf Bocheński).

O Józefie Becku mawiano z kolei, że próbował robić zbyt wielką politykę instrumentem zbyt słabym. Znamienna jest tu anegdota spisana przez wieloletniego szefa brytyjskiego MSZ Anthony’ego Edena, który wspominał, jak Polska aspirowała, by zostać zaliczona do mocarstw europejskich, co szczególnie miało irytować szefa francuskiej dyplomacji Louisa Barthou.

„Zdenerwowało go zaś ostatecznie, gdy pułkownik Beck, polski minister spraw zagranicznych, wspominał o swym kraju jako o wielkim mocarstwie.

chwili splendoru, gdy tuż przed wojną, zawierając sojusz z Wielką Brytanią, był witany z honorami na Wyspach. Ten obraz jest tym bardziej dojmujący, jeżeli uwzględnimy, że przyjmując brytyjskie gwarancje, Polska de facto ściągnęła na siebie uwagę Hitlera, który w pierwszej kolejności, jak sam przyznawał, planował uderzyć na Francję. Za bohaterską ofiarę z polskiej niepodległości Beck ze Śmigłym-Rydzem dali Londynowi i Paryżowi kilka dodatkowych miesięcy pokoju. Do napaści na Polskę i tak by zapewne doszło, jednak nikt wówczas nie mógł przypuszczać, że Hitler z taką łatwością rozbije francuską armię, która jeszcze wówczas była postrzegana jako lądowa potęga.

Jeszcze w 1938 r., zajmując Zaolzie, jeszcze w 1939 r., z dumą obwieszczając sojusz z Wielką Brytanią, Polacy byli przekonani, że nadal są liczącym się graczem na arenie międzynarodowej

Nazajutrz podczas śniadania, w obecności Becka i innych przedstawicieli państw [...] Barthou pozwolił sobie na złośliwy komentarz do sytuacji zakończony słowami: »No i wreszcie są wielkie mocarstwa (pauza) oraz Polska. Polska, jak wszyscy wiemy, skoro to nam powiedziano, jest wielkim mocarstwem (pauza), bardzo wielkim mocarstwem«. Parę osób zachichotało, a Beck się zaczerwienił” – wspominał Eden.

W tej perspektywie staje się częściowo zrozumiałe, dlaczego polskie elity pozostały do końca wierne linii „nie oddamy ani guzika”, która doprowadziła do odrzucenia roszczeń Hitlera – autostrady eksterytorialnej do Prus oraz oddania (i tak przecież w znacznej części niemieckiego) Gdańska – i pogrzebania marzeń rodzimych germanofilów. Ta polityka, zapewne wbrew intencjom, doprowadziła jednak do sprzeniewierzenia się testamentowi Piłsudskiego, który wskazywał, że Polska – owszem – powinna balansować między Berlinem a Moskwą, ale dodawał również, że jeżeli już wojna ma wybuchnąć, to należy zrobić wszystko, by wejść do niej ostatnim. Stało się dokładnie odwrotnie.

Łasy na pochwały szef polskiej dyplomacji doczekał się w końcu

Rzecz jasna teraz mówimy już o ostatnich tygodniach II RP, gdy Warszawa praktycznie nie miała żadnego pola manewru na arenie międzynarodowej. Jednak i poprzednie lata pokazują, że gdy zabrakło Piłsudskiego, to sami piłsudczycy pozostali bezradni. Najbardziej znanym przykładem jest rozbiór Czechosłowacji, bo tak to chyba trzeba określić, dokonany przez Polskę, Węgry oraz III Rzeszę w 1938 r. Zajęcie Zaolzia, akurat w tym momencie i z takimi „sojusznikami”, stawało w oczach Zachodu Polskę w szeregu państw rewizjonistycznych, które chcą zburzyć porządek wersalski (jak to lapidarnie ujął Winston Churchill, „żołnierz polski wyjął Bohumina z plecaka żołnierza niemieckiego”). Problem w tym, że w przeciwieństwie do III Rzeszy II RP była największym beneficjentem pokoju z 1919 r., odzyskując po 123 latach niepodległość i suwerenność. Siły państwa nie tworzą przecież nagłe zrywy, tylko budowane przez dekady instytucje, wpływy i kapitał.

MYDLENIE WŁASNYCH OCZU

*Naprzód, żołnierze
Stara wiara, młode zuchy
Za Śmigłym-Rydzem
Pomni jego w boju chwał.*

■ To jedna z wielu przyspiewek będących egzemplifikacją nastrojów, które próbowała narzucić władza w latach 30., ale które to nastroje też chyba – przynajmniej częściowo – tkwiły w samym społeczeństwie.

Już po wybuchu wojny premier Felicjan Sławoj Składkowski zapewniał, że pobicie Niemców jest na wyciągnięcie ręki, gdyż „nauczył nas Józef Piłsudski, jak się zdobywa niepodległość i jak się jej broni”. – Wojnę tę wygramy, bo mamy wodza marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza i wypełnimy z twardym żołnierskim posłuszeństwem wszystkie jego rozkazy wiodące Polskę w Imię Boże do zwycięstwa – przekonywał jeszcze 3 września.

Można usprawiedliwiać premiera, wskazując, że te słowa padły już w czasie wojny, gdy nie było miejsca na subtelne zagrywki, tylko wszystkimi metodami należało zagrzewać żołnierzy do boju. Gorzej jednak, gdy sobie uświadomimy, że ten ton nie został przyjęty w związku z wybuchem wojny, tylko stanowił kontynuację narracji sprzed 1939 r.

Profesor Włodzimierz Borodziej z Instytutu Historycznego UW stwierdził niegdyś w rozmowie z PAP, że od późnej jesieni 1938 r. w Polsce zapanało przekonanie o tym, że nie uda się uniknąć wojny z Niemcami, aczkolwiek, jak dodawał, „tę wojnę wyobrażano sobie

Znamienne są tutaj wspomnienia Stanisława Grzesiuka, który twierdził, że nie bał się wojny, gdyż – jak wszyscy – był przekonany o potęgze państwa polskiego. – Wszyscy twierdzili, że Niemcy wojny nie zaczną, że mają słabe wyposażenie techniczne z materiałów zastępczych, że za dwa tygodnie będziemy w Berlinie – wspominał bard Czerniakowa.

„Ilustrowany Kurier Codzienny”, jedna z największych przedwojennych gazet, przekonywał w marcu, że Polska jest jedyną siłą w Europie Środkowo-Wschodniej gotową postawić się Niemcom. „Patrząc na tragedię czeską, jesteśmy dumni, że naród polski jest narodem rycerskim” – podkreślano. To właśnie w marcu do Berezy Kartuskiej trafił, wszak wielki zwolennik Piłsudskiego, Stanisław Cat-Mackiewicz za krytykę polskiej polityki zagranicznej.

W kolejnych miesiącach część polskiej prasy przekonywała opinię publiczną o kłopotach Niemiec oraz zachwalała dyplomatyczne sukcesy Józefa Becka, wskazując na wsparcie, które Polska otrzymała w razie wojny z Wielką Brytanią i Francją.

Te zapewnienia brzmiały dramatycznie w kontekście dalszego przebiegu wydarzeń, jednak jeszcze umiarkowanie na tle tego, co wyczyniała część polskiej prasy już po wybuchu wojny. Gdy było jasne,

że naszym wojskom udało się przełamać niemiecką ofensywę. Jednocześnie dziennik informował, że francuska armia notuje znaczące sukcesy na froncie zachodnim. Z kolei gazeta „Dobry wieczór! Kurjer Czerwony” oprócz informacji o polskich sukcesach (tysiąc niemieckich jeńców, przejęte czołgi i sprzęt wojskowy) zapewniała polskiego czytelnika, że wódz III Rzeszy został zastąpiony przez... sobowtóra. „Hitler ciężko chory nerwowo przebywa w swoim prywatnym sanatorium w Berchtesgaden” – twierdziła gazeta. Jeszcze dalej poszedł „Wieczór Warszawski”, który donosił, że niemiecki przywódca lada dzień poda się do dymisji, aby następnie udać się na miejsce odosobnienia na Elbie.

Właściwie, gdyby przejrzeć niektóre gazety z września, to można odnieść wrażenie, że III Rzesza to upadające państwo, Wehrmacht to zgraja amatorów, a Hitler lada dzień zacznie prosić Warszawę o zawarcie pokoju.

BEZ WYJŚCIA

Propaganda władzy oraz części prasy jedynie zaciemniała obraz naszej sytuacji. Samooszukiwanie się co do własnego potencjału czy snucie mrzonek o sobowtórach Hitlera i problemach niemieckiej armii to jedynie wierzchołek góry lodowej. Podobnie rzecz wyglądała z wiarą w sojuszników, którzy mieli przecież własne interesy na tej wojnie (jak przestrzegał sam Piłsudski, „Zachód jest parszywieńki”).

Mocarstwowa tromtadracja, Liga Morska i Kolonialna, które miały dać zaczyn przyszłemu polskiemu imperium zamorskiemu, twarda polityka wobec małutkiej Litwy czy choćby zajęcie Zaolzia – to były jedynie kolejne próby budowy potęgi państwa „na skróty”. Być może sanacyjne elity wiedziały, że jeżeli Polska nie będzie wielką, to „nie będzie jej wcale”, i stąd brały się próby udowodnienia zarówno Polakom, jak i samym sobie, że II RP jest potęgą, od której zależą losy europejskiego porządku. Trawiona mnóstwem problemów, scalona z trzech różnych zaborów i obroniona u swego zarania olbrzymim poświęceniem społeczeństwa oraz bohaterstwem żołnierzy odrodzona Polska nie była jednak w stanie równać się z totalitarnymi siłami, z którymi sąsiadowała.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Samooszukiwanie się co do własnego potencjału czy snucie mrzonek o sobowtórach Hitlera i problemach niemieckiej armii to jedynie wierzchołek góry lodowej

zupełnie inaczej, mianowicie, że polskie wojsko pomaszeruje na Berlin, a nie niemieckie na Warszawę. Te nastroje wzmacniała propaganda „silni – zwarci – gotowi”, w tym zupełnie oderwane od realiów publikacje ukazujące się w polskiej prasie na temat kolejnych kłopotów III Rzeszy, tajemniczych chorób Adolfa Hitlera i pogarszających się perspektywach państw Osi. W polskiej prasie mogliśmy np. przeczytać, że niemiecka armia jest oparta na... czołgach z tektury oraz syntetycznej benzynie, która nie nadaje się nawet do zapalniczek, nie mówiąc o maszynach bojowych.

że żadnej defilady w Berlinie nie będzie, to polskie media dalej zaklinały rzeczywistość. „Kurjer Poranny” zapewniał np., że odwrót polskich wojsk to tylko część szerszego, z góry przemyślanego planu, a polskie samoloty aktualnie są zajęte bombardowaniem Berlina. „Dziennik Polski” dodawał w uspokajającym tonie, że wszelkie sukcesy Niemców są co najwyżej chwilowe, a w razie konieczności Polska może zmobilizować do 6 mln żołnierzy (sześć razy więcej, niż w rzeczywistości udało się wystawić). Jeszcze 13 września „Express Poranny” donosił o triumfie polskiego oręża, zapewniając,

Przebieg wojny na Ukrainie każe przyjmować nam najgorszy scenariusz. Na zdjęciu: ukraiński żołnierz w obwodzie donieckim, 22 lipca 2023 r. FOT. ANADOLU AGENCY



Wrześniowe obsesje



Piotr Semka

Wszyscy realiści, którzy krzywili się na szukanie egzotycznych sojuszy przed wrześniem 1939 r., teraz dziwnym trafem krzywią się na Ukrainę

Rozważając historię Polski w XX w., zawsze wracamy do dwóch dat: sierpnia 1920 r. i września 1939 r. Pierwsza data nie staje się punktem wyjścia do tak dużej liczby tekstów publicystycznych, jak wrzesień 1939 r. Nie ma w tym nic dziwnego. Porażki wywołują efekt drzazgi tkwiącej w zbiorowej świadomości. Każą zadawać pytania o to, czy pod pozorem siły nie tkwią w nas elementy słabości, czy za maską bohaterstwa nie kryje się błazeństwo. Gdzieś w tle jest też paralizujące pytanie: Czy znów nie grozi nam jakaś katastrofa?

W popularnej komedii „Co mi zrobisz, jak mnie złapiesz” prezes Krzakoski wyjeżdża w delegację na Węgry i próbuje dodzwonić się do domu. Kiedy sekretarka próbuje mu po węgiersku powiedzieć, że wichura zerwała kable, i wypowiada nazwę „Warszawa”, ten przerażony

pyta: „Co z Warszawą, zburzona?!”. Wizja Polaka, który wyjeżdża na tydzień z kraju i w razie kłopotów z komunikacją może podejrzewać, że jego rodzinne miasto zburzono, jest w polskim filmie chyba najlepszą metaforą naszej niepewności wobec losu.

Oczywiście w tym wypadku refleksja nad klęską wrześniową spotyka się z traumą Powstania Warszawskiego. Czarna tradycja września zbudowana bywa na wielu elementach. Na błyskawicznym tempie, w jakim polscy dygnitarze gnali ku Zaleszczykom, w bolesnej niesprawności aparatu wojskowego. Pojawia się przekonanie, że tak wielki kraj o tak pięknej tradycji niepodległościowej nie zasłużył na tak nędzny los. Tyle że autorzy tych rozważań zapominają, iż cała Europa pełna była wówczas przykładów żenującej słabości ducha i niekompetencji. Austriacy wierni tradycji swojej odrębności od Niemiec z przerażeniem obserwowali setki tysięcy wiedeńczyków składających hołd Hitlerowi na balkonie Hofburga. Młodzi Czesi uciekający z protektoratu Czech i Moraw poprzez Polskę na zachód zadawali sobie nawzajem pytanie, jak ich wyśniona Republika Czechosłowacka

rachunków z tym, co było przed wojną, a z drugiej – do uzasadniania swojego serwilizmu wobec nowych władców. A jednak Polska, przynajmniej w wypadku Niemiec, nie poszła drogą masowej kolaboracji. I warto takie elementy pamiętać na tle zalewu proniemieckiego serwilizmu w elitach krajów europejskich – od Francji do Słowacji.

NA TROPIE MOCARSTWOWYCH MITOMANÓW

Nie wiemy, jak wyglądałaby Polska rządzona przez kolejne koalicje narodowców, chadeków, ludowców czy socjalistów. Zamach Józefa Piłsudskiego w maju 1926 r. przekazał pełnię władzy aż do tragicznego września ekipie sanacyjnej. Ten okres powszechnie dzielony jest na niemal dekadę rządów pod wodzą Józefa Piłsudskiego i trzyletni okres sprawowania władzy przez jego pogrobowców.

I oczywiście bilans tych trzech ostatnich lat każe stwierdzić, że byli to ludzie bierni i pozbawieni większej charyzmy. Im bardziej marszałek Edward Śmigły-Rydz pozował na godnego następcę marszałka Piłsudskiego, tym bardziej był groteskowy. Im bardziej Ignacy Mościcki

w górę grzbiet, gdy zostaje zagnany przez psa w kąt.

Polska głosiła swoją siłę, aby odreagować lęk przed wizją przyszłej wojny i aby skupić wokół ekipy sanacyjnej większość społeczeństwa. Na podobnej zasadzie władze Francji drukowały jesienią 1939 r. plakaty pokazujące, jak Francja ze swoimi imperiami kolonialnymi wypełnia sporą część świata. Warto w wolnej chwili zerknąć na plakaty czechosłowackie z okresu mobilizacji w październiku 1938 r. Można zobaczyć na nich czeskich żołnierzy na zdjęciach z linii Ołomuniec – Brno, która była kopią Linii Maginota, i malowidła z tłumami młodych Czechów zmierzających z kartami mobilizacyjnymi pod czeskim hasłem narodowym: „Pravda vitezi” (Prawda zwycięży).

Oczywiście nikt nie broni przesady w pysznieniu się polską mocarstwowością i braku umiaru w opowieściach o niemieckich czołgach z tektury. Była to jednak zbiorowa terapia mająca pomóc Polakom wytrzymać atmosferę narastającego zagrożenia. Po wspaniałym cudzie odzyskania niepodległości w latach 1918–1922 ludzie chcieli wierzyć, że historia już ułaskawiła nas z wyroków śmierci na nasze niepodległe istnienie. A Polska była w tym rejonie Europy krajem o stosunkowo największym potencjale terytorialnym i ludnościowym. Tyle że skala zapóźnienia cywilizacyjnego nie pozwoliła temu krajowi uzbroić się w sposób adekwatny do zagrożenia. Tym bardziej hasła typu „Polska będzie wielka albo jej nie będzie” były tylko chęcią mobilizowania milionów rodaków do wojennego wysiłku. Potem przedstawiono tego typu hasła jako minoderię zadowolonych z siebie legionistów z politycznej bazy rządu.

DLACZEGO BYLIŚMY SAMI

Wychowałem się na upiornych telewizyjnych widowiskach PRL-owskiego propagandysty Ryszarda Frelka. Wszystkie one w latach 70. ex post wbiły do głowy Polakom, że największym zaniechaniem ekipy przedwrześniowej było rzekome odrzucenie przyjaznej dłoni Związku Sowieckiego. Nie zapomnę sceny z widowiska „Przed burzą”, w której grany przez aktora Franciszka Trzeciaka ambasador sowiecki w Warszawie odwiedza polskie MSZ z ofertą

Nikt nie broni przesady w pysznieniu się polską mocarstwowością. Była to jednak zbiorowa terapia w obliczu zagrożenia

mogła bez jednego wystrzału paść na kolana przed Hitlerem. Patriotycznie nastawieni Norwegowie nie potrafili wyjaśnić fenomenowi zaprzaństwa Vidkuna Quislinga, a ceniący wolność Francuzi przygniecieni byli skalą zaprzaństwa marszałka Philippe’a Pétaina.

Co więcej, w wielu krajach Europy powstawały natychmiast elity uzasadniające porażkę wewnętrzną zgnilizną i znajdujące argumenty do wiernej służby Niemcom. Tak jak u nas rozważano, w jakim stopniu sanacja była przegniła od wewnątrz, tak francuscy publicyści kolaboracyjni lubowali się w opisach zdegenerowanej III Republiki i sojuszu plutokracji z żydowską masonerią.

Zderzenie się ze wszechmocą Niemiec i Rosji było tak porażające, że pchało ludzi z jednej strony do brutalnych roz-

wychwalany był jako opatrnościowy mąż stanu, tym bardziej ulica kpiła ze starca, który uwierzył w swój geniusz. A wisienką na torcie w publicystyce krytyków kiepskiej ekipy przedwrześniowej jest oczywiście przesadna propaganda głosząca mocarstwowość Polski.

Dlatego dzisiejsze rozprawy, w których rzuca się gromy na ówczesnych publicystów i karierowiczów, budzą często u mnie dystans. Autorzy tych krytyk nie rozumieją, że wówczas wszyscy dookoła wypinali piersi z dumą, głosili swoją siłę i próbowali utrzymać w tym optymizmie swoich obywateli. Europa lat 30. widziała już wyraźnie dwóch agresorów – Niemcy i Rosję – którzy nie kryli planów podboju Europy. Każde zwierzę czujące się zagrożone, chce wyglądać na jak największe i najgroźniejsze. To dlatego kot wypycha

Opozycja, mimo wymowy rozmaitych faktów, nie chce uwierzyć w to, że Niemcy mogą być partnerem wysoce niepewnym

pomocy. Reżyser włożył wiele wysiłku, by wbić polskim widzom do głowy kontrast między mającym jak najlepsze intencje Nikołajem Szaronowem a wysłuchującym go polskim przedstawicielem ministerstwa. Dziś w miejsce wizerunku cierpliwego i mającego dobre intencje Związku Sowieckiego wstawiany jest przez część publicystów motyw III Rzeszy, z którą trzeba było się jakoś dogadać. Na publicystyczne piedestały wznieszeni są proniemieccy publicyści, tacy jak Władysław Studnicki czy Stanisław Mackiewicz.

Szczytem demagogii jest stawianie tezy, że wojskowy traktat sojuszniczy Polski z Wielką Brytanią zawarty 7 kwietnia 1939 r. ściąga winę za wybuch wojny na Polskę. Według tej wizji Hitler miał prawo w tej sytuacji poczuć się przez Polskę oszukany i rodacy mogą mieć tylko sami do siebie pretensje, że ściągnęli sobie na głowę czołówki pancerne Wehrmachtu. Wszystko to opracowano nieszczerzym „mądralińskim” powiedzeniem, że Polska może się oprzeć albo o Rosję, albo o Niemcy.

Problem w tym, że w okresie międzywojennym oparcie się Polski o Niemcy czy sowiecką Rosję musiałyby być wejściami na drogę prowadzącą do coraz mocniejszego uzależnienia od Moskwy lub Berlina. I o tym, że była to bardzo głęboka linia, np. elit niemieckich, świadczy to, że wrogość Niemiec weimarskich wobec Polski była bardzo podobna do późniejszej wrogości państwa niemieckiego, które przybrało formę III Rzeszy. A już mało komu przychodziło do głowy, że na zgubę Polski mogą zgodnie zapracować teoretycznie niezwykle wrogie sobie systemy nazistowski i komunistyczny. I akurat w tej kwestii – zdecydowanego odrzucenia pójsicia na drogę do zginania karku przed Berlinem lub Moskwą – zgodne były dwa wielkie polityczne odciały polskiej opinii publicznej, czyli ten propiśsudczykowski oraz ten proendecki. I właśnie dlatego, że zarówno narodowcy, jak i piśsudczycy – dzięki Bogu – czuli bezsens takiej „ucieczki” od wolności,

możliśmy w 1939 r. stanąć wobec agresorów jako jedna siła niepodzielona wewnętrznymi konfliktami.

Tylko uważani za dziwaków lub dywersantów tacy publicyści jak Władysław Studnicki demonstrowali inne spojrzenie. I to, że Studnicki był izolowany, to nie była żadna głuchota społeczeństwa wobec politycznego mędrca, ale zdroworoządkowe przekonanie, iż jest to człowiek gotowy zafundować nam wieloletnie zniewolenie ze strony Niemiec. Takich jak Studnicki słuchano wtedy na Węgrzech, w Rumunii czy na Słowacji. Skutki ich braku rozsądku płaciły potem społeczeństwa, które do dziś szukają kości swoich żołnierzy – czy to słowackich, czy to węgierskich, czy to rumuńskich – na polach bitew na terenie Związku Sowieckiego.

ZAMIAST SAMOBICZOWANIA WYCIĄGNIJMY WNIOSKI

Ten tekst powstaje w sytuacji bardzo poważnego zagrożenia ze strony Białorusi i Rosji. Przebieg wojny na Ukrainie każe przyjmować nam najgorszy scenariusz. Realne jest, że Putin utrzyma swoją władzę albo zostanie zastąpiony przez młodszego, co nie znaczy mniej groźnego dyktatora. Rosyjska armia jest w razie przerwania wojny w stanie odbudować szybko swój wojskowy potencjał agresji. W tej sytuacji możemy liczyć na pomoc Stanów Zjednoczonych, życzliwość Wielkiej Brytanii i kooperację z Ukrainą.

Dziwnym trafem wszyscy realiści, którzy krzywili się na szukanie egzotycznych sojuszy przed wrześniem 1939 r., teraz krzywią się na Ukrainę i dość lekceważąco wypowiadają się o sojuszu z USA jako o swoistej geostrategicznej „chwilówce”. Pytanie tylko, czy my mamy jakąś alternatywę. Głoszony przez kanclerza Olafa Scholza historyczny rzekomo zwrot w kierunku zwiększenia wydatków na obronę szybko okazał się wyłącznik propagandowym trikiem. Powtarzana przez część opozycji opcja budowania europejskiej armii oceniana jest przez

specjalistów od układu sił w Europie jako efektowna mrzonka.

Zamiast tego mamy trzy poważne problemy wewnętrzne. Po pierwsze, opozycję, która mimo wymowy rozmaitych faktów nie chce uwierzyć w to, że Niemcy mogą być partnerem wysoce niepewnym. Po drugie, mamy do czynienia z elitami, które nie potrafiły rozpoznać w operacji zalewania Polski emigrantami realnego zagrożenia nowego typu (film Agnieszki Holland „Zielona granica” to manifest tego rodzaju nieodpowiedzialności).

A po trzecie, szczególnie martwi mnie głęboki nurt niechęci wobec Ukrainy, który dzieli polską prawicę. Nie chcę banalizować przyczyn tego zjawiska, skupmy się jednak tylko na jego efektach. Jest to ciągle wypatrywanie samosprowadzającej się przepowiedni. Pierwsza przepowiednia traktuje Ukrainę jako kraj de facto dziki, skłócony wewnętrznie i niezdolny do pełnienia roli partnera militarnego Polski. W drugim wypadku dominuje posępna wizja: Ukraina zostaje przez Polskę uratowana wtedy, kiedy sowieckie czołgi szły na Kijów, a gdy już kraj ten krzepnie, to odwraca się plecami do Polski i rzuca się w ramiona makiawelistycznych Niemiec. Obie te wizje, żeby było jasne, nie są niemożliwe. Jednak zamiast szukać potwierdzeń dla przekonania, że wszystko idzie w złym kierunku, można poświęcić więcej pracy analitycznej nad zastanawianiem się, jak obu tym scenariuszom starać się zapobiec. A do tego potrzebna jest ciężka i niewdzięczna praca na rzecz długoterminowego budowania sojuszu między naszymi państwami. I na tej drodze trzeba w dojrzały sposób przyjąć, że będą zdarzały się takie konflikty jak spór o ukraińskie zboża czy też występować będą głosy krytyczne wobec wizji długoplanowego sojuszu naszych państw.

Zbyt często zdarza mi się czytać teksty, w których każda wypowiedź krytyczna wobec Polski urasta niemal do statusu państwa ukraińskiego. I za każdym razem pojawia się ten sam posępny ton satysfakcji z tego, że wcześniej przepowiadano, iż „to się nie uda”. Jeżeli z tragedii września 1939 r. wyciągamy wnioski, że przyjaciół trzeba szukać blisko, a nie daleko, to opcja na długotrwały sojusz z Ukrainą powinna być najbardziej naturalną opcją.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Nie nasza wojna



Łukasz Warzecha

PiS wie, że wojowniczo proukraińska retoryka oznaczałaby natychmiastowy spadek poparcia. Przed wyborami unika tego tematu. Jednak co będzie po wyborach?

Pomnik zobaczyłem już z daleka, jadąc w jego kierunku Prager Strasse w Lipsku. Choć wybudowany ponad 100 lat temu, to pozostaje nadal największą strukturą pomnikową w Europie oraz jedną z największych na świecie. Nadal widać go z oddali niemal z każdego kierunku. Z górnej galerii w dół spoglądają figury 12 rycerzy, każdy

o wysokości 13 m. Wrażenie się potęguje, gdy stanie się naprzeciw pomnika, po drugiej stronie stawu, który jest częścią pomnikowego założenia, a już zwłaszcza gdy wejdzie się do środka ogromnej struktury.

To Völkerschlachtdenkmal, czyli pomnik poświęcony Bitwie Narodów, która rozegrała się wokół Lipska między 16 a 19 października 1813 r. Stał się w niej blisko milion ludzi – z jednej strony Francuzów i ich sprzymierzeńców, w tym Polaków, z drugiej żołnierzy koalicji antynapoleońskiej – Prusaków, Rosjan, Szwedów, Austriaków. Była to największa lądowa bitwa w historii świata. Życie straciło w niej ok. 110 tys. żołnierzy. Napoleon został zmuszony do wycofania się i był to początek ostatecznego końca jego dominacji. W nurtach Elstery zginął wtedy, w trakcie odwrotu, świeżo mianowany marszałek Francji, książę Józef Poniatowski.

Pomnik, który odsłonięty został w 100. rocznicę bitwy, jest oczywiście zarazem pomnikiem pruskich, potem już niemieckich idei narodowych, a dla Polaka szczególnie uderzający może być widniejący na froncie, zaraz nad potężną figurą Michała Archanioła, napis: „Gott mit uns”. A jednak, mimo jego historycznego, narodowego kontekstu, pomnik skłania też do myśli o absurdzie wojny jako takiej – będącej przecież zarazem nieodłączną częścią ludzkiej cywilizacji. Zwłaszcza gdy wchodzi się do części zwanej kryptą, wokół której, na tle ogromnych masek przeznaczenia, stoi 16 olbrzymich figur rycerzy z opuszczonymi głowami, opartych na swoich mieczach, symbolicznie strzegąc spokoju poległych. Milion walczących ludzi, ponad 100 tys. ofiar w ciągu trzech dni.

Bitwa pod Lipskiem miała miejsce w epoce wojen napoleońskich, a więc



Przed wyborami tylko prezydent Andrzej Duda nie zmienił wojennej retoryki. Na zdjęciu: na spotkaniu prezydentów Polski, Litwy i Ukrainy w Kijowie, 28 czerwca 2023 r. FOT. PRESIDENT.GOV.UA

w czasie, gdy wojna nie miała jeszcze natury totalnej. Nawet pierwsza wojna światowa pod tym względem należała jeszcze w większości do starego świata. Zmieniła to druga wojna światowa. Nie użyto wprowadzić broni chemicznej, ale ludność cywilna była traktowana na równi albo gorzej niż żołnierze, nie respektowano konwencji, w pełni świadomie atakowano cywilne cele. Mimo że powojennym następstwem były kolejne konwencje, mające chronić ludzi czy dobra kultury, nigdy nie udało się powrócić do wojny takiej jak kiedyś – przynajmniej z zasady ograniczonej do żołnierzy obu stron, bez wciągania w działania cywilów. Wojna na Ukrainie, w której atakowani są co chwila właśnie cywile i cywilne cele, pokazuje to znakomicie.

Po 24 lutego z Polakami, także z dużą częścią polskich polityków, stało się coś bardzo złego: wojna zaczęła się nagle

niektórym wydawać czymś atrakcyjnym, wręcz pożądanym. Tak jakby całkowicie zapomniano, że wojna to śmierć, ubóstwo, zniszczenie. Można zrozumieć, jeśli taką postawą wykazywali się ludzie wychowani na grach komputerowych, którym może się wydawać, że wojna to taka właśnie zabawa i w razie, gdyby źle nam szło, można zawsze zresetować wynik. Albo wcisnąć pauzę i pójść sobie zrobić kawę. Gorzej, jeśli o zdobywaniu Królewca zaczyna mówić gen. Waldemar Skrzypczak (zresztą chyba rekordzista, jeśli chodzi o zmianę zdania w sprawie przebiegu konfliktu), a Józef Orzeł z Klubu Ronina nonszalancko oznajmia, że wprowadzić na Polskę mogą się zacząć sypać rosyjskie rakiety, ale to nie jest żaden problem. Ostatecznie, jak wiadomo, na nasz kraj spadła rakietka, tyle że nie rosyjska, ale ukraińska, zabijając dwóch polskich obywateli. Do dziś nie doczekaliśmy się pełnego wyjaśnienia tej sprawy ani przeprosin ze strony Kijowa. Rosyjska też zresztą spadła, ale ta akurat nie wyrządziła żadnej szkody.

UNIKAĆ ZA WSZELKĄ CENĘ

Pomnik Bitwy Narodów był w moim przypadku impulsem wywołującym świeżą wojenną refleksję, ale jako Polacy nie potrzebujemy pomnika w Niemczech, żeby taką myśl w sobie obudzić. Nie musimy nawet jechać do Muzeum Auschwitz czy na Majdanek, iść do Muzeum Powstania Warszawskiego albo innego, które będzie mówiło o skutkach drugiej wojny światowej dla Polski. Wystarczy, że przejdziemy się ulicami wielu polskich miast i poszukamy śladów pamięci w postaci niedużych monumentów czy tablic. Albo zainteresujemy się, jak te miejsca wyglądały przed wojną i co zostało w jej trakcie bezpowrotnie utracone.

To z kolei powinno nam przypomnieć, jak zachowywała się polska klasa polityczna bezpośrednio przed klęską – bo tak to trzeba wprost nazwać – roku 1939. Jak była zadufana w sobie, jak ignorowała sygnały ostrzegawcze (a także odrzucała część raportów wywiadu), jak zastępowała realistyczną ocenę sytuacji tępą propagandą, a każdego, kto wołał o opamiętanie, uznawała za defetystę. A czasem nawet za ten rzekomy defetyzm wsadzała do Berezy. Podobieństwa

z obecnym czasem bywają niepokojąco mocne.

Wszystko to prowadzi do wniosku, że przy naszych historycznych doświadczeniach Polska powinna unikać wojny w zasadzie za wszelką cenę. Po 24 lutego 2022 r. zaś jedynym momentem względnego otrzeźwienia była odmowa bezpośredniego przekazania Ukrainie polskich migów-29 w marcu ubiegłego roku. Jednak potem przez wiele miesięcy polski rząd oraz ogromna grupa jego zwolenników wśród komentatorów i publicystów zachowywali się tak, jakby celem było przyzwyczajanie Polaków do myśli, że w wojnę trzeba się będzie włączyć, lub nawet sprowokowanie wciągnięcia naszego kraju w gorący konflikt. Wśród potencjalnie najbardziej ryzykownych działań trzeba przypomnieć tajną misję 98 polskich policjantów – lub osób, które do policji zostały przyjęte wyłącznie w celu odbycia tejże misji, tego nie wiemy na pewno – którzy przez pięć miesięcy zajmowali się na Ukrainie rozminowywaniem miejsc opuszczonych przez armię rosyjską. A przynajmniej tak nam to przedstawiono. O tej akcji Polacy dowiedzieli się dopiero po jej zakończeniu. Być może było to najbardziej brawurowe i lekkomyślne przedsięwzięcie polskich władz, bardziej nawet ryzykowne niż wyprawa kijowska Jarosława Kaczyńskiego, Mateusza Morawieckiego, Janeza Janšy, ówczesnego premiera Słowenii, oraz Petra Fialy, premiera Czech.

Na teren kraju ogarniętego wojną Polska wysłała własnych funkcjonariuszy zbrojnej formacji, nieposiadających mandatu międzynarodowego, w ramach jakiejś niesformalizowanej rzekomej „misji humanitarnej” i to w sytuacji, gdy prośbie Ukraińców o wysłanie podobnych sił odmówiły wszystkie pozostałe indagowane w tej kwestii państwa zrzeszone w organizacji ATLAS, grupującej europejskie jednostki specjalne. Lepiej nawet nie myśleć, co by się stało, gdyby Rosjanom udało się wziąć do niewoli choćby jednego polskiego policjanta. Nie jest przypadkiem, że misję prowadziła właśnie policja, podlegająca resortowi spraw wewnętrznych, którym kieruje Mariusz Kamiński, reprezentujący skrajnie proukraińską postawę.

Wspomniana wyżej wyprawa kijowska również była przykładem ułańskiego

Pomnik upamiętniający Bitwę Narodów pod Lipskiem
FOT. ADOBE STOCK



ryzykanctwa, bo doszło do niej w momencie, gdy Kijów był jeszcze regularnie przez Rosjan atakowany. Na dodatek w jej trakcie Jarosław Kaczyński zgłosił pomysł wysłania na Ukrainę „misji pokojowej”, oczywiście bez zgody drugiej walczącej strony. Była to propozycja ni mniej, ni więcej włączenia się do wojny, ponieważ taka „misja” została przez Rosjan uznana po prostu za uczestników działań wojennych po stronie wroga. Z zasady misje pokojowe opierają się na międzynarodowym mandacie, który określa ich status. Taki mandat najczęściej firmuje Rada Bezpieczeństwa ONZ, a także inne organizacje międzynarodowe, np. Unia Europejska. Tu o niczym takim mowy nie było.

W marcu tego roku wybuchł skandal, kiedy w rozmowie w programie Dariusza Rochbina na kanale LCI 18 ambasador RP we Francji Jan Emeryk Rościszewski oznajmił: „Jeśli Ukraina się nie obroni, to będziemy zmuszeni wejść do tego konfliktu, jako że zagrożone będą wartości fundamentalne dla naszych cywilizacji i kultury, a więc dziś nie mamy wyboru”.

Polska ambasada następnego dnia wydała pokrętne oświadczenie, twierdząc, że słowa ambasadora zostały niewłaściwie zinterpretowane. Nie jest to prawda. Ambasador powiedział dokładnie to. Jednak wkrótce odezwała się na Twitterze jedna z gwiazd wojennej retoryki, ambasador w Kijowie Bartosz Cichocki, pisząc: „Prze-

cież to jest oczywiste, że upadek Ukrainy oznacza wojnę w Polsce”. Ambasador Cichocki nie został nigdy zdyscyplinowany przez kogokolwiek z polityków obozu władzy za tę swoją konfrontacyjną wypowiedź i inne wypowiedzi wykraczające dalece poza kompetencje.

TAKTYCZNE WYCISZENIE?

Te i podobne słowa polityków obozu władzy były groźne, bo w okolicznościach wojennych trzeba wyjątkowo skrupulatnie pilnować, co się mówi. Wykorzystywała je wielokrotnie rosyjska propaganda, a w chwilach ogromnego międzynarodowego napięcia czasami wystarczy nieopatrne słowo, żeby sytuacja wymknęła się spod kontroli.

Rządowym naganiaczom wojennym wtórowali niektórzy publicyści. Jeden z „ekspertów”, którzy na wojnie zyskali popularność, z wykształcenia prawnik, Krzysztof Wojczal, opublikował w lutym sążnisty manifest zatytułowany „To jest nasza wojna”. Tekst pełen był nieścisłości, nielogiczności, manipulacji. Potem Wojczal napisał nawet książkę pod tym samym tytułem. Nie mam pojęcia, jak się sprzedała, ale być może załapał się na ostatni moment, gdy był jeszcze jakiś rynek na dziarskie wojenne pokrzykiwania.

Działo się to niespełna pół roku temu. Od tamtego czasu sporo się zmieniło. Czy jednak na pewno?

Im bliżej wyborów i im więcej pojawiało się informacji o ewolucji nastrojów społecznych wokół Ukrainy, tym bardziej rząd wyciszał wojowniczą retorykę. Tylko prezydent, który nie zmodyfikował swojej postawy ani tonu. Od miesięcy próżno jednak szukać wypowiedzi takich jak niedysyjsze autorstwa ambasadorów Rościszewskiego czy Cichockiego albo ministrów Pawła Jabłońskiego (który opuścił się nawet, jeśli idzie o tropienie onuc) czy Stanisława Żaryna (który przestał pouczać Xi Jinpinga po chińsku w sprawie polityki zagranicznej ChRL). Można by się cieszyć, uznając, że Polska wreszcie postanowiła wycofać się z pierwszej linii szczęśliwie na razie wirtualnego frontu. Niestety, może to być tylko wycofanie chwilowe i taktyczne, związane z wyborami. PiS, który regularnie przeprowadza niejawnie sondaże, doskonale wie, że wojowniczo proukraińska retoryka, a tym bardziej sugerująca możliwość włączenia się do wojny po stronie Kijowa, oznaczałaby spadek poparcia – unika więc tego tematu jak się da. A co będzie po wyborach?

Ponadto zaczyna się pojawiać coraz więcej pseudomocarstwowych pokrzykiwań, w których przedstawiciele obozu władzy chwalą się tym, jaką potęgą staje się rzekomo polska armia, co nieuchronnie przywodzi na myśl buńczuczne pohukiwania z końcówki lat 30. Problem polega na tym, że kontrakty dopiero muszą zostać zrealizowane, a przede wszystkim na tym, że rząd nie przedstawił żadnego spójnego i przekonującego programu sfinansowania gigantycznych wydatków, które nas w związku z modernizacją wojska czekają. Zakontraktowane zakupy, według przybliżonych wyliczeń specjalistów – władza bowiem takich nie prezentuje – mogą kosztować blisko pół biliona złotych, a jeśli weźmiemy pod uwagę inflację, która niespecjalnie spada, to zapewne więcej.

„Za dwa lata będziemy mieć najsilniejszą armię lądową w Europie” – napisał z okazji ostatniego Międzynarodowego Salonu Przemysłu Obronnego w Kielcach Jarosław Kaczyński. Być może, choć cały czas nie wiadomo, skąd weźmiemy na to pieniądze. Lepiej byłoby zachować te przechwałki na moment, gdy będziemy już mieli na miejscu zamówiony sprzęt. I oby chodziło tu faktycznie wyłącznie o wypełnienie starej maksymy: si vis pacem, para bellum. © Wszelkie prawa zastrzeżone

KRYNICA
FORUM
2023



13-15 września



em
po
wer
ing THE
REGION

Najważniejsza konferencja tej jesieni – zapraszamy do Krynicy-Zdroju

- Debata Prezydenta RP Andrzeja Dudy i jego gości
- Forum Koreańsko-Polskie z udziałem premiera Korei i licznej delegacji z Seulu
- Prestiżowi mówcy z Ukrainy, Litwy i innych państw CEE
- Dyskusja ambasadorów m.in. Francji i Słowacji przy Kwaterze Głównej NATO
- Rozmowy przedsiębiorców i polityków o odbudowie Ukrainy
- Energetyka jądrowa, zbrojenia, bezpieczeństwo strategiczne
- +100 paneli z liderami polityki, gospodarki i nauki
- Koncert „Serce Europy” z orkiestrą i znakomitymi artystami
- Symultana szachowa z udziałem arcymistrzów FIDE
- **Kup bilet** na www.krynicaforum.pl

 MAŁOPOLSKA

Giertych tragiczny



Rafał A. Ziemkiewicz

Opozycja znacznie lepiej by wyszła na tym, gdyby Tusk, zamiast brać Giertycha na listę wyborczą za cenę wymuszenia na nim poddania partyjnej dyscyplinie, posłuchał był swego czasu jego rad



Po roku 2007 Roman Giertych zrobił wiele, żeby zostać zaakceptowanym w kręgach lewicowo-liberalnych.

Trzeba jednak mu przyznać, że, aż do niedawna, nie wszystko: nie posunął się do złożenia samokrytyki, odcięcia od ojca i dziadka (choć od Romana Dmowskiego już tak) i nawrócenia się na progresywizm. Faktem jest, że nie odchodził od narodowo-katolickich poglądów, nie deklarował ich też w ostatnich latach, po prostu milczał na temat imponderabiliów, skupiając się na agregowaniu nienawiści wobec PiS i Kaczyńskiego. Najwyraźniej liczył, że jeśli będzie dla liberalnej lewicy i osobiście dla Donalda Tuska użyteczny, to dostanie immunitet na popieranie ich z pozycji „faszystowskich”. Były szef Młodzieży Wszechpolskiej zupełnie nie rozumiał, jakie są cele i metody działania polityka, którego reprezentował w sądzie i na którym zawiesił wszystkie swoje nadzieje, ani jak funkcjonuje środowisko, do którego aspirował.

PEOWSKI WALLENROD

Z dzisiejszego punktu widzenia szanse na zrealizowanie planu wejścia

do establishmentu miał Giertych bardzo krótko: podczas chaosu, który zapanował wskutek rozpadu koalicji PiS z Samoobroną i LPR, gdy starał się o stworzenie rządu „wszyscy przeciwko PiS”, od SLD do niego i Leppera, jako kandydata na „ponadpartyjnego” premiera wysuwając byłego prokuratora Janusza Kaczmarskiego. Większość lewicowo-liberalnych elit była skłonna się na to zgodzić – żyły one wtedy w przekonaniu, że PiS wygra przyspieszone wybory i jedynym ratunkiem jest trwać do końca kadencji, wykorzystując pozostały czas do „załuszczenia” Kaczyńskiego komisjami śledczymi. Donald Tusk zdecydował jednak inaczej i ryzyko mu się opłaciło. Nieoczekiwane zwycięstwo spowodowało z kolei w elitach euforię i, ze skrajności w skrajność, uwierzyły one, że „młodzi, wykształceni z wielkich miast” od teraz zawsze będą już przegłosowywać prawicę, która „wyrze jak dinozaury”. Dla Giertycha po tym, jak zapewnił, że w koalicję z PiS wszedł tylko jako peowski Wallenrod, aby ją sabotować, nie mając już powrotu, oznaczało to tyle, że jako polityk przestał być komukolwiek potrzebny. Jedynym

dostępnym sposobem pozostania w mediach było nieustanne łojenie w nich Kaczyńskiego.

Światło błysnęło dopiero ok. roku 2012, po tym, jak Tusk dokonał gwałtownego zwrotu w swej polityce. Dotąd występujący jako uosobienie polskiego zdrowego rozsądku, dystansujący się od wszelkich skrajności, zbywający z tych zdroworozsądkowych pozycji lekceważeniem lewicowe fantazmaty wspierających go salonów o „genderze”, „pogłębianiu integracji europejskiej” czy „związkach partnerskich” – od mniej więcej roku 2011 zaczął gwałtownie skręcać w lewo i narzucać swej partii agendę skrajnie lewicową. Roman Giertych, w przeciwieństwie do zaczadzonej dialektyką nieuchronnego postępu salonów Michnika, od razu przewidział skutki: w wywiadzie udzielonym wtedy „Gazecie Wyborczej” przestrzegał, wręcz bił na alarm, że PO weszła na drogę, która skończy się oddaniem władzy Kaczyńskiemu. Polskie społeczeństwo, w swej masie tradycjonalistyczne i katolickie, nie zaakceptuje tego politycznego zwrotu ku tęczy i konwencji stambulskiej i odrzuci



FOT. LESZEK STYMAŃSKI/PAF

kać”. Ten obłęd, podtrzymywany wbrew wszystkiemu nawet po tym, jak w roku 2019 PiS ponownie zdobył większość bezwzględną, tym razem już bez żadnych prezentów od losu, również czynił Giertycha z jego polityczną ofertą zbędnym, poza rolę pałkarza, bijącego PiS na odlew bez żadnych zahamowań, do czego wyrobiona mu na salonach opinia „faszysty” dawała szczególnie prawo.

AFERA „DWÓCH WIEŻ”

O tym, że ambicje Giertycha szły dalej niż tylko przypisana mu rola medialnego bulteriera, pisaliśmy już, ale warto powtórzyć. Giertych, trwając w swej diagnozie, że PO utraciła władzę wskutek zarządzanego przez Tuska zwrotu na lewo, oferował dobudowanie do obozu anty-PiS skrzydła tradycyjalistycznego, katolicko-narodowego. Tylko uzupełnienie oferty opozycji o wrażliwość patriotyczną i uszanowanie religijności Polaków mogło umożliwić jej odzyskanie utraconej potęgi z czasów Tuska.

Pierwotnie próbował Giertych wykorzystać do rozwinięcia postulowanej formacji patronat Bronisława Komorowskiego; skończyło się na jakimś efemerycznym stowarzyszeniu z udziałem Radosława Sikorskiego, Michała Kamińskiego i Kazimierza Marcinkiewicza, wokół którego jednak nie udało się Giertychowi niczego zbudować. Później, wobec łamania kręgosłupów ostatnim „konserwatystom” w PO i ich margina-

– co sprawiło, że kontakty między mecenasem a świeżo upieczonym politykiem ten ostatni postanowił utrzymać w tajemnicy, do tego stopnia, że niedawne nieskuteczne zgłoszenie przez Hołownię Giertycha do kandydowania w ramach „Paktu Senackiego” było dla działaczy Polski 2050 zaskoczeniem.

Blokowany wizerunkowo i niedopuszczony do roli „prawicowej” twarzy anty-PiS próbował też Giertych odegrać rolę demiurga, rozdającego karty za kulisami. Taką rolę miała mu dać jego, cokolwiek przez niego samego zmitologizowana, wiedza prawnicza i wgląd za kulisy PiS, zdobyty jakoby podczas krótkich wspólnych rządów.

W tej kwestii skazani jesteśmy na hipotezy, ale wiele wskazuje, że to właśnie Roman Giertych obmyślił operację zapamiętaną jako „afera dwóch wież”. Przypomnijmy, że posłużono się tu niejakiem Geraldem Birgfellnerem, który wykonał dla fundacji im. Lecha Kaczyńskiego projekt wieżowca, właśnie owych „dwóch wież”, który miałby być postawiony na działce należącej do spółki Srebrna. Po czym zaczął domagać się zapłaty za wykonaną pracę, a na spotkanie z Kaczyńskim w tej sprawie udał się z ukrytym sprzętem nagrywającym, dość profesjonalnej klasy, skoro poradził on sobie z chroniącymi prezesa „szumidlami”.

Pułapka polegała na tym, że Birgfellner – dodajmy, że spowinowacony z rodziną prezesa PiS – wykonał pracę niezamówioną. Fundacja zaś nie mogła jej zamówić, gdyż na wspomnianą działkę nie miała od miasta tzw. wuzetki („warunków zabudowy”), a zamawianie konkretnego projektu przed otrzymaniem owego dokumentu (którego, skądinąd, wiadomo, że Srebrna nie otrzymała dopóty, dopóki deweloperką w mieście rządzi Marcin Kierwiński) byłoby przestępstwem niegospodarności, upoważniającym organ nadzorujący fundację (czyli prezydenta Warszawy) do wprowadzenia zarządu komisarycznego. Taki sam skutek miałoby również zapłacenie Birgfellnerowi za pracę, która nie została zamówiona. Giertych (jeśli moja hipoteza nie myli), bądź inny mózg całej prowokacji, założył, że magnetofon Austriaka nagra coś w stylu „a, polskie głupie przepisy tego zabraniają, ale

Ambicje Romana Giertycha szły dalej niż tylko przypisana mu rola medialnego bulteriera

lizowania, były lider LPR postawił na Hołownię. Wizerunek publiczny byłego prezentera TVN w chwili, gdy wchodził on do polityki, jako „umiarkowanego” katolika, bardzo do planu Giertycha pasował. Cóż, kiedy bieżące polityczne potrzeby skłoniły Hołownię do kłecenia klubu parlamentarnego Polski 2050 głównie z działaczy skrajnej lewicy, do których Giertych nie pasował, a wręcz uznawany by był przez nich za „obciach”

rządzących – a jeśli tak, to nie będzie dla nich miało innej alternatywy niż PiS.

Przestrogi Giertycha oczywiście zostały zignorowane – wiara w rozstrzygającą moc „młodych, wykształconych, z większych ośrodków”, którzy z natury nie mogą być inni niż postępowi i lewicowi, była w rządzących wówczas jeszcze elitach zbyt silna, by dopuścili racjonalne argumenty. Wiarą tą nie zdołali zachwiać także fakty: gdy przeprowadzenie Giertycha się spełniły, środowiska, do których aspirował, po prostu nie przyjęły tego do wiadomości. Przegraną złożyły na karb przypadku, rozbicia głosów, i skupiły się na udowadnianiu sobie samym, że władza PiS jest tylko chwilowym cofnięciem Polski przez „populistów” na jedynej możliwej i chcianej przez wszystkich drodze postępu. Że PiS nie ma moralnej legitymacji ani realnego poparcia i nie dotrwa do końca kadencji (pierwotnie wierzone, że nawet do końca roku): że zaraz, na wezwanie TVN i UE do obrony Trybunału Konstytucyjnego, wolnych sądów, kobiet i kogo tam jeszcze, wyjdą na ulice miliony „Polek i Polaków” i „pisowcy będą z okien ska-

rodzina jest rodzina, wykonałeś kawał pracy, po to mam księgową, żeby jakoś zachachmęciła w papierach”. Oczywiście skutkiem opublikowania takiej taśmy, poza propagandą „Kaczyński pasie swoją rodzinę”, byłoby przejęcie Fundacji przez miasto, odcięcie PiS na kilka miesięcy przed wyborami od głównego zaplecza finansowego i wpuszczenie lewicowo-liberalnych dziennikarzy do archiwum przelewów na rzecz finansowanych przez Srebrną i Fundację mediów i przedsięwzięć.

Intryga, jak pamiętamy, spaliła na panewce, bo Kaczyński powiedział nagrywającemu go powinowatemu: nie zapłacę ci, bo to sprzeczne z prawem, podaj mnie do sądu, ja tam potwierdzę, że wykonałeś projekt i jeśli wygrasz, to dopiero będę miał podstawę wypłacić ci pieniądze. To całą misterną intrygę doprowadziło do nieprzekonujących, niczym niepopartych oskarżeń Austriaka, które nie wpłynęły na wynik wyborów.

NOWY NARRACYJNY WEHIKUŁ

Bez względu na to, czy i jaką rolę odegrał Giertych w tej sprawie, wkrótce potem on sam znalazł się w opałach za sprawą prokuratorskiego śledztwa dotyczącego wyprowadzenia przez znanego biznesmena Ryszarda K. 92 mln zł z powiązanej z Prokomem spółki deweloperskiej Polnord. Zdaniem prokuratury, w celu przeprowadzenia transakcji nielegalnego nabycia przez Polnord za wspomnianą kwotę roszczeń wobec miasta Warszawa (odrzuconych przez miasto jako bezpodstawne i niemożliwych do wyegzekwowania), Giertych założył dwie fasadowe spółki, które nikogo nie zatrudniały i poza udziałem w transakcji nie prowadziły nigdy żadnej działalności. Sam Giertych miał przy tym reprezentować wszystkie cztery zaangażowane podmioty (!) i pobrać za to honorarium w wysokości 2,4 mln zł.

Można wnosić, że zarzuty były dość nieodparte, skoro zamiast ustosunkowywać się do nich, Giertych zemdłał. Od tego czasu konsekwentnie ignorował wezwania do prokuratury, twierdząc, że skoro był nieprzytomny (sugerował potem, że policja czy też prokurator próbowali go zamordować, rozpylając w jego domu trujący gaz), to zarzutów nie postawiono mu w sposób skuteczny,

a skoro nie postawiono mu zarzutów, to nie toczy się postępowanie, więc nie musi się stawiać na wezwania. Trwało kilkanaście miesięcy, zanim prokuratura uzyskała prawomocne orzeczenie sądu, że zarzuty postawiono prawidłowo i Giertych ma obowiązek uczestniczyć w postępowaniu – on sam zdążył się w tym czasie przenieść do swej posiadłości w Toskanii i odtąd już nie pojawił się w Polsce, gdzie zgodnie z prawem powinien być niezwłocznie zatrzymany i doprowadzony do prokuratury siłą.

Moment wspomnianego omdlenia, czyli październik 2020, można powiedzieć, kończy istnienie w sferze publicznej Romana Giertycha jako osoby poważnej. Odcięty od kraju coraz bardziej zamyka się w internetowej rzeczywistości alternatywnej, którą sam

**Można wnosić, że zarzuty
były dość nieodparte,
skoro zamiast
ustosunkowywać się do nich,
Giertych zemdłał**

w dużym stopniu kreuje: po wygaszeniu działalności wspieranego przez niego portalu „Sok z Buraka”, Giertych tworzy nowy narracyjny wehikuł: grupę internetową, wzorowaną na osławionych „Silnych Razem”. Za jej pośrednictwem rozpowszechnia obelgi, fejki i coraz bardziej szalone teorie spiskowe, głównie dotyczące rzekomych związków Kaczyńskiego z Putinem, Orbánem i Grupą Wagnera. Promuje też Trzecią Drogę Hołowni i Kosiniaka-Kamysza oraz zwalcza Lewicę. I oczywiście szerzy kult Donalda Tuska, jako nieomylnego wodza, któremu wszyscy powinni się poddać w ramach „jednej listy”.

Jak inni wyznawcy Tuska, nie zauważa przy tym, że ten, najwyraźniej kierując się wyłącznie własnym interesem, przyjął zasadę dokładnie odwrotną od tej, która mogłaby dać upragnione „odsunięcie PiS od władzy”: zamiast na szeroki sojusz i rozbudowanie oferty dla wyborców z różnych grup docelowych postawił na „cięcie po skrzydłach”, zepchnięcie pod próg wyborczy Lewicy

i Hołowni oraz zwasalizowanie PSL. Częścią tej strategii, dla Giertycha fatalną w skutkach, był jeszcze mocniejszy niż kiedykolwiek wcześniej skręt Tuska ku skrajnie lewicowej agendzie: licząc na przejęcie elektoratu Biedronia i Czarzastego, głównym wątkiem kampanii uczynił aborcję na życzenie. I Giertych, skoro wreszcie doprosił się miejsca na liście KO (starania o start do Senatu udaremniła mu Lewica), to zmuszony został do upokarzającego oświadczenia, że „podda się dyscyplinie klubowej”.

Czy rzeczywiście będzie w przyszłości musiał się jej poddać to głęboko wątpliwe. Tusk, który na Kampusie Fundacji Adenauera i Rafała Trzaskowskiego powiedział wyraźnie, że „ma dyskomfort”, wystawiając Giertycha, ale liczy na to, że „jeszcze większy dyskomfort ma Kaczyński”, oczekuje od „mecenasa Omdleusza”, jak nazywa Giertycha prawnikowy Internet, tylko kłusania Kaczyńskiego i atakowania go w kampanii „kompromitującą wiedzą”, jaką rzekomo posiada jako „jedyne żyjący jeszcze wicepremier rządu PiS”. Nie spodziewa się natomiast, by Giertych przyprowadził mu jakiś elektorat. Bo niby skąd? Dla dawnych wyborców LPR, słuchaczy Radia Maryja i narodowców były minister edukacji jest dziś odrażającym zdrajcą. Dla elektoratu lewicowego pozostaje zniechędzonym „faszystą”. Dla „normalsów” – pociesznym internetowym hejterem i świrem, wymyślającym historie w rodzaju uknuć przez Kaczyńskiego z Putinem i Orbánem rozbiór Ukrainy; w dodatku gotowym na wszystko, by, jak senatorowie Gawłowski czy Grodzki, schować się przed zarzutami karnymi (a grozi mu do 10 lat więzienia) za immunitetem.

Jednak sam Giertych zdaje się wierzyć, że ma szansę – wezwał już swoich stronników z całego kraju, by na wybory jechali do Kielc, i wiele wskazuje, że zamierza zagrać *va banque*: wrócić do Polski i grać rolę prześladowanego przez reżim męczennika, titującego się z aresztu, że „Jarek”, jak obcesowo zwraca się publicznie do Kaczyńskiego, kazał go przymknąć, bo boi się jego „kwitów” i debaty.

Nawet żywiąc wobec byłego lidera LPR negatywne uczucia, trudno mu w tym głębokim upadku nie współczuć.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Ze Sławomirem Mentzenem, liderem Konfederacji, prezesem partii Nowa Nadzieja
rozmawia Ryszard Gromadzki

Mentzen na żywo



RYSZARD GROMADZKI: Co jest powodem regresu notowań Konfederacji w sondażach z ostatnich tygodni?

SŁAWOMIR MENTZEN: Te negatywne sondaże są z wakacji, kiedy nasz elektorat w sporej mierze na pewno jest myślami, a może i ciałem na urlopie, więc jest to zupełnie normalne. Poza tym nie da się ukryć, że w sierpniu debatę publiczną skutecznie zdominowały PiS i Platforma. Jeżeli media mówią tylko o PiS i Platformie, to nic dziwnego, że im sondaże rosną, a my schowaliśmy się na drugim planie.

Jaki macie plan na ostatnie tygodnie kampanii? Będą ostry finisz i miejsce na podium po wyborach?

Konfederacja będzie próbowała zebrać jak najwięcej uwagi i zainteresowania na ostatnim etapie kampanii. Będziemy robić wszystko, żeby to się udało. Mamy zaplanowaną trasę wyborczą „Bosak Mentzen NA ŻYWO”, w planie mamy również bardzo dużą konwencję wyborczą w Spodku w Katowicach i kolejne wydarzenia. Mamy nadzieję, że przebiję się to do opinii publicznej, choć faktem jest, że media traktują nas nieprzychylnie. Z trzech największych telewizji tylko Polsat regularnie nas zaprasza, w TVP w ogóle nas nie ma, a w TVN jesteśmy incydentalnie.

Jak wygląda frekwencja na waszych spotkaniach z wyborcami? Rzeczywiście jest z nią tak błado, jak przekonują niektóre media?

Frekwencja jest wysoka. Wystarczy spojrzeć na zdjęcia z naszych wydarzeń, które wyglądają jak duży koncert. Rzeczywiście media próbują wykreować obraz, z którego ma wynikać, że na nasze spotkania nikt nie przychodzi. Wszystkich pobił Onet, który pokazał zdjęcia zza sceny, na których widać kawałek pola, podczas gdy przed sceną stało jakieś półtora tysiąca ludzi. Robienie zdjęć zza sceny i pokazywanie, że nikogo nie ma, jest prostą manipulacją i kompromitacją dziennikarzy.

Chyba nie trzeba być szczególnie przewidyującym, żeby spodziewać się, że tego rodzaju chwytów na ostatnim odcinku kampanii będzie jeszcze więcej. Uderzenie w establishment, więc ten się odwołuje. Na finiszu kampanii będzie pewnie odwołanie się jeszcze mocniej...

FOT. JACEK KUDWIŃSKI/REPORTER

Oczywiście. Media mają na nas dwa sposoby. Pierwszy to nas przemilczeć. Drugi to kłamać na nasz temat. Jestem przekonany, że w najbliższych tygodniach będą wykorzystywały obydwie te metody w różnych proporcjach. Naszym celem jest zakończenie rządów PiS i niedopuszczenie do powstania rządu Donalda Tuska. Dlatego media związane z tymi oboma obozami politycznymi będą w oczywisty sposób próbowały nam zaszkodzić.

Co według pana oznaczałoby dla Polski trzecia kadencja PiS?

Prawdopodobnie kontynuację tego, co widzieliśmy w ciągu minionych ośmiu lat, czyli podnoszenie i komplikowanie podatków, zwiększanie rozdawnictwa i pogarszanie sytuacji Polski na arenie międzynarodowej. Dalsze psucie państwa, brak naprawy wymiaru sprawiedliwości, degrengoladę służby zdrowia. Zapóźnienie transformacji energetycznej.

A co pana zdaniem czeka nas w sytuacji, gdyby rządzić miała opozycja pod batutą Tuska?

Obawiam się, że Tusk zrobi wszystko, czego zażąda od niego Bruksela. Wszystko, czego oczekiwać będą

mowało się kolejnymi dziedzinami gospodarki. Będzie budowało mieszkania, fabryki, może też jakieś sklepy. Z całą pewnością rząd, który miałby stworzyć Donald Tusk, również byłby bardzo zły. Dlatego chcemy to powstrzymać.

W narracji Konfederacji polityka zarówno PiS, jak i Platformy wobec Unii Europejskiej różni się tylko pozornie. De facto obydwie formacje realizują agendę narzuconą przez Brukselę. Jeśli tak jest, to jak zamierzacie skutecznie bronić w nowym Sejmie tego, co zostało z polskiej suwerenności? Nie wchodząc w koalicję ani z PiS, ani z PO? Czy nie będzie to tylko gestem Rejtana?

Rzeczywiście, jeśli spojrzymy na sferę faktów, to PiS na wewnętrzny użytek twierdzi, że broni Polski przed zakusami Unii Europejskiej. Faktycznie jeśli przyjrzymy się obiektywnie polityce, którą prowadzi, na wszystko się zgadza, gdy tylko jego politycy czy urzędnicy pojadą do Brukseli. A więc różnice pomiędzy PiS a PO w tym obszarze są wyłącznie retoryczne. Są dwie możliwości. Pierwsza jest taka, że PiS dogada się z Platformą i wtedy nie będą mieli problemu, żeby nas przegłosowywać i dążyć razem w tym samym kierunku. Ale taki wariant

widzą jeszcze rzeczywistych konsekwencji polityki realizowanej przez Unię Europejską?

Jedno pytanie, które zaproponowaliśmy, dotyczyło Unii Europejskiej, bo chodziło o zakaz sprzedaży samochodów z silnikiem spalinowym po 2035 r., gdzie Polacy są przeciw, a nikt się nas o zdanie nie pytał. Faktem jest, że w tym momencie Polacy są jednym z najbardziej euroentuzjastycznych narodów w Europie. Wynika to z tego, że Unia przez całe lata była uważana za dobrą ciocię, która daje nam pieniądze. Dzięki którym możemy sobie budować drogi i stadiony.

I koniecznie aquaparki...

Dokładnie. Bez aquaparków ani rusz. Właśnie taki obraz udało się wytworzyć Unii wśród Polaków. Ludzie nie widzą tego, ile nasza gospodarka straciła na różnych unijnych regulacjach, dyrektywach i rozliczeniach. Ten odbiór może się jednak zmienić, ponieważ Unia Europejska przeszła od sterowania gospodarką i przedsiębiorstwami do sterowania życiem ludzi. Mamy dyrektywę budynkową, która będzie wymuszała remonty i instalowanie fotowoltaiki. Będą kolejne dyrektywy, które będą zabraniały nam kupowania samochodów, zwiększały ceny prądu czy biletów lotniczych. Polacy, podobnie jak inni Europejczycy, dopiero za kilka lat dostrzegą, czym naprawdę zajmuje się obecnie Unia Europejska. W tym momencie nie ma tematu politycznego pod nazwą „wyjście z Unii Europejskiej”. Polska nie jest na to gotowa w żadnym wypadku.

Naszym celem jest zakończenie rządów PiS i niedopuszczenie do powstania rządu Donalda Tuska. Dlatego media związane z tymi oboma obozami politycznymi będą w oczywisty sposób próbowały nam zaszkodzić

Niemcy, co jeszcze bardziej pogorszy sytuację Polski. Unia Europejska zmienia się teraz bardzo szybko, produkuje seryjnie nowe dyrektywy, ma idące coraz dalej zakusy ograniczenia suwerenności państw członkowskich. Donald Tusk będzie im w tym pomagał, więc jeśli chodzi o relacje z Unią Europejską, to spodziewam się jak najgorszych rzeczy. Trzeba postawić pytanie, z kim Donald Tusk ten rząd stworzy, bo jeżeli z Lewicą – jak zapowiada – z Adrianem Zandbergiem, to będziemy mieli bardzo wysokie podwyżki podatków, być może jeszcze większe niż za PiS programy socjalne. Państwo będzie zaj-

były dla PiS bardzo kosztowny politycznie. Drugi scenariusz jest taki, że z powodów wizerunkowych, a nie prawdziwych intencji, PiS z Platformą się nie dogadają, a wtedy będziemy w stanie blokować wszystkie głupie i szkodliwe pomysły.

Konfederacja zdecydowanie skrytykowała pytania, które znalazły się w referendum towarzyszącym wyborom. Przedstawiliście własne, na które waszym zdaniem powinni odpowiedzieć Polacy. Wśród nich nie było jednak pytania o sens dalszej obecności Polski w Unii. Dlaczego? Bo takie pytanie na tym etapie jest przedwczesne, zabójcze politycznie? Ludzie nie

Co nie znaczy, że powiedzmy w perspektywie dekady taki temat nie stanie się tematem z kategorii „być albo nie być” dla naszego państwa...

Przyszłość co do zasady jest nieprzewidywalna. Mało kto spodziewał się w okolicach 2005 r., że Wielka Brytania będzie wychodziła z Unii Europejskiej. Nie wiemy, jak sytuacja się rozwinie. W całej Europie rosną notowania partii eurosceptycznych. Jest więc jakaś nadzieja, że pod wpływem tego impulsu Unia Europejska przynajmniej w jakimś stopniu ograniczy swoje zapędy, zmieni swój kierunek. Obserwujemy ewidentny kryzys przywództwa w Unii Europejskiej, więc trudno przewi-

dzieć, jakie scenariusze czekają nas w przyszłości. Dlatego nie powinniśmy zamykać sobie żadnych ścieżek, myśleć otwarcie o różnych rozwiązaniach. Ale powtórzę: w tym momencie nie ma tematu wyjścia Polski z Unii.

Wróćmy do wewnętrznych polskich spraw. W publicznych wypowiedziach twierdzi pan, że stan prawny w sferze ochrony życia poczętego jest w Polsce satysfakcjonujący. W ostatnich miesiącach nasiliły się próby jego zmiany poprzez wprowadzenie tzw. przesłanki zdrowia psychicznego matki, która umożliwiałaby aborcję. W tych dniach przeciw wprowadzeniu do obiegu prawnego opowiedziała się komisja bioetyczna przy Konferencji Episkopatu Polski. Jakie jest pańskie stanowisko w sprawie dopuszczalności tej przesłanki jako uzasadnienia zabijania nienarodzonych dzieci?

Oceniam pozytywnie stanowisko Episkopatu. Trybunał Konstytucyjny wprost wskazał, że tego rodzaju przepisy są sprzeczne z konstytucją. PiS próbuje obejść, i to pozaustawowo, stanowisko Trybunału Konstytucyjnego. Wprawdzie przywykłem do tego, że w Polsce w praktyce hierarchia źródeł prawa jest inna, niż faktycznie powinna być. To znaczy, że prymat powinna mieć konstytucja, a później ustawy, rozporządzenia, a dopiero później inne akty prawne. U nas rząd premiera Morawieckiego już po raz któryś próbuje za pomocą regulaminów i rozporządzeń modyfikować nie tylko przepisy ustawowe, lecz także konstytucyjne.

Dlaczego prawica w Polsce boi się pójść dalej w sprawie ochrony życia poczętego? Przykład Stanów Zjednoczonych pokazuje, że pomimo ekspansji ideologii lewicowo-liberalnej to możliwe. Po 50 latach Sąd Najwyższy USA obalił orzeczenie w sprawie Roe v. Wade. Czy Konfederacja jest gotowa poprzeć rozwiązania prawne prowadzące do pełnej ochrony życia poczętego?

Stany Zjednoczone pokazały, że kierunek w sferze ochrony życia poczętego nie jest przesądzony, więcej – może zostać zawrócony. Mam nadzieję, choć nie jest ona wielka, że w przyszłości w Polsce uda się zachować pełną ochronę życia poczętego. Nie widzę na to wielkich szans, pozostaje nadzieja.

W związku z napływem do naszego kraju milionów Ukraińców po agresji Rosji i szerokim

wsparciem socjalnym, z którego mogą u nas korzystać, Konfederacja przestrzegała przed ukrainizacją Polski. Jak chcecie uregulować tę kwestię w przyszłym Sejmie?

Co do zasady jestem przeciwny programom socjalnym niezależnie od narodowości beneficjentów. Wojna wybuchła ponad półtora roku temu i każdy z Ukraińców obecnych w Polsce miał dostatecznie dużo czasu, żeby się w Polsce zadomowić i znaleźć pracę oraz zacząć się z niej utrzymywać.

Nie widzę powodu, żeby państwo polskie dalej utrzymywało jakieś

Jeżeli Ukraina się „ucywilizuje”, to stanie się oczywistym konkurentem Polski w obszarze rolnictwa, przemysłu, rynku pracy czy miejsca lokowania inwestycji

specjalne programy pomocowe dla Ukraińców przebywających w Polsce. Rozumiem, że taka pomoc była potrzebna w pierwszych dniach po wybuchu wojny, po półtora roku, jeśli ktoś nie jest w stanie sam się utrzymać, to już jest jego problem, nikt go w Polsce na siłę nie trzyma.

Premier Węgier Viktor Orbán w niedawnej rozmowie z Carlsonem Tuckerem dostępnej na platformie X wyraził zdanie, że Ukraina nie jest w stanie wygrać wojny z Rosją ze względu na ogromną dysproporcję zasobów ludzkich i materialnych na korzyść Rosji. Zdaniem Orbána ludzenie ludzi przez media na Zachodzie, a także w Polsce, wizją ukraińskiego zwycięstwa jest kłamstwem. Zgadza się pan z opinią Orbána?

Założenie, że Ukraina przy zdecydowanie mniejszym potencjale demograficznym i materialnym wygra wojnę z Rosją, jest niesamowicie optymistyczne. To było oczywiste od początku tej wojny. Nie wiem, dlaczego Polaków ogarnął w tej sprawie jakiś powszechny hurraoptymizm, że Ukraińcy bez problemu wygrają z Rosjanami. Nawet uwzględniając ogromną pomoc finansową i sprzętową ze strony państw NATO, od samego początku powinien być jakiś plan B. Przychylam się do diagnozy amerykańskich konserwatywistów, że nawet daleko idąca pomoc dla

Ukrainy nie zmieni wyniku wojny, a tylko zwiększy liczbę ofiar. Prędzej czy później Ukraińcy będą musieli dogadać się z Rosjanami i jakiś kompromis będzie musiał zostać zawarty. Warto, żeby został on osiągnięty, zanim zginą kolejne setki tysięcy Ukraińców i zanim zniszczone zostaną kolejne ukraińskie miasta. Być może coraz ważniejsze jest namawianie Ukraińców do jakiejś formy kompromisu.

Co ten kompromis może oznaczać dla nas? Polska postawiła wszystko na zwycięstwo Ukrainy

w tej wojnie. Wpływowi ukraińscy politycy mówią wprost, że po wojnie Polska z sojusznika stanie się dla Ukrainy rywalem. Prezydent Zełenski prognozuje wręcz, że po wojnie Ukraina będzie miała w Europie Wschodniej uprzywilejowany status, podobny do Izraela.

Ukraina stanie się oczywistym konkurentem Polski w obszarze rolnictwa, przemysłu czy rynku pracy, miejsca lokowania inwestycji. Jednak nie wiadomo, czy to jej się uda. Ukraińcy mają olbrzymi problem z oligarchami, korupcją, systemem prawnym. Jeżeli Ukraina się „ucywilizuje”, to będzie olbrzymim zagrożeniem gospodarczym dla Polski. Jeśli się nie „ucywilizuje”, czego nie potrafiła dokonać przez poprzednie trzy dekady, to nie będzie tak poważnym zagrożeniem. Trudno mi teraz oceniać konsekwencje kompromisu, którego zarysów nie znamy. Dopiero kiedy będziemy wiedzieli, jak to wszystko się zakończy, przyjdzie czas na ocenę.

W diagnozie Konfederacji polskie państwo wymaga generalnego remontu. Wierzy pan w to, że uda się zreperować Polskę?

Przed Polską stoi mnóstwo potężnych wyzwań. Mam wielką nadzieję, że sobie z nimi poradzimy. Gdybym uważał, że nic nie da się zrobić, nie zajmowałbym się polityką.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Ukrywanie polskości

Niy Niymie
Niy Polōk
ino Slōnz

Marsz Autonomii w Katowicach,
14 lipca 2018 r. FOT. LUKASZ KALINOWSKI/EAST NEWS



Andrzej Krzystyniak

Radni Koalicji Obywatelskiej podczas śląskiego sejmiku zmieniają nazwę ważnej instytucji kultury, usuwając z niej polskość

Ostatnia sesja śląskiego sejmiku przejdzie do historii województwa za sprawą zmiany nazwy instytucji kultury zarządzanej przez samorząd wojewódzki, a mianowicie usunięcia z nazwy przymiotnika „polski”. Instytut Myśli Polskiej im. Wojciecha Korfańskiego, istniejący od trzech lat, radni Koalicji Obywatelskiej postanowili zastąpić nazwą Regionalny

Instytut Kultury im. Wojciecha Korfańskiego.

Warto zacytować uzasadnienie, którym posłużyli się inicjatorzy: „Biorąc pod uwagę wielokulturowość województwa śląskiego oraz silne poczucie tożsamości etnicznej mieszkańców regionu – nazwa instytucji szczebla regionalnego winna jednoznacznie identyfikować instytucję w przestrzeni publicznej, przy jednoczesnym zagwarantowaniu kultywowania, podtrzymywania, pielęgnowania i promowania regionalnego dziedzictwa kulturowego”.

KULTUROWE SEPAROWANIE

Inicjatorzy wykreślenia „polskości” z nazwy być może nie zdają sobie sprawy, jak idealnie wpisali się w nurt śląskiego odseparowania kulturowego od Polski. Być może do tej pory nie ro-

zumieją, jak sztandarowym przykładem odcinania od Polski Śląska stało się ich działanie.

Choć żadna z organizacji „regionalistów” mających na swych sztandarach walkę o „niezależność Śląska” nie dostała się w ostatnich wyborach samorządowych do sejmiku śląskiego, to ich postulaty realizują inne siły polityczne. Na Śląsku zresztą to nic nowego. Taki proces zachodzi tu od wielu lat. Ubiera się go w szaty „regionalizmu”, „poczucia tożsamości regionalnej”, „odrębności” itp.

Organizacje, które oficjalnie potrafią przybierać maskę „regionalistów”, nie mają z kolei problemów z publikowaniem treści typu: „Śląsk to nie Polska”. Całkiem niedawno pojawiła się strona internetowa jednej z aktywnych organizacji domagających się m.in. uznania mniejszości śląskiej, autonomii, w której



A wszystko to przetłumaczone na kilka języków. Organizatorzy ogłaszają, że sporządzono także ulotkę, która będzie „rozprowadzana podczas marszu w Katalonii”. Złośliwi mogą stwierdzić, że cała sprawa dotyczy wybuchu niszowej organizacji skupiającej fanatyków. Jednak jeśli prześledzimy wypowiedzi i program śląskich liderów „regionalistów” i ich sojuszników, to łatwo stwierdzimy, że wszyscy oni głoszą jednakowy pogląd. Przy czym znamieną jest wspólna cecha: oddzielenie śląkości od polskości, przy jednoczesnej proniemieckości. Polskość w historii Śląska ma być w wizji „regionalistów” zredukowana do okupanta lub depozytariusza, który administruje przyznanym mu (niesprawiedliwie) obszarem. Przy czym administruje nim w sposób rażąco niegospodarny, dodatkowo gnębiąc Ślązaków oraz tłumiąc ich poczucie tożsamości etnicznej. Można odnieść wrażenie, że jedyne, co stworzyła Polska na Śląsku po 1945 r., to... obozy koncentracyjne dla Ślązaków. W powyższej opinii zgodni są wszystkie odcienie „regionalistów” oraz ich aktywni sojusznicy, reprezentujący głównie partie lewicowe.

„POLSKI” OBÓZ KONCENTRACYJNY

W grudniu ubiegłego roku na terenie dawnego komunistycznego obozu pracy Zgoda w Świętochłowicach, będącego do 1945 r. filią niemieckiego obozu koncentracyjnego Auschwitz, umieszczono makietę. Wzbudziło to ostrą reakcję wszystkich środowisk „regionalistów”, którzy jednoznacznie uznali, że doszło do historycznego fałszerstwa. Zdaniem przedstawicieli Ruchu Autonomii Śląska i akolitów, skoro doszło do określenia miejsca (zgodnie z prawdą) niemieckim obozem koncentracyjnym, to po 1945 r. powinno się go nazwać „polskim obozem koncentracyjnym”.

Łatwo wywnioskować, obserwując sytuację ze zmianą nazwy Instytutu Myśli Polskiej im. W. Korfanteo, że w Sejmiku Województwa Śląskiego, po zmianie układu sił politycznych, dojdzie do podobnych prób przeforsowania nazwania Zgody „polskim obozem koncentracyjnym”, o co od lat zabiegają środowiska „regionalistów” wraz z sojusznikami. Dodajmy, że „regionalisci” wraz z mniejszością niemiecką dopuszczają nazwanie Zgody

„komunistycznym obozem koncentracyjnym” pod warunkiem, że okres do 1945 r. będzie określony „nazistowskim”, nie zaś niemieckim.

Wspomniane środowiska, od lat głoszące „odrębność kulturową” Śląska, reagujące alergicznie na każde utożsamienie Śląska z Polską, będą gwałtownie protestować na identyfikowanie ich działań jako separatyzm bądź proniemieckość, którą notabene można dostrzec w co drugim zdaniu wypowiedzianym na temat historii Śląska.

Śląsk ich zdaniem jest zwłaszcza w ostatnich latach brutalnie „polonizowany przez polską administrację”. Wszystko to można byłoby traktować z pewną dozą

**Zamiast Instytutu Myśli
Polskiej jest teraz
Regionalny Instytut Kultury
im. Wojciecha Korfanteo**

pobłażliwości, zwłaszcza w sytuacji, kiedy Ruch Autonomii Śląska i pokrewne organizacje nie posiadają nawet minimalnej reprezentacji we władzach województwa czy wśród radnych sejmiku. Dodajmy, że brak reprezentacji politycznej może dodatkowo świadczyć o znikomym poparciu wśród mieszkańców województwa śląskiego dla wyznawanych przez nich idei „regionalizmu”. Jak się jednak okazuje, po głosowaniu w śląskim sejmiku nad zmianą nazwy Instytutu Myśli Polskiej idee „regionalizmu” mają również wyznawców w innych opcjach politycznych i Ruch Autonomii Śląska wraz z akolitami takowej reprezentacji wcale nie potrzebuje, by realizować swe cele.

Co na to państwo polskie? Czy ktokolwiek widzi w tych działaniach cokolwiek niepokojącego, zwłaszcza w sytuacji rosyjskiej agresji na Ukrainę i toczącej się tam wojny? Czy odcinanie kulturowe Śląska od Polski, propagowanie wizji historii, w której „Śląsk to nie Polska”, a „państwo polskie tłumi tożsamość Ślązaków”, może być niebezpieczne dla spójności i bezpieczeństwa państwa? Niech każdy sam spróbuje, co nietrudne, odpowiedzieć na to pytanie.

możemy znaleźć takie treści: „W 1918 r. Niemcy przegrywają wojnę, a na mapie odradza się historyczny wróg Śląska – Polska”. Z kolei na temat drugiej wojny światowej na Śląsku możemy dowiedzieć się tyle: „W czasie drugiej wojny cały Śląsk znajduje się w granicach III Rzeszy. Z kolei po wojnie Stalin w ramach rekompensaty za odebrane wschodnie ziemie Polski daje Polakom zdecydowaną większość Śląska – nie tylko Górnego, lecz także Dolnego. Zdaniem autorów: praktycznie cała ludność Dolnego Śląska albo szuka ratunku w Niemczech, albo jest zmuszona tam wyjechać”. I najważniejsze: „Od 1945 do 1952 r. na Śląsku funkcjonowały polskie obozy koncentracyjne, w których katowani byli Ślązacy klasyfikowani jako wrogowie narodu polskiego. Ślązacy byli zmuszeni do zapominania o swoim języku oraz kulturze”.



Tomasz Rowiński

Jana Szostak ma swoje pięć minut w polskiej polityce, które zaczęło się od minutowego happeningu przed przedstawicielstwem UE w Warszawie

Jana Szostak bez wątpienia, przynajmniej na krótki czas, stała się twarzą trwającej kampanii wyborczej. Najpierw została wciągnięta na listy Koalicji Obywatelskiej przez Donalda Tuska, jako kandydatka Zielonych, by potem, w dość burzliwych okolicznościach i bardzo szybko, z nich wylecieć. Za deklarację poparcia aborcji aż do chwili urodzenia i stwierdzenie, że sama także zabiła swoje nienarodzone dziecko. Równie prędko jednak po polsko-białoruską aktywistę zgłosiła się Lewica kolekcjonująca wśród swoich kandydatów najrozmaitszych radykałów. I oczywiście także radykałki.

KRYK W SPRAWIE BIAŁORUSI

O Szostak stało się dość głośno, gdy w maju 2021 r. wszystkie znaczące media w Polsce relacjonowały jej „Krzyk dla Białorusi”. Wydarzenie to miało miejsce pod przedstawicielstwem Unii Europejskiej w Warszawie, na konferencji prasowej zwołanej przez posła do Parlamentu Europejskiego Roberta Biedronia. Ten protest, w formie specyficznego performance'u – trwającego ok. minuty nieartykułowanego krzyku – miał być wyrazem sprzeciwu Szostak wobec ataków na opozycyjne media na Białorusi, które w tamtym czasie przeprowadzał reżim Łukaszenki.

Akcja Szostak odbyła się 24 maja 2021 r., dzień po tym, jak aresztowano Romana Protasiewicza, założyciela niezależnego od władz naszego wschodniego sąsiada portalu Nexta. Protasiewicz leciał samolotem linii Ryanair z Aten do Wilna. Samolot został jednak przechwycony przez myśliwiec sił powietrznych Białorusi i zmuszony do lądowania w Mińsku, gdzie dziennikarza aresztowano. W maju został on skazany na osiem lat więzienia, wcześniej miał „zmienić poglądy” polityczne.

Jana Szostak podczas protestu, na którym przez minutę krzyczała – w obronie niezależnych mediów na Białorusi, Warszawa, 24 maja 2021 r.

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

Z okrzykiem do Sejmu

„My już nie możemy milczeć. Wszystko, co nam pozostaje, to minuta krzyku” – mówiła Szostak na konferencji prasowej. Aktywistka wskazywała wtedy też konkretne postulaty polityczne w sprawie Białorusi: „Przede wszystkim najważniejsze jest zaostrzenie sankcji. Pewnie większość z was nie wie, ale białoruska, siostrzana firma Naftanu, Beloil Polska, właśnie ma zamiar podpisać umowę z Orlenem. Norweska firma Yara nadal współpracuje z białoruskim rządem. W sklepach Auchan widzimy nadal produkty pochodzące z białoruskiego reżimu. Tych firm jest o wiele więcej”.

Szostak odnosiła się wówczas do sytuacji Białorusinów w ich własnym kraju: „Głosu Białorusinów mieszkających

w Białorusi nie przekażę z tego powodu, że oni się boją. Całe społeczeństwo jest na tyle zastraszone, że boi się zmienić zdjęcie na Facebooku, rozmawiać ze swoimi rodzinami o tym, co się dzieje. Wszyscy znajdujemy się w emocjonalnym rollercoasterze” – stwierdziła. Wezwała do bardziej aktywnego wsparcia, „bo inaczej te osoby, które się znajdują teraz w Białorusi, ich reżim po prostu zabije”. O kogo dokładnie chodziło, nie wyjaśniła.

Performance Szostak wywołał mieszane uczucia. Liberalne i lewicowe media były nim zachwycone, te po prawej stronie raczej odbierały jego formę z pewnym zażenowaniem. Krytycznie do protestu odniosła się posłanka Lewicy Anna Maria Żukowska, która w mediach

społecznościowych opublikowała zdjęcie Szostak zrobione niedługo przed akcją z „krzykiem” lub po niej. Aktivistka ubrana była na nim w suknię w barwach flagi niepodległej Białorusi, z głębokim dekoltem eksponującym biust. „Dlaczego nie mam wrażenia, że naprawdę chodzi jej o Białoruś?” – napisała Żukowska. Choć uwagę posłanki lewicy część komentujących w mediach społecznościowych określiła mianem seksistowskiej, to być może ta intuicja była trafna. Z pewnością postać Szostak na tyle zapadła w pamięć liderom politycznym, że przez moment widzieliśmy ją na listach największej partii opozycyjnej w Polsce.

CO NA SPRZEDAŻ?

To jednak nie wszystkie zyski. Do-
słownie. Szostak – czy może Shostak,
jak jej nazwisko pisze część mediów
– przedstawia się jako artystka. W ar-
chiwum jednej z internetowych galerii
sztuki można znaleźć eksponat opisany
w następujący sposób: „Jana Shostak,
Minuta krzyku. Video i sukienka, 2020.
Nr katalogowy: 16, video na nośniku usb,
sukienka biało-czerwono-biała zapis
performance-u Minuta krzyku; video
12:08 (współpraca: Jakub Jasiukiewicz),
ed. 1/4; sukienka, którą artystka miała
na sobie podczas performance-u (współ-
praca: RISK MADE IN WARSAW), ed. 1/4.
Praca posiada certyfikat autentyczności
artystki. 10 proc. zysku ze sprzedaży pra-
cy Jana Shostak zostanie przekazane na
pomoc uchodźcom”. Cena wywoławcza:
24 tys. zł, estymacja: 30–40 tys. zł.

Inna galeria sztuki udostępnia obraz wyglądający na monochromatyczne odwzorowanie zdjęcia czy też klatki materiału filmowego z krzyczącą kobietą, zapewne jest to sama Szostak. Opis przedaukcyjny brzmi następująco: „Akryl, płótno, 70 x 100 cm. W maju 2021 Jana Shostak zainicjowała protest w formie minuty krzyku dla Białorusi, który codziennie odbywał się pod przedstawicielstwem Unii Europejskiej w Warszawie. Symboliczny krzyk był apelem o zdecydowane działania wobec reżimu Łukaszenki. Prezentowany obraz jest zapisem tego momentu”. Cena wywoławcza: 25 tys. zł, estymacja: 25–50 tys. zł.

Na tej samej właśnie stronie znajduje się zupełnie jeszcze świeża zapowiedź innej aukcji z 7 września tego roku. I tym

razem na sprzedaż wystawiony jest monochromatyczny obraz wyglądający na odzwierciedlenie zdjęcia, może negatywu, krzyczącej kobiety. W opisie czytamy: „Jana Shostak (ur. 1993), »Minuta krzyku dla Białorusi«, 2023, akryl fosforyzujący/jedwab, 160 x 130 cm, sygnowany, datowany i opisany na odwrocie: »[monogram artystki], AAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAA AAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAA AAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAA «MINUTA KRZYKU DLA BIAŁORUSI 2023»«, ID: 135275”. W tym przypadku brakowało ceny wywoławczej, jednak podana jest estymacja – 30–40 tys. zł.

Wygłąda na to, że „Krzyk dla Białorusi”, multiplikowany na różne sposoby, stał się dla Jany Szostak źródłem zupełnie sensownego dochodu. I trudno zakładać, że aktywistka nie działa tu według wcześniej założonego planu. Wydaje się, że w sam punkt, jeśli chodzi o artystyczne intencje Szostak, trafia fragment opracowania merytorycznych dołączonych do jednego z jej „obiektów artystycznych” przygotowywanych do sprzedaży: „Posługując się techniką akrylową, multiplikuje rozpowszechniane w gazetach i social mediach dokumentacje ze swoich protestów. Ten rodzaj autotelicznej twórczości można potraktować jako swoistą grę w kreowanie ikon. Pop-art utrwalił w kulturowej ikonosferze portrety, m.in. Che Guevary, Marilyn Monroe czy Mao Tse Tung. Podobnie czyni Shostak”.

Tak, można naprawdę odnieść wrażenie, że w swojej twórczości Szostak przede wszystkim promuje samą siebie. Czy o to chodziło Żukowskiej?

Ten autopromocyjny efekt zresztą przez Szostak został osiągnięty. W roku 2022 tygodnik „Polityka” uznał „Krzyk dla Białorusi” jednym z 10 najważniejszych dzieł sztuki ostatniego trzydziestolecia, co jest po prostu grubą przesadą. Szostak otrzymała także Paszport „Polityki” za rok 2021.

ARTYSTKA Z GRODNA

Jana Szostak urodziła się w Grodnie, języka polskiego miała nauczyć się od swojej babci. Do Polski przyjechała w 2010 r. i ukończyła Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie, jest doktorantką na Uniwersytecie Artystycznym w Poznaniu. Jak można wyczytać, jej praca doktorska – film – jest na ukończeniu.

Szostak ma polskie obywatelstwo i jej działalność nie wydaje się obecnie różnić od typowego lewicowego aktywizmu, który stroi się w artystyczne szaty. Na przykład w 2016 r. wzięła udział jako wolontariuszka w Światowych Dniach Młodzieży po to, by móc wywieścić baner w czasie tego wydarzenia z własnym numerem telefonu i napisem: „Papa call me”. Miał on ponoć zwracać uwagę na problem pedofilii w polskim Kościele katolickim. Nie słyszałem, by zajmowała się pedofilią w bliższych sobie środowiskach.

W roku 2020 promowała ideę, by słowo „uchodźca” zostało zastąpione słowem „nowak”, rzeczownikiem utworzonym od najpopularniejszego polskiego nazwiska. Oczywiście chodziło o to, że „uchodźca” ma być zbyt stygmatyzujący. Nie zapomniała także – to również rok 2020 – wspomnieć czytelnikom wywiadu ze sobą na łamach „Gazety Wyborczej”, że jest rozczarowana polskim Kościołem, i równocześnie dodać, że ten na Białorusi był przestrzenią wolności. Takimi działaniami, w gruncie rzeczy mocno schematycznymi, dość łatwo buduje się w Polsce autostradę na liberalne salony.

Czy wypowiedź Szostak o poparciu dla aborcji aż do urodzenia dziecka i utratę, w związku z tą deklaracją, miejsca na listach wyborczych KO można uznać za rodzaj potknięcia performerki? Nic z tych rzeczy. To tylko kolejny element zwiększający rozpoznawalność tej aktywistki, która zręcznie kreuje sama siebie na białoruską i feministyczną bohaterkę.

Buńczuczność niektórych wypowiedzi Szostak jest zabawna i żenująca jednocześnie, ale zapewne stanowi element tej samej autokreacyjnej gry. „Najgorzej być w awangardzie – mówi Jana Shostak, bo kiedy wypowiada swoje poglądy, to właśnie ona dostaje po uszach. Ale wie, że dwa lata później to, o czym mówiła, staje się społeczną normą. Już kilka razy zmieniła polską rzeczywistość, teraz chce robić to w Sejmie” – takim akapitem zaczyna się jeden z tekstów o Szostak na portalu „Krytyki Politycznej”.

Zobaczmy po 15 października, jak poradziła sobie polsko-białoruska rewolucjonistka. A może wcale nie rewolucjonistka, tylko po prostu sprytna atencjuszka?



Krzysztof Masłoń

Kilka lat temu w pierwszych dwóch częściach „Alfabetu” na łamach „Do Rzeczy” pisałem o: Jarosławie Abramowic-Newerlym, Tomaszu Burku, Grzegorzu Ciechowskim, Stanisławie Grochowiaku, Jacku Kaczmarskim, Krzysztofie Karasku, Januszu Krasińskim, Zygmuncie Kubiaku, Krzysztofie Mętraku, Tadeuszu Mocarskim, Jerzym Narbucie, Czesławie Niemenie, Andrzej Nowaku, Marku Nowakowskim, Edwardzie Redlińskim, Jarosławie Marku Rymkiewicz i Piotrze Skórzyńskim. Dziś część trzecia, a za tydzień następna



FOT. RYKARZ GUTKAMP

RYSZARD BUGAJSKI Z twórcą filmów „Przesłuchanie” i „Generał Nil” miałem okazję pogwarzyć sobie na tematy wciąż, mimo upływu dziesięcioleci, uchodzące za wyjątkowo drażliwe.

„– W Toronto, na emigracji – opowiadał – zaprzyjaźniłem się z pewną kobietą, Polką z pochodzenia. Nasze dzieci chodziły do jednego dentysty, stąd też znajomość. Poszliśmy do niej kiedyś na kolację, poznaliśmy jej męża – brooklyńskiego Żyda, komputerowca, profesora na uniwersytecie, matematyka. Ona też uczyła matematyki. W jej opowieściach często pojawiała się postać ojca, który coś zafatwiał, coś przywoził z Moskwy. W końcu odważyłem się zapytać: »Jakie ty masz panińskie nazwisko?«. A ona:

»Radkiewicz«. Z kolei pewien mój kolega był narzeczonym córki Różańskiego, więc chcąc nie chcąc, poznawałem takich ludzi. Jedni z nich stawali się dysydentami, inni pozostawali dziećmi swoich rodziców, partyjnych i państwowych aparatczyków. Kiedyś przyjaźniłem się z Marcelem Łozińskim, znanym dokumentalistą, którego ojciec pod nazwiskiem Roman Kornecki był w najgorszym okresie dziennikarzem »Trybuny Ludu«. Poznałem go pod koniec jego życia i wiele mi o sobie opowiedział.

– Kornecki to też był jego pseudonim?

– Oni używali piętrowych pseudonimów. Ojciec Marcela miał zupełnie inne nazwisko, oczywiście żydowskie. Marcel urodził się we Francji, gdzie jego matka przyjęła nazwisko Łozińska, no, dość to skomplikowane. To ojciec Marcela opowiedział mi historię Noela Fielda, ofiary stalinowskiej prowokacji, aresztowanego jako szpieg amerykański. Okazało się, że Field uratował mu życie, co potem wykorzystałem w swojej książce »Przyznaję się do winy«. Ale pytałem również swego rozmówcę: »Dlaczego pan stanął po tamtej stronie? Dlaczego pan – intelektualista, znający języki, nie przyjmował do wiadomości istnienia Gułagu, mordowania ludzi, nie chciał widzieć tego, że komunizm to zbrodnia?«. On mi opowiedział wówczas swoje życie, z jakiego środowiska się wywodził, jaką drogę przeszedł, dlaczego w coś wierzył, a w coś nie wierzył, bardzo wiele spraw mi rozjaśnił. A to, co mnie najbardziej interesuje, to ten mechanizm, który powoduje, że człowiek staje po stronie zła. Ojciec Marcela, gdy ze mną rozmawiał, od dawna już był po stronie właściwej, odciął się od fatalnej przeszłości, o której opowiadał mi trochę w formie ekspiacji, bo wstydził się tego, co robił, a wypisywał, na przykład, straszliwe bzdury o stalinowskich procesach w Czechosłowacji. Niewątpliwie czuł się winny i to było dla mnie ciekawe, bo oczywiście typy gorliwie wykonujące służbowe polecenia czy psychopaci jak Józef Różański interesują mnie mniej, choć z drugiej strony, z tego, co wiem, był to wybitnie inteligentny człowiek.

– Sporo na ten temat mogli powiedzieć nasi literaci, z Jerzym Andrzejewskim na czele.

– Różański był przecież przedwojennym adwokatem, bliskim krewnym Jerzego Borejszy, człowiekiem pewnie poruszającym się wśród inteligencji.

– Aresztowany w 1954 r., skazany został na 14 lat więzienia, ale wyszedł z amnestii w 1964 r. i podobno dożył spokojnie swoich dni. Zmarł w połowie lat 80., pochowano go na Cmentarzu Żydowskim na Okopowej w Warszawie.

– Ten spokój mógł być względny. Gdy Stanisław Raczkiewicz przyjechał do swojej córki do Toronto w 1983 r., to przed jej domem odbywały się

demonstracje, na które z transparentami »Precz z mordercą« przychodziło po tysiąc osób, aż policja kazała mu wyjechać z Kanady, stwierdzając, że jego obecność zakłóca porządek publiczny i jest niewskazana».

W Polsce, podejrzewam, finał wyglądałby zupełnie inaczej, a demonstranci – ilu by ich było – oskarżeni zostaliby o szerzenie antysemityzmu.



FOT. JERZY RUDKUPAP

Jerzy Giedroyc W grudniu 1999 r., będąc kilka dni w Paryżu, chciałem przeprowadzić wywiad z Jerzym Giedroyciem. Poprosiłem go o rozmowę podczas obowiązkowej pielgrzymki do Maisons-Laffitte, ale że gości z kraju było tego dnia w siedzibie „Kultury” mnóstwo, redaktor orzekł, że, owszem, porozmawia ze mną chętnie, tyle że następnego dnia, a okazała po temu była, gdyż bodaj w ambasadzie

Alfabet

polskiej odbyć się miała jakaś feta, na którą się wybierał. Tak się też stało, okoliczności wywiadu były jednak wyjątkowe. Mianowicie siedzący na fotelu Giedroyc wypatrzył mnie w tłumie gości, zachęcająco skinął, a ja zacząłem się rozglądać za krzesłem, bym mógł obok niego usiąść. Nie znalazłem. Stałem więc nad Jerzym Giedroyciem jak kat nad dobrą duszą, podtykałem mu dyktafon, nogi mi cierpły, ręce się trzęsły i w końcu zdesperowany przyjąłem pozycję w gruncie rzeczy w tej sytuacji naturalną – w końcu byłem petentem – i ukląknę. Był to jedyny wywiad, jaki zrobiłem, dosłownie, na klęczkach i nigdy tego nie ukrywałem. W końcu to nie to samo, co uprawiać podobną gimnastykę przed Donaldem Tuskiem czy – co ja gadam, co ja gadam – Jarosławem Kaczyńskim.

Z tamtego wywiadu opublikowanego w noworocznym numerze „Rzeczpospolitej” za najważniejsze uważam następujące zdanie rzucone przez Giedroycia w trakcie referowania przez niego – w skróty, ma się rozumieć, sposób – zasad, którymi powinniśmy się kierować w naszej polityce wschodniej. Musimy pamiętać – mówił – że „Rosja zawsze pozostanie wielkim krajem, ale bez Ukrainy nie może prowadzić polityki imperialnej”. Zrozumiał to, jak widać, Putin, wyciągając z tego najdalej idące wnioski. Niestety, nie te, które przyświecały panom Giedroyciowi, Mieroszewskiemu i innym zwolennikom czegoś, co opatrujemy trzema literami: ULB [Ukraina-Litwa-Białoruś – przyp. K.M.].

Krytycznie wyrażał się też redaktor o Solidarności, jego zdaniem, kompletnie nieprzygotowanej do przejścia i sprawowania władzy. „Zależało im – mówił – jedynie na poszerzeniu swojego obszaru działania. Absolutnie nie myślano o niepodległości Polski. Namawiałem wtedy rozmaitych opozycjonistów, z którymi byłem w kontakcie, by opracowali – korzystając z pomocy niezależnych naukowców – jakieś plany, prognozy. Podawałem przykład traktatu wersalskiego, kiedy

czystszy językiem litewskim powie: »Musiałem udawać, że nie rozumiem po litewsku, bo Polacy by mnie zjedli«”.

Tak się nie stało, a nie minęło wiele czasu, bo niecały rok, a Jerzego Giedroycia nie było już ani wśród nas, ani z nami. Zmarł 14 września 2000 r. Został pochowany na cmentarzu w Le Mesnil-le-Roi.



WIEŚLAW HELAK Matka wpoila mu trzy zasady: 1. Nigdy nie ufaj komunistom; 2. Wrogowi ręki nie podawaj. Nigdy; 3. Będzie się do ciebie uśmiechał, będzie obiecywał wiele i dawał prezenty, ale ty pamiętaj tylko jedno, że to jest twój wróg śmiertelny.

Jego proza, ostentacyjnie niedzielsza, jest niesłychanie plastyczna; zachwyca uwarunkowaniem na pejzaż, na muzykę czy – szerzej – na dzieła sztuki

swoje ocalenie zawdzięczać Bogu. Nie żadnemu Związkowi Patriotów Polskich, ale Bogu.

Skoro „Warunek” Eustachego Ryłskiego uznałem za arcydzieło, to „Nad Zbruczem” – pisałem – powieść już samym tytułem nasuwająca oczywiste skojarzenia z „Nad Niemnem”, powinienem nazwać arcydziełem do kwadratu. To powieść arcywłoska, cała osadzona w naszej przeszłości, a przecież przemawiająca do nas, tych z XXI w., tych dzisiejszych.

GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI

To, że szczęśliwego finału doczekała się 15-tomowa krytyczna edycja „Dzieł zebranych” Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, jest zasługą wielu osób, ale przede wszystkim kierującego pracami redakcyjnymi prof. Włodzimierza Boleckiego, przyjaciela pisarza i niezrównanego znawcy jego twórczości. Twórczości więźnia sowieckiego łagru i żołnierza walczącego pod Monte Cassino. Jednak zmarły w 2000 r. Herling był nie tylko świadkiem XX-wiecznej historii, z czego zdawał sprawę w swoich utworach, lecz także – co akcentuje Włodzimierz Bolecki – „nieustannie stawiał pytania metafizyczne, egzystencjalne, pytał o istotę chrześcijaństwa, o teologiczną relację chrześcijaństwa i judaizmu, o stosunek

Krzysztofa Masłonia

to byliśmy znakomicie przygotowani do obrad, mieliśmy wypracowane stanowisko nawet w drobiazgach. Dlaczego nie można było stworzyć perspektywy, jak będą wyglądały stosunki polsko-ukraińskie, polsko-rosyjskie, polsko-niemieckie? W odpowiedzi usłyszałem: »Proszę pana, my nie będziemy się zajmowali księżycowymi zagadnieniami«”.

A wracając teraz do tamtej rozmowy, przypomniał mi się jeszcze Czesław Miłosz, który mniej więcej w tym samym czasie choć chyba w innym miejscu opowiadał mi, że ze 20 lat wcześniej napisał humorystyczny felieton, „nigdy niedrukowany, to był dowcip dla przyjaciół. W każdym razie napisałem tam, że nadejdzie dzień, kiedy Giedroyc przyjedzie do Wilna. Wystąpi tam w wielkiej sali i naj-

w ich klasycznym pięknie. Niektóre jej partie, np. w „Górze Tabor”, stanowiącej część najbardziej znaczącego w twórczości Helaka tryptyku, wraz z „Nad Zbruczem” i „W stronę Seretu”, np. opis zamachu majowego w Warszawie roku 1926 – jak pisał prof. Maciej Urbanowski – „zapierają dech w piersiach”. Zwraca też uwagę silne eksponowanie przez autora religijności jego bohaterów. Tak było już od pierwszych jego książek (a jako pisarz zadebiutował późno, bo w wieku 64 lat, wcześniej kręcił filmy).

– *Moja rodzina pochodzi z Kresów – opowiadał – gdzie żyli ludzie niezwykle religijni. Tę religijność przekazali mi rodzice w sposób jak najbardziej naturalny. A jeśli chodzi zaś o Polaków wywiezionych na Syberię, to niemal w każdym ich wspomnieniu pojawia się stwierdzenie, że*

Kościół do rzeczywistości społecznej”. Był autorem wielu, często świetnych opowiadań, a dla mnie pozostaje twórcą najważniejszego z dzienników („Dziennik pisany nocą”), tak chętnie prowadzonych przez wielu naszych ważnych pisarzy poprzedniego stulecia.

Gdy w 1991 r. pierwszy raz po wojnie przyjechał do Polski, na spotkaniu z nim



W warszawskim Domu Literatury nie było gdzie wetknąć szpilki. Pracowałem wtedy w „Rzeczpospolitej”, do której dodatku – „Plusa Minusa” – przeniósł swój dziennik drukowany przez lata w „Kulturze”. Bardzo byliśmy z tego dumni, za którymś pobytom pisarz gościł zresztą w naszej redakcji. Odpowiadał na wiele pytań, spokojnie, ważąc słowa, większe emocje wykazując jedynie, gdy dyskusja dotyczyła komunizmu. W końcu w „Dzienniku pisany nocą” porównał kiedyś swoją sytuację do stanu, w jakim po powrocie z bieguna północnego znajdował się adm. Cagni z jego „Księcia Niezłomnego”. Nie chciał opowiadać o tym, co tam przeżył, miał dość, przez rok bowiem patrzył na łód i walczył z nim. Podobnie Herling-Grudziński dosyć miał mówienia i pisanie o komunizmie, a przynajmniej tak deklarował. Był to jednak temat jego życia i pisarz doskonale o tym wiedział, chociaż rozwodzić się nad tym, co jasne i proste, nie miał zamiaru. Gdy Jarosław Gowin poprosił go dla „Znaku” o refleksję nad tym, co komunizm wniósł do wiedzy o człowieku (serio!), odrzekł: „Komunizm jest owocem i wyrazem społecznej politycznej i duchowej dżumy”.

Do szafu doprowadził go Aleksander Kwaśniewski, rzucając głupą, że „PRL to było całe społeczeństwo polskie”, o sobie powiadając: „Nigdy nie byłem aktywistą partii ani członkiem aparatu”. No, tego to nawet „Tygodnik Powszechny” nie zdzierzył, przypominając, że zdanie to wyszło z ust byłego ministra w gabinetach Rakowskiego i Messnera.

W sumie traktował Herling-Grudziński komunistów niczym mafiosów. Na marginesie lektury „Onych” Teresy Torańskiej zauważył, że niektórzy z ich bohaterów odgrywali rolę „penito”, skazanych w zamian za zeznania na ulgowe wyroki. A kim był np. Józef Światło? Bandytą.

Po prostu.

TADEUSZ KONWICKI Tak jakoś tuż po epokowej transformacji zawitałem do lokalu przy ulicy Górskiego, przerobionego dziś przez Instytut Książki na żywe (bo służące tłumaczom) muzeum, a wtedy zamieszkiwanego przez Tadeusza Konwickiego. Rozmawiać mieliśmy głównie o jego stanowczo niedocenionej książce „Rzeka podziemna, podziemne ptaki”, w której znalazła się następująca, zadziwiająco



FOT. WITOLD ROZDRAŹNICKI / PAP

trafna przepowiednia: „Zachód odrzuci ich z powrotem jak piłkę Wschodowi. Odrzuci jak ciężki, rozpalony przekleństwem kamień, który parzy ręce”. Gdy poprosiłem pisarza o rozwinięcie tego zdania, odparł, że wprawdzie mógłby prorokować dalej, „ale już tylko za wielkie pieniądze, jak prawdziwy astrolog zachodni”.

Oczywiście w toku całej rozmowy Konwicki prezentował próbki swych życiowych ról, a to fałszywego pocziwca z Wilna, to znów dżentelmena z oszmiańskiego powiatu, chytrego Litwina i kogo tylko byśmy sobie jeszcze wieszowali. Jednak niektóre z jego licznych dygresji warte są zapamiętania, te zwłaszcza, do których wydawał się szczególnie przywiązany. „Czy zauważył pan – zapytał na przykład – szalony kult byle osobowości? Prezenter telewizyjny jest idolem, człowiek, który zmienia płyty w dyskotecę – bożyszczem. Może się to brać z tego, że podświadomie bardzo nas męczy nasza wielka ilość na tym globie. Odczuwamy lęk, że przejdziemy, przepadniemy w nicności i nie zostanie po nas najmniejszy ślad. Wytwarza się więc chęć zapisania siebie w jakimkolwiek sposób, czego dowodzi np. Księga Guinnessa”.

A w wywiadzie rzece „Pamiętam, że było gorąco” zaakcentował Tadeusz Konwicki (zm. 2015 r.), że pogardza filmami pokazującymi kobietę z pozycji bidetu. „Kiedyś przeczytałem w gazecie – opowiadał – śmiałe oświadczenie pewnej pani, że lubi seks. To nie dodaje nam oryginalności. Psy, na przykład, bardzo lubią seks, nieustannie są zainteresowane seksem w sensie biologicznym”. Nie żartuję, to z całą pewnością jedna z najważniejszych diagnoz współczesności.

ANTONI LIBERA Autor uchodzącej za kultową powieści „Madame” i niewielu, ale jakże świetnych nowel („Niech się panu darzy”), wybitny znawca twórczości Samuela Becketta i reżyser jego sztuk,

ale przede wszystkim tłumacz. Tłumacz literatury wielkiej, a wypadałoby raczej powiedzieć – dzieł z wielkich największych. Bo to i Sofokles, i Shakespeare, Racine i Wilde, Holderlin i Kawafis. Że o wszystkich dziełach autora „Czekając na Godota” tylko napomknę.

Zadeklarował niegdyś marzenie, „by chociaż raz w życiu stworzyć coś naprawdę wartościowego – coś, co by się bezwzględnie akceptowało i o czym byłoby się przekonany, że spełnia ideał piękna; takie coś, o czym Hölderlin pisze w wierszu »Do Parek«. Jest to stary, archaiczny koncept przejęty z czasem przez literaturę niemiecką i mocno



FOT. ALBERT ZAWADA / PAP

w niej zadowolony: aby samemu sobie zaimponować, samego siebie olśnić – oczarować i upoić własnym wytworem”.

I olśniewa, takimi przekładami jak ostatnio wydawane przez PIW rzymskie i greckie dramaty Shakespeare’a (w kolejce czekają mające sfinalizować edycję „Perykles” i „Cymbelin”). Jednak, widać, to wszystko mało, ponieważ na swoją premierę czeka już, ni mniej, ni więcej, tylko „Odyseja” Homera. A co!

Swoją twórczością dowodzi pan Antoni, że jeśli czymś się zajmować serio, to tylko arcydziełami. Na resztę szkoda czasu.



FOT. MAŁGOSIA BRZDOWSKA / PAP

CZESŁAW MIŁOSZ Kilkakrotnie mogłem dłużej porozmawiać z naszym noblistą. Niby o literaturze, ale zawsze jakoś rozmowa zataczała szersze kręgi, dotykając kwestii z piśmiennictwem ma-

jących związki luźne albo i żadne. Kiedyś z niejaką rezygnacją powiedział raptem, że jego problem z wiarą wynika z tego, że „znajduje się bardziej w orbicie katolicyzmu polskiego niż katolicyzmu w ogóle”. Przypomniałem mu wtedy, że wcześniej – wydaje się, że szczerze – wyznał: „Gdybym pisał wiersze dewocyjne, zyskałbym miano poety drugorzędneho”. Czy ma to znaczyć – spytałem – że poezja religijna jest w dzisiejszych czasach niemożliwa?

– *Poezja religijna jest dzisiaj bardzo trudna – stwierdził. – Ostatecznie Jan Paweł II w rozmowie ze mną, o mojej poezji, powiedział: »Robi pan jeden krok naprzód i jeden krok w tył«. Rozumiał to w sensie religijnym. A ja odrzekłem: »Ojcze Święty, czy można dzisiaj pisać inaczej poezję religijną?«.*

– *Co Papież na to?*

– *Nic nie powiedział.*

– *»Religia to opium dla ludu« – pamięta pan zapewne to klasyczne hasło bolszewickie. Jak pan rozumie to »opium«: jako narkotyk zniewalający człowieka czy jako lekarstwo przynoszące mu ulgę?*

– *Napisałem w »Piesku przydrożnym«, że dzisiaj opium dla ludu stanowi wiara w to, że nie ma nic po śmierci.*

– *I nikt nie ukaze nas za nasze grzechy?*

– *Właśnie”.*

Nawiasem mówiąc, twórca „Traktatu teologicznego” (zm. 2004 r.) sugerował, że stać się może w Polsce tak, iż przy katolicyzmie pozostaną tylko najlepiej wykształceni, najbardziej światli. Wydawało się to czystą fantastyką, zważywszy na tradycję i siłę naszego katolicyzmu ludowego, a jednak... Czy aby noblista się nie pomylił? W 1997 r., na użytek wywiadu, rzecz całą – z konieczności – nieco strywalizowałem: „Następują zmiany, tak mi się wydaje. Muszę tutaj powiedzieć, że to dociskanie teologiczne, które mnie pasjonuje, nie interesuje ludzi w ogóle. Jakoś sobie radzą, prawda, że za cenę ogromnych kompromisów. Chodzą do kościoła, ale nie bardzo wierzą, choć się starają, uważając na przykład, że zasady chrześcijańskie są bardzo potrzebne, ale świntuszyć można, bo... takie jest życie. Ja mogę złagodzić swoje pasje teologiczne, zmiany jednak są nieuniknione, a to z powodu ogromnego nacisku współczesnej kultury masowej”.

Naturalnie, nie mogłem – korzystając z okazji – nie zahaczyć Miłosza o jego, powiedzmy tak, natręstwo antylechickie. Z niego brało się przecież obnoszenie przez poetę swojej litewskości. Gdyby

autor „Doliny Issy” nie komplikował nadmiernie swego pochodzenia, powinien za Józefem Mackiewiczem (którego bardzo wysoko cenił!) powtórzyć: „Jestem obywatelem Wielkiego Księstwa Litewskiego”. A może i tak jak rzecz ujmował Zbigniew Herbert – „królestwa bez kresów i miasta popiołów”. Ale że był – zgodnie z deklarowaną litewskością – uparty, powtórzył mi właściwie to samo, co napisał w sławnym „Roku myśliwego”, że „niewątpliwie powoływanie się na genealogię litewską było dla mnie jeszcze jednym sposobem odciążenia się od moich rzeczywistych czy urojonych prześladowców, Lechitów”.

To akurat jasne, że były to urojenia, ale co się Czesław Miłosz nawytrząsał z Lechitów, to jego. Nawet Norwid był dla niego zanadto lechicki. A największy kłopot z tych okropnych Lechitów sprawił mu nie kto inny, jak Jan Paweł II: „Na pierwszy rzut oka – tak ujęła sprawę Teresa Walas – wywodzący się z katolicyzmu Lechitów. Bez piętna skazy. Głoszący prawdy proste. A zarazem pociągający ku sobie i budzący feudalny respekt. Postać Jana Pawła II rozbudowuje dialektykę Miłosza jako zaprzeczenie zaprzeczenia”. Uff, ale niezależnie od tego – ośmieliłem się przypomnieć wojującemu z lechickością poecie – wcześniej już, bo w „Ziemi Ulro”, jeszcze w latach 70. skonstatował, że to „w końcu w katolicyzmie zawiera się obietnica polskiej kulturalnej oryginalności”.

Rozmówca mój tylko pokiwał głową.



FOT. RABEK PETRUSZKA/PAP

WIESŁAW MYŚLIWSKI Ilekroć nachodzą mnie ponure myśli (a zdarza się to często) wynikające z depresyjnego poziomu powstającej literatury, pocieszam się słowami autora „Widnokregu”, którego zdaniem w ogóle nie należy się przejmować kasandrycznymi przepowiedniami wieszczącymi np. ostateczny upadek tyle razy już szykowanej do pochówku powieści. A dlaczego? „Powieść wyrasta z potrzeby opowiedzenia siebie drugiemu

człowiekowi. Ta potrzeba jest naszą naturą. Po to człowiek wynalazł język. Każdy chce opowiedzieć siebie w takiej lub innej formie. My przecież chętniej opowiadamy, niż słuchamy. Proszę zauważyć, jak się ludzie zachowują na przykład w towarzystwie. Niby słuchamy, co ktoś tam mówi, a po prostu czatujemy na sposobność, żeby samemu mówić. Powieść jest najdobitniejszym świadectwem tego, że człowiek jest istotą zbiorową”.

Przypisano niegdyś Wiesława Myśliwskiego do lansowanego ponad miarę wiejskiego nurtu literatury polskiej. Rozsadzał ramy tego nurtu, nie mieścił się w nim, choć nigdy nie wyparł się kultury chłopskiej, utożsamiał się z nią. Jednak uporczywie podkreślał, że kulturę ludową stworzyła nasza inteligencja wyobraźnia: „Nasze spojrzenie na kulturę chłopską, jak na barwny folklor. Chłop nie wiedział, jaki jest jego folklor, wiedział, jaki jest jego los”.

Ten dwukrotny laureat Nagrody Nike – z czasów, gdy naprawdę coś jeszcze znaczyła i w kulturze, i poza nią – stworzył jeden z ważniejszych rozdziałów literatury polskiej po 1945 r. Literatury, która będąc głęboko osadzoną w historii, potrafiła pozostawać niezależną od polityki, a przynajmniej bardzo się o to starała. To zdumiewające, ale w 400-stronicowym „Traktacie o łuskaniu fasoli” jedynym politycznym wydarzeniem, które wywiera znaczący wpływ na życie bohatera jest wymiana pieniędzy w 1950 r. Żadne polskie Październiki, Marce, Czerwce czy Grudnie, tylko tamten rabunek dokonany w majestacie prawa, jakimkolwiek ono było. Rabunek, który uniemożliwił bohaterowi „Traktatu...” kupno wymarzonego instrumentu muzycznego, konkretnie, saksofonu. Może to była najboleśniejsza strata w jego życiu?

A w jednej z jego późniejszych powieści, „Uchu igielnym”, zakochany chłopak słyszy od dziewczyny: „Mówią, że gdy kocha się kogoś, kocha się cały świat. Ale ja bym nie mogła pokochać świata”. A pisarz puentuje to zdanie refleksją: „Wiem, że [...] nie musimy świata kochać, wystarczy, że tak trudno nam się z nim rozstawać”.

Trafiony, zatopiony.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Pierwsza część „Alfabetu Krzysztofa Masłonia” ukazała się w „Do Rzeczy” w numerze 52/2015, a druga w numerze 1/2016.

„Dźwięk wolności” to film porządnie nakręcony, sprawnie opowiedziany i poruszający
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

W imię ofiar



Piotr Gociek

„Dźwięk wolności. Sound of Freedom” daje nadzieję: można uratować ofiary pedofilskich mafii. Ale przeraża: Jak wysoko zasiadają wpływowi przyjaciele odrażającego procederu?

Kiedy film za niespełna 15 mln dol. zarabia niespodziewanie setki milionów, oznacza to, że albo narodził się jakiś nowy geniusz kina, nowy Tarantino, albo twórcy trafili w czułą strunę, w oczekiwania widzów, których dotąd nie dostrzegano. „Dźwięk wolności” (wchodzi do polskich kin 15 września) to ten drugi przypadek. Budżet jak na hollywoodzkie warunki był śmieszny – żyjemy w czasach, kiedy jeden odcinek popularnego serialu

potrafi kosztować 20, 30, 50 mln dol. („Pacyfik”, „Stranger Things”, „Cytadela”). A jednak to „Dźwięk wolności. Sound of Freedom” zamyka dziś dziesiątkę najbardziej kasowych filmów Ameryki w roku 2023. I wyprzedza typowane na hity box office’u superprodukcje: nowego Indianę Jonesa, nową „Mission Impossible”, nową odsłonę serii „Transformers”, nie mówiąc już o tak chybionych premierach, jak „Flash” czy „Meg 2. Głębia”.

Niektórzy widzowie być może będą rozczarowani: ot, solidny dramat sensacyjny ze znanym aktorem w roli głównej, formalnie poprawny, bez fajerwerków. Dzień jak co dzień, w kinie czy w streamingu, niejeden taki film widzieliśmy, niejeden zobaczymy. Inni będą – być może – rozczarowani z innego powodu: jeśli zetknęli się z falą hejtu, którą „Dźwięk wolności” wznicił w amerykańskich liberalnych mediach. Oskarżany o propagowanie spiskowych teorii ruchu QAnon, tendencyjne ukazywanie rzeczywistości, aż wreszcie – przyjęty z rezerwą, bo to chrześcijańska propaganda. Tymczasem

w filmie nie znajdziemy żadnych scen czy dialogów, które uzasadniałyby stawianie takich tez. Ale tym gorzej dla faktów. W niektórych recenzjach próbowano konstruować następujący ciąg logiczny: skoro Jim Caviezel grający główną rolę nie potępiał publicznie też QAnon, a niektóre z jego słów można interpretować jako wyraz sympatii, to na pewno film, w którym występuje, jest QAnonowską propagandą. W dodatku Caviezel, odtwórca roli Jezusa w filmie „Pasja”, ma przechłapaną w Hollywood – nie mam tu miejsca, by przypomnieć całą historię furiackich ataków na dzieło Mela Gibsona.

ŁZA W OKU TWARDZIELA

Nie ruszamy dalej, jeśli nie objaśnimy, o czym właściwie opowiada „Dźwięk wolności” – wtedy od razu wszystko stanie się jasne. W pierwszych scenach filmu trafiamy do jednej z kolumbijskich dzielnic biedoty. Do drzwi ubogiej rodziny puka elegancka Giselle, przedstawiająca się jako odkrywca i promotor młodych talentów. Elokwentna, olśniewająca,



REŻ. ALEJANDRO MONTEVERDE
„DŹWIĘK WOLNOŚCI. SOUND OF FREEDOM”

jakby teleportowała się ze świata, jaki jej rozmówcy widzieć mogą tylko w telewizji transmitującej gale z udziałem pięknych i bogatych. Wzbudza więc zaufanie, zabiera dwoje dzieci (brat i siostra) na casting. Kiedy ojciec wieczorem przyjeżdża swoje dzieciaki odebrać, trafia na puste pokoje. Dzieci i porywacze udający impresariów zniknęli.

Przechodzimy do kolejnej głównej figury dramatu. Agent Tim Ballard (Jam Caviezel), łowca pedofilów, zamyka kolejną sprawę, aresztuje zboczeńca dystrybuującego w Internecie pedofilskie porno. Ballard jest doświadczonym śledczym z Departamentu Bezpieczeństwa. Gdy po udanej akcji kolega pyta go, ilu pedofilów zatrzymał, przechwala się, że 288. Pada kolejne pytanie: „A ile dzieci znalazłeś?”. I nagle optymizm znika. W samoobronie Ballard tłumaczy: „Najprawdopodobniej większość tych dzieci jest poza granicami USA”. Po jego minie widzimy jednak, że sam nie czuje się przekonany. Wieczorem znów przegląda dowody. Wiemy już, że na zdjęciach są dzieci, które poznaliśmy w prologu opowieści. Łza kręci się w oku twardziela, który postanawia zrobić różnicę.

Nie będę streszczał pozostałej fabuły – mamy tam odkrywanie kolejnych kręgów piekła i kolejnych kręgów uwikłania. Rzeczywiście biznes handlu dziećmi, ich seksualnego wykorzystywania, produkcji pedofilskiej pornografii to zyskowny przemysł na skalę światową, potrzebne są więc operacje międzynarodowe. Ameryka Południowa, Tajlandia – tropy wiodą w wielu kierunkach. Mimo to można coś zrobić. Z inicjatywy Ballarda przygotowana zostaje skomplikowana prowokacja, wielka akcja pod fałszywą flagą. Resztę zobaczycie sami. „Dźwięk wolności” broni się jako porządne kino sensacyjne, a delikatna materia, której dotyczy, sprawia, że widzowie śledzą wypadki z głębokim emocjonalnym zaangażowaniem. Jest to także film z jasnym moralnym przesłaniem, staromodna opowieść o konieczności walki ze złem. O dobrych ludziach, którzy nie wahają się dobra bronić, oraz o potworach – nazwijmy rzeczy wprost.

Potworach z bardzo różnych kręgów. Wstrząsający montaż scen z kamer bez-

pieczeństwa towarzyszy napisom początkowym, widzimy autentyczne przypadki porwań dzieci w różnych miejscach świata. Także porwań niemowląt. Sprawcami tych aktów są zwykle bandziory, ale biznesem zarządza kto inny. Ludzie bardzo bogaci, wpływowi, czasem znani. Oglądamy w kinach „Dźwięk wolności” w chwili, kiedy już czwarty rok trwa

próba rozwikłania sekretów pedofilskiego biznesu Jeffreya Epsteina, i jakoś nie jesteśmy mądrzejsi. Dlatego że władcy tego imperium zła są geniuszami zbrodni czy dlatego, że komuś zależy na tym, aby prawda nie wyszła na jaw? Pytanie jest zdroworoządkowe, ale za jego publiczne stawianie dostaje się od razu etykietkę „zwolennika teorii spiskowych”. Tymczasem film Alejandra Monteverde inspirowany jest prawdziwą historią. Agent Tim Ballard istnieje naprawdę, swoją pracę opisał, a w wywiadach ujawnia, że jego najsłynniejsza operacja uratowała jeszcze więcej małoletnich ofiar niż pokazano na ekranie.

Meksykański reżyser to zresztą kolejny powód, dla którego liberalne Hollywood patrzy na „Dźwięk wolności” podejrzliwie. Monteverde debiutował w roku 2006 filmem „Bella”, którego bohaterowi udaje się namówić dziewczynę, by zamiast dokonać aborcji, oddała dziecko do adopcji. Recenzje były dobre, także festiwalowe, ale chmury majaczyły już na horyzoncie, bo przesłanie filmu nie zostało niezauważone i „Belle” wskazywano jako ważny głos środowiska pro-life. A to w Hollywood fatalna etykieta.

WARTO WALCZYĆ

W 2015 r. chmury zamieniały się w burzę – film „Little Boy” oskarżony został przez mainstreamowych recenzentów o manipulację emocjonalną i wyzyskiwanie wojennej tragedii, by opowiedzieć historię nadmiernie sentymentalną. Był to film o wierze, o tym, by porzucić nienawiść, o tym, by zawsze mieć nadzieję, bo niezbadane są wyroki opatrności, a główny bohater owo przesłanie przyjmuje, więc wynagrodzony zostaje cudownym powrotem ojca uznawanego za ofiarę kampanii na Filipinach. Monteverde pokazuje księży,

Biblię i ludzi wierzących w pozytywnym świetle. No po prostu skandal, nieprawdą?

„Dźwięk wolności” to film porządnie nakręcony, sprawnie opowiedziany i poruszający. Strukturę ma podobną do filmów o walce z narkobaronami. Prawdziwi królowie tego biznesu również zwykle pozostają poza granicami USA, więc każdy, kto traktuje swoją robotę poważnie, marzy o dorwaniu kogoś z samego szczytu, bossa albo bossa bossów. Co prowadzi do operacji w stylu tych, które widzieliśmy w serialu „Narcos” – z dala od domu, na wrogim terytorium, przy współpracy lokalnej policji, która zwykle okazuje się albo niekompetentna, albo skorumpowana – albo jedno i drugie. Dzieje Tima Ballarda wlewają w nasze serca otuchę: warto walczyć, można ocalić ofiary, można wyrównać – choć chwilowo – rachunek. Ale pozostaje też głęboko niepokojący, ponieważ wciąż pozostają nietknięte kręgi wysoko postawionych przyjaciół tego biznesu. Kto uważa taką sugestię za szerzenie teorii spiskowych, naprawdę powinien zapoznać się ze sprawą Epsteina. Zresztą, oglądając film Monteverde, trudno nie przypomnieć sobie afery Epsteina już w chwili, gdy widzimy na ekranie uroczą rekruterkę ofiar, Giselle – trudno nie słyszeć w głowie „Ghislaine”, imienia niesławnej partnerki i współniczki Jeffreya Epsteina.

Jedyną tajemnicą, z którą może się wiązać sukces „Dźwięku wolności”, nie jest żadna spiskowa teoria z kręgu QAnon, lecz przyczyna, dla której – kiedy wielkie studio robi film o samotnym mścicielu tropiącym handel nieletnimi (choćby pierwszy „Bez litości” Antoina Fuqua z Denzelem Washingtonem, ale przecież dałoby się do tego podgatunku zakwalifikować nawet „Taksówkarza” Martina Scorsese) – wszyscy cmokają. A kiedy dobry film na ten sam temat zrobią twórca przyznający się do wiary katolickiej i studio, które dystrybuje „faith-based movies”, jak to się w USA określa, to nagle ich sukces ma być dowodem jakichś aberracji twórców i widzów. Myślę, że nie muszę pisać osobnego artykułu, by tę akurat tajemnicę wyjaśnić. Przecież doskonale wiedzą szanowni czytelnicy, o co chodzi.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGŁADANIE NA ŻĄDANIE

Szeryf w Detroit



★★★★★
MINISERIA
„BEZ PRZEBACZENIA: MIASTO STRACHU”
(„JUSTIFIED: CITY PRIMEVAL”)
USA 2023

wyst. Timothy Olyphant

Ciąg dalszy serialu „Bez przebaczenia” („Justified”), czyli kryminalnego hitu, który tak wiele zawdzięczał inspiracji prozą Elmore’a Leonarda oraz charyzmie Timothy’ego Olyphanta w roli głównej. Teraz szeryf Raylan Givens powraca: nieoczekiwana przerwa w podróży sprawia, że utyka w Detroit, próbując rozwiązać zagadkę zabójstwa skorumpowanego sędziego. Na głowie ma nastoletnią córkę, a w sercu – lokalną panią adwokat, która marzy o awansie.

Twórcom tej niespodziewanej i nieoczywistej kontynuacji udało się ocalić urok obu oryginałów, tzn. książki i opowiadania Leonar-

da, z których uszyto nowy scenariusz oraz sześć sezonów serialu. Akcja jest wartka, robota aktorska na poziomie, ale najważniejsi są bohaterowie. W ich tworzeniu Elmore był mistrzem: każdy, nawet drugo- czy trzecioplanowy łotrzyk, okazuje się postacią ciekawą i niejednoznaczną. Do tego stopnia, że twórcy „Miasta strachu” postanowili dać nawet ponownie trochę czasu ekranowego detektywowi Raymondowi Cruzowi, który pojawił się w „Co z oczu, to z serca”, czyli ekranizacji powieści Leonarda z 1998 r. Ładnie i naturalnie wychodzi to łączenie wątków, nie miałbym nic przeciwko powstaniu większego,



serialowo-kinowego „Leonardverse”.

Timothy Olyphant wciąż jest magnetyczny, to aktor stworzony do ról stróżów prawa o niewzruszonych zasadach. Tym ciekawsze rzeczy dzieją się w finale serii, kiedy musi zastanowić się nad tym, czy w dążeniu do wymierzenia sprawiedliwości nie posuwa się za daleko. Ma przeciw sobie godnego przeciwnika – Clement Mansell, zabójca grany koncertowo przez Boyda Holbrooka (agent Steve Murphy z serialu „Narcos”), jest naprawdę przerażający. Na drugim planie królują Vondie Curtis-Hall jako nękania wyrzutami sumienia muzyk, szantażysta i właściciel baru oraz Adelaide Clemens w roli dziewczyny nieobliczalnego Mansella. Bardzo dobra, niegłupia rozrywka w starym stylu, w dodatku pokrywająca z politycznej poprawności – oto w pierwszych scenach serii czarnoskóry sędzia i czarnoskóra adwokat łądzą do aresztu Bogu ducha winnego szeryfa – bo był w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze. ©



NOWE SEZONY: „KOŁO CZASU”

W pierwszym sezonie adaptacji cyklu fantasy Roberta Jordana mnóstwo miejsca poświęcono na nakreślenie fantastycznego świata, mapy konfliktów i mówią bohaterów. W drugiej serii, stojącej gdzieś między podróbką „Władcy Pierścieni” a koniem netfliksowego „Wiedźmina”, okazuje się, że

mamy na ekranie także całkiem ciekawą postać. Pytanie, czy zmiany tej nie dokonano za późno. Fani literackiego oryginału są wściekli z powodu licznych zmian, postronni widzowie mogą czuć się mocno zagubieni w całej historii.

• sezon 2 „Koło czasu”, USA 2023



NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- sezon 1 „Twisted Metal”, USA 2023
- sezon 1 „Odmieniec” („Changeling”), USA 2023
- sezon 3 „Belfer”, Polska 2023



Inna Galicja

KINO

Miasto ci zbrzydło? Tęsknisz za wiejskim, spokojnym życiem w zgodzie z naturą? Ten świat już nie istnieje. Olga i Antoine rzucili wszystko, by osiedlić się w malowniczych górach północno-zachodniej Hiszpanii. Tymczasem tubylcy, sfrustrowani brakiem perspektyw, marzą o wyprowadzce i z trudem tolerują przybłędy. Bracia Xan i Loren darzą ich nawet szczerą, sąsiedzką nienawiścią, odślaniając głębię kompleksów sięgających epoki Napoleona. Po prawdzie „Francuzikowi” do anioła daleko: to uparty jak muł prowokator, który świadomie drażni tubylców swoim wykształceniem, postępowością i kiepsko ukrywanym poczuciem wyższości. Górale zaś, jak wiadomo, mają

swój honor (zwłaszcza gdy trochę wypiją). Od zaczepki w miejscowej mordowni do grożenia strzelbą droga krótka. Film w konstrukcji przypomina bombę z czasowym zapalnikiem. Zdawało mi się, że w tle słysząc nawet cykanie zegara odliczającego minuty do nieuniknionego wybuchu, czyli eskalacji przemocy w stylu Jakuba Szeli. Tymczasem w końcówce schemat ekothrillera ląduje na śmietniku. „Bestie” dzięki tej decyzji są lepsze, lecz historia show-biznesu jest usiana zwłokami



★★★★★
REŻ. RODRIGO SOROGOYEN
„BESTIE”
(„AS BESTAS”)
HISZPANIA/
FRANCJA 2022

wyst. Marina Foïs,
Denis Ménochet,
Luis Zahera

twórców, uparcie lekceważących oczekiwania publiki. Sorogoyen powinien teraz, dla równowagi, nakręcić półtoragodzinną komedię o strasznych burzujących z Katalonii.

Wiesław Chełmniał



FOT. MATERIAŁ PRASOWY

GRA TYGODNIA: „IMMORTALS OF AVEUM”

W świecie „loA” o statusie społecznym decyduje to, w jakim stopniu posługujemy się magią. Świat to ponury, pogrążony od dawien dawna w wojnie dobra ze złem. Nasz protagonista nieoczekiwanie odkrywa w sobie ogromne pokłady magicznych

zdolności i staje się nadzieją sił dobra. Mimo że nie dzierzmy karabinu czy innej wyrzutni rakiet, ale używamy magii, to „Immortals of Aveum” jest dynamicznym tytułem i blisko mu do szybkiej strzelanki. Pierwszy projekt studia Ascendant warty jest zainteres-

FOT. MATERIAŁ PRASOWY

ANTYSYSTEMOWIEC

HD max

Brian De Palma świętuje 82. urodziny, więc jest młodszy niż Eastwood czy Polański. Ostatni godny uwagi film nakręcił jednak dawno temu. Ma na koncie pięć nominacji do Złotej Maliny i żadnej do Oscara.



★★★★★
REŻ. JAKE PALTROW, NOAH BAUMBACH,
„DE PALMA”
USA 2016

On, Scorsese, Coppola, Lucas i Spielberg należeli do gangu brodaczy kinomanów, który chciał zmienić Hollywood. Kolegom się udało. De Palma za bardzo ukochał styl Hitchcocka, gubił go efekciarstwo i porno-sadystyczna wyobraźnia. Myślał obrazem, zapominając o logice. Nie chciał reżyserować „Taksówkarza” i „Fatalnego zauroczenia”. Czasem latał wysoko („Carrie”, „Nietykali”, „Życie Carlita”), częściej zawstydzająco nisko. W dokumencie sprzed siedmiu lat De Palma ujawnił talent gawędziarza. Jak na antysystemowca przystało, wbija szpile producentom i tłumaczy, że godził się na kompromisy tylko dlatego, że marzył o kasowym sukcesie. Niestety, wybrał fatalny zawód, bo „każdy błąd zostaje na ekranie”. © ©

SKALP FRYZJERA

KINO

Sztuka dla sztuki – koncept często wyklinany, lecz bardzo ludzki. To pewne jak amen w pacierzu: zanim robienie filmów stanie się domeną sztucznej inteligencji, świat ujrzy jeszcze wielu entuzjastów metody „one shot”, czyli kręcenia w jednym, długim ujęciu. Sukces „1917”, „Birdmana” czy „Utoi” próbuje teraz powtórzyć „Medusa Deluxe”. Kamera jak kula bilardowa odbija się od jednej postaci, by podążać za drugą. Buszuje za kulisami konkursu mistrzów nożyc, grzebienia, żelu i suszarki. Murowany faworyt nagle rozstaje się z życiem, ale kryminalna zagadka jest zaledwie pretekstem do wizualnego popisu tudzież prezentacji zbiorowego portretu stylistów włosów, niegdyś zwanych fryzjerami. Namietności buzują jak drwa w kominku, można podziwiać koafiuery, których świat nie widział od czasu zgiotytnowania Marii Antoniny. Ot, błyskotka, która jednych rozbawi, innych otumani, lecz nikogo nie przestraszy. © ©

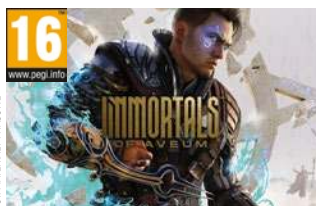


★★★★★
REŻ. THOMAS HARDIMAN
„MEDUSA DELUXE”
WIELKA BRYTANIA
2022

wyst. Clare Perkins, Darrell D'Silva,
Kayla Melike

Wiesław Chełmniał

★★★★★
sowania, ale poczekalbym z tym na solidną przecenę. **Radosław Wojtas**
• **Gatunek:** akcji, FPP
• **Platforma:** XSX, PS5, PC
• **Producent, dystrybutor:** Ascendant Studios, Electronic Arts



KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Stopa Rimbauda

Ma niewiele ponad 16 lat, gdy pisze swój ostatni wiersz regularny – „Statek pijany” z porywającymi obrazami oceanu, którego nigdy nie widział. „Wyczuwa specyfikę wodną lepiej niż stare wilki morskie. To jasnowidztwo, to geniusz” – powiada o swym bohaterze Sylvain Tesson w bardzo specyficznie, bo jakby nadto współcześnie, opowiedzianej historii Arthura Rimbauda, XIX-wiecznego, a dziś wręcz archetypicznego poety przekłętogo.

A jednak – wypada się zgodzić z autorem „Lata z Rimbaudem” – „Arthura nie da się sprowadzić do archetypu. Jego trajektoria działa jak magnes dla przeciwności. Obok burzyciela stoi dobry uczeń. Jeden przeraża uczonych, drugi kocha klasyczny gust. Oto lekcja od Rimbauda dla niewykształconych obrazoburców: zanim zaczniecie obalać pomniki, zaliczcie przedmioty humanistyczne!”. Wężykiem, Jasiu, wężykiem!

„W 1871 roku – czytamy – Rimbaud dołączył do paryskiego kręgu hulaków-parodystów, niegrzecznych chłopców, będących po części anarchistami, po części poetami i po części alkoholikami (widzieli potrójnie)”. Zakochuje się w nim Verlaine, porzuca dla niego rodzinę, podróżują razem, w końcu w Brukseli, po kłótni, Verlaine strzela do niego z pistoletu. Dostaje dwa lata, Rimbaud wraca na krótko do domu i kończy swój „Sezon w piekle”. A zaczyna się on tak: „Pewnego wieczoru wzięłam na kolana Piękno. – I przekonałem się, że jest gorzkie. – Znieważylem je”.

Włóczy się po świecie, zapominając o poezji. Robi biznes, handluje bronią, korzysta z pracy niewolników. W Afryce, gdzie –



FOT. CHRISTOPHE SMOUHAPEST NEWS

rzec można – odprawia pokutę za szaleństwa młodości, przede wszystkim jednak się nudzi. Bo i cóż, że ma abisyńską kochankę, a o jego nowych związkach homoseksualnych nic jakoś nie słyszymy. Skądinąd o swym uczuciu (?) do Verlaine’a powie Rimbaud dosadnie: „Pokochałem wieprza”. Agnieszka Holland ze ćwierć wieku temu skreśliła na ten temat film „Całkowite zaćmienie”. Sensu w nim za wiele nie było, prawdy też, tyle że DiCaprio zwracał uwagę swą niepospolitą urodą.

Rimbaud a popkultura – cóż za temat! „Verlaine zaciągnął przyjaciela do pracowni fotografa. Wizerunek ten spotkał identyczny los, co zdjęcie Che Guevary autorstwa René Burriego. Jeden chciał królować nad proletariatem. Drugi nad językiem. Obaj skończyli jako ikony na T-shirtach dla butikowych rebeliantów”.

Imię poety wykorzystywano w najrozmaitszych celach, bo prezentował się efektownie na każdym sztandarze: „Rimbaud komunard, Rimbaud łobuz, Rimbaud punk, beatnik, geniusz albo dzikus, awangardowy, nowoczesny, trubadur albo futurysta. Ale zestaw!

René Char to rozstrzygnął: »Rimbaud poeta, to wystarczy i w tym jest nieskonczoność«.

Był w ciągłym ruchu, dziś powiedzielibyśmy, że cierpiał na ADHD. Nachodził się jednak za dużo. Zmarł na raka kości. Z eska-

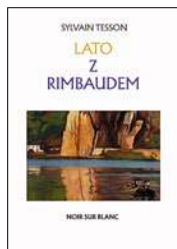
pad powrócił do ojczyzny 9 maja 1891 r., 27 maja amputowano mu nogę, 10 listopada zmarł. Miał 37 lat.

Fascynowano się nim i wciąż budzi emocje. W Polsce nikt chyba tak się nie przejął życiem i twórczością Rimbauda jak Rafał Wojaczek, który wierzył, że jest nowym wcieleniem tego poety. Jerzy Kronhold twierdził, że „utożsamiał się z nim do tego stopnia, że uznawał swój wymiar stopy za nieprzypadkowy. Jego rozmiar był bowiem identyczny z rozmiarem stopy Rimbauda. Odkąd wyszperał w jakimś nieznanym mi źródle biograficznym informację o tym, że Rimbaud miał wielkie stopy, na które wzuwał obuwie o rozmiarze 44, utwierdził się w przekonaniu, iż to znak z nieba. Skoro łączył go z Rimbaudem rozmiar stopy, pisanie wierszy, zamiłowanie do włóczędzy, to mógł powiedzieć o sobie, trawestując tamtego, że ja to nie tylko ktoś inny, że ja to Rimbaud. W tym sensie nim był i był także pijanym statkiem, niesionym prądem rzek”. Dość zresztą wspomnieć wiersze z debiutanckiego tomu Wojaczka nieprzypadkowo przeciw zatytułowanego „Sezon”. „Une Saison en Enfer” – można dopowiedzieć, nawiązując do cyklu jego poprzednika.

A Jonasz Kofta przeanielił autora „Iluminacji”, pisząc:

**Dane nam do inności prawo
Rimbaud – Aniele Stróżu mój –
Strach głupców zdeptał bredni
wrzawą
Współczucia roniąc łzę kaprawą
Bo tylko garb możesz mieć swój
Bo tylko garb możesz mieć swój.**

Czego, jak czego, ale tego ostatniego twórcę „Statku pijanego”, „najbardziej niejednoznaczny poeta” – jak nazywa go Tesson – był absolutnie pewny. ©©



★★★★★
SYLVAIN TESSON
„LATO
Z RIMBAUDEM”
NOIR SUR BLANC,
WARSZAWA 2023



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Okrucieństwo

Niełatwa to książka, ale warta uwagi, powieść mozaika, powieść kołaż, dzieło debutanta, w dodatku bardzo nietypowego. Nick Cave pisał ją kilka lat w zachodniobерlińskich loftach, jeszcze w latach 80. – dekadę po tym, jak w oblężonym mieście artystycznych inspiracji szukał David Bowie. Gdy ukazała się w 1989 r., krytyka przyrównywała prozatorski debiut znanego pieśniarza do pisania Faulknera czy Flannery O'Connor. Pewnie można by dołożyć Cormaca McCarthy'ego.

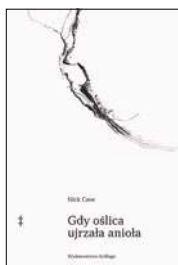
Bohater Cave'a mógłby zrodzić się na kartach dowolnego z powyższych autorów: niemy chłopak uważany przez otoczenie za półgłówka, popychadło żyjące na marginesie surowej, zamkniętej, bardzo religijnej społeczności. Jako że nie może się ze światem komunikować, trudno mu przeciw poniżeniom protestować, ale prawda jest jeszcze okrutniejsza – Euchrid jest w istocie bystry, spostrzegawczy, inteligentny, a w dodatku Bóg przemawia do niego bezpośrednio, zsyłając przedziwne wizje. Wszystko to objaśnia tytuł wzięty z Księgi Liczb, historii o tym, jak Balaam nie ujrzał Anioła Pańskiego, widziała go za to jego oślica. Gdy stanęła, Balaam bił ją za krnąbrność.

Biorąc pod uwagę życie i czyny

Euchrida, można mieć wątpliwości, czy przemawia do niego Bóg Stwórca czy bóg fałszywy, Książę Kłamstw. Bohater Cave'a jest okrutny, nie zna litości, jak i ci, którzy go otaczają i traktują tak a nie inaczej. Wizje są coraz bardziej przerażające. Rosnąca frustracja musi więc doprowadzić do tragedii. Wszystko to opowiedziane jest językiem pięknym, ale bardzo często plugawym, prozą zamieniającą się w poezję i odwrotnie. Bez wątpienia jest to lektura dla zaawansowanych, nie dla pożeraczy gładkich bestsellerów.

Książka pełna inspiracji religijnych i zarazem książka pełna kontrkulturowej szyderki; ostatecznie okazuje się metaforą losu artysty, to chyba główny klucz. Gdy głowę wypełniają rzeczy, które uważasz za ważne i którymi chcesz się podzielić z innymi, lecz pozbawiono cię jakiegokolwiek umiejętności ich przekazania – tak, jest

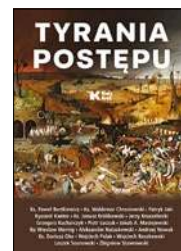
to prosta droga do szaleństwa, a także cierpienia bez miary. Kto zesłał to cierpienie na Euchrida? A jeszcze ważniejsze: po co i dlaczego? Medytacjom Cave'a daleko od klarowności, ale wiele obrazów będzie czytelnika długo prześladować. Tak jak pytanie: Czy to nihilista czy jednak moralista? ©©



★★★★★
NICK CAVE
„KIEDY OŚLICA
UJRZAŁA
ANIOŁA”
ARTRAGE 2023

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Obszerna antologia tekstów, w których autorzy mierzą się z zagrożeniami, które niosą współczesne ideologiczne mody. Andrzej Nowak, Zbigniew Stawrowski, ks. Waldemar Chrostowski i inni – lista długa i zacna.



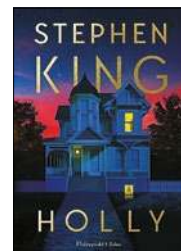
AUTORZY RÓŻNI
„TYRANIA
POSTĘPU”
BIAŁY KRUK

Od czasów starożytnych do współczesnych, od bojowych bestii do symboli, takich jak niedźwiedź Wojtek z armii Andersa czy niedźwiedzica Baśka Murmańska. Pomocne, wykorzystywane, tresowane. Pupile, ofiary, bohaterowie.



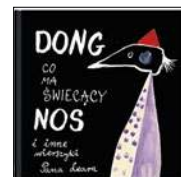
TERESA KOWALIK,
PRZEMYSŁAW
SŁOWIŃSKI
„ZWIERZĘTA NA
WOJNIE”
FRONDA

Pięta powieść, w której pojawia się detektyw Holly Gibney. W trylogii rozpoczętej „Panem Mercedesem” była postacią drugoplanową, w „Outsiderze” ważną, a teraz jest główną bohaterką.



STEPHEN KING
„HOLLY”
PRÓSZYŃSKI
I S-KA

Klasyka XIX-wiecznej poezji nonsensu w nowym wydaniu, zachowującym urok edycji, na której wychowywało się kilka pokoleń dzieciaków w PRL, czyli z ilustracjami nieodżałowanego Bohdana Butenki. ©© **Piotr Gociek**



EDWARD LEAR
„DONG, CO MA
ŚWIECĄCY NOS”
DWIE SIOSTRY

KOMIKS TYGODNIA: „OPOWIEŚCI GROZY”

Obszerny wybór krótszych form klasyki włoskiego komiksu, należącego m.in. z Hugonem Prattem do tzw. Grupy Weneckiej. Pierwsza w Polsce prezentacja dorobku tego twórcy to przedsięwzięcie wielce udane: w tomie znakomite graficzne adaptacje opowiadań klasyków grozy, m.in. Edgara Allana Poe'go,



DINO BATTAGLIA
„OPOWIEŚCI
GROZY”
MANDIOCA 2023

Robert Louisa Stevensona czy H.P. Lovecrafta. Wstęp przybliżający sylwetkę autora to dzieło Bartłomieja Rabija. **Piotr Gociek**



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Zanim nastała Łódź

29 lipca 1423 r. król Władysław Jagiełło nadał przywilej lokacyjny dla Łodzi. Osadnictwo na tych terenach istniało dużo wcześniej i temu okresowi poświęcona jest wystawa „Łódź sprzed Łodzi” wpisująca się w obchody 600-lecia tego miasta.

Najstarsze przedmioty wydobyte ze stanowisk archeologicznych,

m.in. z Rudy Pabianickiej, Retkini i Bałut, pochodzą z epoki kamienia, najmlodsze – ze średniowiecza. Na przykładzie „Księżniczki z Retkini” poruszono wątek strat wojennych w muzealnictwie. Grób „Księżniczki” został przypadkowo odkryty w 1935 r. w miejscu, gdzie dziś znajduje się ogród botaniczny. Pochodzi z III w. Wydobyte wówczas artefakty trafiły do miejscowego Muzeum Etnograficznego (dziś to Muzeum Archeologiczne i Etnograficzne). W czasie okupacji Niemcy je wywieźli. Od tej pory losy pamiątek pochówku sprzed wieków są nieznane, a w Łodzi zachowały się jedynie pojedyncze związane z nim przedmioty. ©©

GDZIE? Muzeum Archeologiczne i Etnograficzne w Łodzi
KIEDY? do 30 grudnia



FOT. MUZEUM ARCHEOLOGICZNE I ETNOGRAFICZNE W ŁODZI

FOT. JERZY UNIERCZYŃSKI/PATISZ - MUZEUM POZNANIA



TAKI BYŁ POZNAŃ

Historia innego miasta, znacznie nam bliższa, zatrzymana na czarno-białych fotografiach pokazujących miejsca odległe od centrum Poznania i od czasów nam współczesnych. Miejsca, które oferowały z jednej strony zaznanie miejscowości, z drugiej – poczucie sielskości. To pewnie dlatego mieszkańcy przedmieść, formalnie leżących w granicach Poznania, wsiadając do tramwaju zmierzającego do centrum, mawiali, że „jadą do miasta”. Zdjęcia zatrzymujące czas 30, 50, a nawet 120 lat temu. ©©

GDZIE? Centrum Kultury ZAMEK w Poznaniu
KIEDY? do 14 stycznia

NA SŁUCH

Bałkański blues

Sevdalinki to tęskne pieśni, z czasów imperium osmańskiego tworzone na terytorium dzisiejszej Bośni. Można je przyrównać do portugalskiego fado czy greckiego rembetiko.

Po międzynarodowym sukcesie płyty „Singer of Tales” Damir Imamović wydał drugi „zachodni” krążek, kontynuując współpracę ze słynnym producentem Joe Boydem (Nick Drake, Fairport Convention, Pink Floyd). Album „The World and All that It Holds” został zainspirowany powieścią Aleksandara Hemona o tym samym tytule. Opowiada ona o losach sarajewskiego Żyda, farmaceuty Rafaela Pinto i muzułmańskiego żołnierza Osmana. Ich historia przyjaźni rozgrywa się na tle pierwszej wojny światowej.

Album zawiera oryginalne kompozycje Damira oraz tradycyjne sevdalinki i pieśni Żydów sefardyjskich, którzy dotarli na Bałkany po wypędzeniu z Hiszpanii. Usłyszymy poruszające utwory o zakazanej miłości, stracie i tęsknocie za domem i rodzinnym krajem. „Sevdah nie jest smutną muzyką...” – tłumaczy Damir, „lecz sposobem na przekształcenie tęsknoty za tym, co nieobecne, w świętowanie tego, co obecne”.

Na albumie wybrzmiewają m.in.: azjatycki tar, bośniacki saz, hinduska tambura i bęben ramowy. Album zamyka pieśń „Rozległy jak świat”, którą rozstawił Zaim Imamović, dziadek Damira. Jest to hymn samotności, w którym padają słowa: „Nie ma większej sieroty niż ja”. ©©



GRZEGORZ BRZOZOWICZ



★★★★★
DAMIR IMAMOVIĆ
„THE WORLD
AND ALL THAT
IT HOLDS”
SMITHSONIAN
FOLKWAYS



★★★★★
BEBEL GILBERTO
„JOÃO”
PIAS

Brazylijka składa hold João Gilberto, pionierowi bossa novy. Nagrała m.in. „Valse”, którą słynny papa napisał specjalnie dla niej. Intymna, kojąca płyta, która jest wedle słów piosenkarki „muzycznym, miłosnym listem do mojego ojca”.



★★★★★
CINDY WILSON
„REALMS”
KILL ROCK STARS

Drugi solowy album Cindy Wilson byłej frontmanki B-52's, jednej z najbardziej intrygujących amerykańskich grup lat 80. Senny, kosmiczny nastrój doskonale współgra z żywiołowym synth-popem. Piosenka „Hold On” przywołuje pamięć nieodżałowanej Julee Cruise.



Krzysztof Masłoi

Gdy spoglądam na zajmującą całą wielką ścianę śródmiejskiej kamienicy reklamę „Znachora” z Rafałem Wilczurem vel Antonim Kosibą, który jest niby taki sam, a jednak zupełnie inny, bo Netflixowy, przypomina mi się natychmiast Ben Akiba i jego mądre słowa. A rzekł on, przypominę: „Wszystko już było”.

Bo i pewnie. Autorka uznanych za ósmy cud świata i zbiór prawd objawionych książki „Chłopki. Opowieść o naszych babkach” z satysfakcją cytuje przedwojenne zalecenie lekarskie skierowane do mieszkańców, jakżeby inaczej, Podkarpacia: „Ludność wiejska powinna się oduczyć sypiania po kilkoro w jednym łóżku, sypiania w ubraniu, rzadkiego zmieniania bielizny na sobie i w łóżku, i mycia się wodą puszczaną z ust na ręce”.

No tak, rzeczywistość u nas zawsze skrzeczała, gdy tymczasem za oceanem do takiej Hailie Monet szczęście się uśmiechnęło, gdy dopiero co skończyła 15 lat. W wypadku za jednym zamachem straciła mamusię i babunię, ale za to zyskała pięciu, wcześniej nieznanym przyrodnym braci. I to nie dość tego, że z Pensylwanii, to jeszcze milionerów! Pozazdrościć. I Hailie, i Weronice Marczak, autorce „Rodziny Monet”, niekwestionowanego bestsellera numer jeden ostatnich miesięcy.

Z kolei bohaterka „All of Your Flaws. Przypomnij mi naszą przeszłość” Marty Łabęckiej „przez większą część czasu wierzyła, że Carter jest najlepszym, co jej się mogło przydarzyć. Nie wymagał od niej miłości, przynajmniej

Kminek dla dziewczynynek

Leszek Lichota jako Antoni Kosiba

FOT. BARTOSZ MROZOWSKI/NETFLIX

nie takiej, jakiej było jej dane doświadczyć, gdy miała osiemnaście lat. Młody milioner chciał od swojej przyszłej żony przede wszystkim tego, żeby spełniała oczekiwania. A to było coś, co Josephine umiała aż za dobrze”. Ani przez sekundę nie wątpiliśmy w to.

Nie zapominajmy o innej gwiazdzie literatury spod znaku new adult – Weronice Ancerowicz, która postaci swej powieści „Fore Sure Not You” (polski tytuł to już prawie obciach) umieściła w Westwood Academy, prywatnym liceum, wiadomo, że w wielkim świecie, a nie na jakimś zapyziałym Podkarpaciu, gdzie, sądząc po wynikach sondaży wyborczych, pewnie wciąż pryska się wodą na zawsze niedomyte ręce. Co innego w Westwood Academy, gdzie panuje pełna kultura. I dlatego Natalie Forbes, pełniąca w tej szkole ważną funkcję przewodniczącej, po zwróceniu uwagi niesfornemu uczniowi, że zamiast obowiązkowej koszuli i marynarki ma na sobie bluzę z kapturem, słyszy: „Ch.. cię to obchodzi, Forbes”. To dopie-

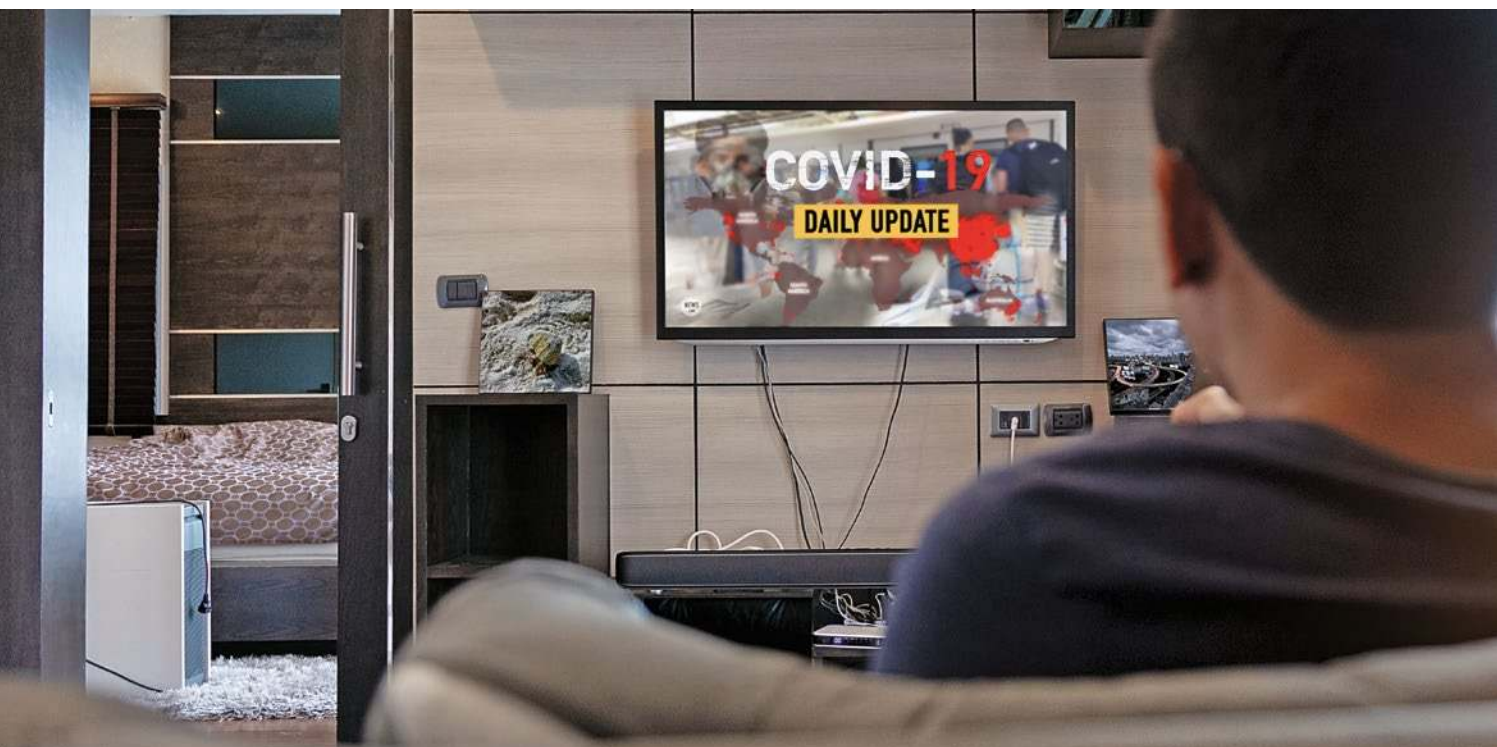
ro są dialogi, w sam raz na nowy, jakże potrzebny serial młodzieżowy, a nie godny politowania „Dewajtis” sprzed wieków.

Przy okazji zwracam uwagę specjalistom od adaptowania tekstów (uwaga: literackich!) i przenoszenia ich na mały ekran, że ta sama autorka popęliła jeszcze jedną aż proszącą się o ekranizację powieść pod wdzięcznym tytułem „Mój kumpel jest dziewczyną”.

Tak że z życzliwością przyglądając się wysiłkom Netflixowych ulepszaczy, którzy na nowo skręcają historie, a to „Pana Samochodka”, a to „Wiedźmina”, to znów „Znachora”, dopominam się o wymienione tu z tytułu nowe produkcje, które zresztą przy odrobinie wysiłku pogodzić można z archeologicznymi wykopaliskami w rodzaju „Szaleństw” czy panny Ewy czy też Majki Skowron. To dopiero byłby prawdziwy kminek dla dziewczynynek. To, że dla dziewczynynek, wydaje się oczywiste. Zdaje się, że tylko one czytają, czego dowodzą rankingi sprzedaży książek.

Niewolny jestem jednak od obaw, bo telewizyjne młyny miały wprawdzie, ale wolno, wolniutko. Zanim więc bestsellerowe słowo stanie się ciałem, musimy satysfakcjonować się tym, co mamy, a przyznać trzeba, że tu i ówdzie widać oznaki postępu. I tak np. w najnowszym sezonie Polsatowych „Przyjaciółek” jedna z bohatererek ubiegać się będzie o pracę w wystrzałowym Nail Barze, druga dostanie do prowadzenia programu w telewizji i tylko trzecia bez końca zmagać się będzie z bulimią, co skądinąd wydaje się najciekawsze z całego tego zestawu. Trudno też nie zauważyć, że telewizyjne przyjaciółeczki są nieco starsze od bohaterek young adult.

Te ostatnie też w końcu dorosną i nie każda z nich okaże się milionerką, w co dziś jeszcze trudno uwierzyć. Ale cóż, Dessie z książki „Despite Your (im)perfections. Dotrzymaj złożonej mi obietnicy” cytowanej już Marty Łabęckiej „w swoim prawie osiemnastoletnim życiu była rozsądna może ze trzy razy. Dwa z nich były czystym przypadkiem”. ©



Biznesplan zarazy mediów



Jerzy Karwelis



Mariusz Jagóła

Aby zobaczyć, jak działają media, trzeba zacząć od czasów przedcovidowych, gdyż wirus zastał media w momencie nieciekawej transformacji, którą tylko przyspieszył

Starsi jeszcze pamiętają „stary” system medialny, gdzie widz/odbiorca/czytelnik był elementem sprawczym, ponieważ to jego decyzje dotyczące przebywania z konkretnym medium miały bezpośrednie znaczenie dla ekonomiki danego przekaziora, gdyż to odbiorca płacił mu za obcowanie z jego treściami. Popychało to media do zaglądania odbiorcom w oczy i spełniania ich życzeń w swych proponowanych treściach. Jednak powoli zaczął ten element wypierać inny gracz – reklamodawcy. W ramach tego procesu gros przychodów, a wkrótce praktycznie

wszystkie, było po stronie sponsorów i elementem strategicznym stały się interesy reklamodawców. Nie spełniano już contentowych zachcianek odbiorców, gdyż tych pakowano w zasięgowe paczki i sprzedawano reklamodawcom jako towar.

To ważne, bo w ramach tego procesu utrwalił się istotny trend, który przyspieszył za COVID. Dlatego w „czasach konsumpcyjnych” media były odpowiedzialne za kreowanie u siebie rozleniwiającej i bezpiecznej przystani do konsumpcji. Żadnych szczególnych stresów (maso-

chiści łądowni w specjalnie wyodrębnionych kanałach informacyjnych), lekko i przyjemnie. Mieliśmy seriale, teleturynie i formaty erzatzu „prawdziwego życia” za pomocą mimikry „reality show”. Odbiorca miał mieć komfort konsumpcji i zapamiętać, co ma wybrać z półki, a nie patrzeć gdzieś wyżej. Symbioza mediów i reklamodawców poszła jeszcze dalej, bo w takim wymiarze media nie spełniały już roli opisu rzeczywistości, a przeszły na pozycje kreowania potrzeb, w tym wypadku zakupowych. Odbiorca zamienił się w konsumenta.

NAJPIERW INWESTYCJA

Kiedy przyszedł COVID, wszystko było już gotowe. Można było podmienić jedynie konsumpcjonizm na strach i wszystko poszło jak po maśle. Jak napisałem wcześniej – media nie grają na odbiorcę (co najwyżej na zasięgi), ale grają na „sponsora diamentowego”, czyli producenta zamawianego towaru. A towarem, który



„spłaszczanie krzywej”, z ekranów jechało trupem, a kwestie jakiegokolwiek dobrej nowiny były eliminowane z mediów, czego przykładem było zniknięcie, przecież ze wszech miar potrzebnej, informacji o... ozdrowieniach. Nic, tylko kosmici pchający wózki z respiratorami i reportaże o babci, którą zakaził lekkomyślny przechodzień. Dzień w dzień, trochę było improwizowania, aż do kolejnego etapu.

NADJECHAŁY CZEKI

Nadjechały czeki i skończyła się wolnoamerykanka. Nastaly czasy porządku. Wedle wspomnianego wyżej mechanizmu „sponsor diamentowy” przyszedł po swoje. Teraz powoli wychodzą szczegóły takich transferów i można sobie zobaczyć pouczające co prawda, ale tylko szczegóły wielomilionowych transferów do konkretnych mediów. Bilanse są wyrównowe, ale w pierwszych 10 miesiącach pandemii poszło na COVID 54 621 251 zł rządowych, czyli po tym mieliśmy jeszcze dwa razy tyle czasu na wydatki do dziś, a w lipcu 2021 r. główny czynnik, akcja szczepionkowa, dopiero nabierał tempa. Główni beneficjenci pierwszych 10 miesięcy, a widzę po zachowaniu, że i kontynuatorzy, to: Interprima (Internet) – 4 878 426 zł; TVP – 1 189 264 zł (tu spory wkład „za darmo”); Polsat – 1 722 096 zł; RMF FM – tu okrągło, bo 3 mln zł; Outdoor – ok. 10 mln zł.

Główny sponsoring tego procederu nie szedł przez firmy farmaceutyczne, bo te wcale nie musiały inwestować w promocję. Główny towar – panikę, by lud się posłuchał – sponsorowały rządy. Czyli robiły podkład pod popyt na produkty Big Pharmacy na własny koszt. I Big Pharma patrzyła na to, zacierając ręce. Ale po co miałyby takie firmy reklamować swe produkty, skoro decyzja o ich użyciu czy opłaceniu nie była w rękach pacjentów, tylko regulacyjnych i proceduralnych ciał, bo leczono tak, jak się to ustaliło z Big Pharmą? Czyli – tak à propos – nie leczono. Był to więc układ perfekcyjny, gdyż rządy naganiały za publiczne pieniądze klientów przemysłowi farmaceutycznemu, płacąc mu groszem publicznym.

Tyle rządy. A ile poszło i idzie bokiem od razu od Big Pharmacy do konkretnych dziennikarzy? Tego się nie dowiemy nigdy. Widać co prawda lawinowy wzrost wydatków przemysłu farmaceutycznego

na tzw. media branżowe, czyli medyczne. Ale trudno tam wyłowić frakcję dziennikarską. Raportowanie sponsoringu od Big Pharmacy w formie INFARMA wymaga zgody obdarowanego na ujawnienie jego danych, co w przypadku dziennikarzy byłoby (jeszcze) krokiem samobójczym. Moje doświadczenia z agencjami PR w obszarze medycyny już przed pandemią pokazywały genetyczny związek pomiędzy płatnikiem a bojownikami wolnych mediów, który w COVID musiał się udzielić kilkakrotnie. Tak że i z rządów, i z Big Pharmacy stworzyła się mityczna cieśnina ze Scyllą i z Charybdą, skąd nie ujdzie z życiem żadne covidowo wolne słowo.

UTRWALANIE

Jak już wykryliśmy, interesy sponsora mają decydujący wpływ na treści, które otrzyma widz. Kiedy więc poczyniono opisane inwestycje, przyszła pora na utrwalenie strachu. Po emocjach przyszła kolej na naukę. Pojawili się eksperci. Dodajmy – medialni. Jak tam się oni rozliczali, to już ich sprawa, czy za kasę, czy za sławę, czy najpierw za to drugie, a jak się gościu już wybudował, to może i za pierwsze. W doborze dopuszczenia do przekazu królowały kryteria medialne, nie medyczne. W ten sposób zostali ekspertami od pandemii pediatra z reumatologiem. Ważne było, by byli gotowi codziennie w blokach do „seteczki” i coś nowego mieli do powiedzenia. Najlepiej jakiś clickbajtowy bon mocik, że panie, „ci, co pójda na cmentarze w święto Wszystkich Świętych”, to pewnie tam (he he) zostaną” czy że nieszczepcy to seryjni mordercy. Tak mówiła nauka, pełna – jak widać – naukowych, obiektywnych argumentów. I tak codziennie – we wszystkich momentach z „heavy rotation”, jak w przebojowych stacjach radiowych, co grają ten sam przebieg tak co sześć godzin.

Rozpoczął się też mechanizm kręcioły. Polegał on na szalonej eskalacji, której absurdalność nie była widoczna jedynie z powodu paniki w gronie odbiorców. Chodziło to tak, że wiele opłacanych mediów musiało się starać w porównaniu z konkurencją. I mieliśmy te codzienne sensacje. Atakuje mózg! Małe dzieci! Fretki! Stopy! No, przecież jak w medium X wyszło, że rujnuje wątrobę i życie

był „inwestycją” sponsora, było wywołanie strachu. Tu się „zamawiający” nawet z tym nie krył. Idea była przecież szlachetna – idzie na nas nieznany wirus, nie wiadomo, co robić. A więc nie ma co się szczyścić z prawdą, co od razu wyczyły media. To stąd się zaczęła lawina siania sponsorowanej paniki. Te wszystkie przeklejanie zdjęć rządów trumien z Lampedusy, gdzie mieliśmy katastrofę statku w 2013 r., jako zdjęć z covidowego Bergamo, gdzie – jak się okazało – mieliśmy katastrofę, ale włoskiej służby zdrowia.

Nawet decydenci, czasem chlapnęli na bieżąco, czasem później we wspomnieniach, że to było specjalnie podostrzane – vide: szef sanepidu pan Pinkas, który stwierdził, że maseczki mają głównie znaczenie psychologicznego znaku wysłanego dla społeczeństwa, że wirus wciąż się sroży, a znaczenie przerywania transmisji wirusa maseczkami jest w tym kontekście co najwyżej drugorzędne. Wiadomo – liczyła się walka z wirusem,

rodzinne w południowo-zachodniej Polsce, to redakcja medium Y nie mogła przysypiać i zasypiać gruszek w popiele i trzeba było wynaleźć jakiś kolejny przejaw przebytej covidozy. Tu najpopularniejszy był COVID bezobjawowy – nawet gościu nie wiedziałeś, żeś COVID miał, a teraz widomym znakiem, że tak było sześć miesięcy temu, jest twoja stopa końsko-szpota. Do dziś nie został wywołany wpływ COVID na męski wzród. Są pogłoski, że osłabia, są i takie, że i owszem – wzmacnia, aż do podejrzeń o powodowanie priapizmu, co akurat przydało mu – COVID, nie priapizmowi – pewnej atrakcyjności. Te wierutne bzdury były za każdym razem poparte jakimś lekarzem, najlepiej z Kentucky, który to właśnie – w obie strony – odkrył.

Dyrektywa Digital Services Act będzie eliminować treści uznane za mowę nienawiści, a także zważanie się na protesty

Ale jednocześnie na poważnie zabrano się za inaczej myślących. Media wycinały wszelkich sceptyków lub nawet tylko tych, którzy to próbowali zadać jakieś pytanie. Tak w ogóle publiczność, jeśli by nie miała alternatywnych źródeł informacji (rzadsze) albo jechała „na leniucha” (częstsze), to o istnieniu covidowej opozycji dowiadywałyby się tylko z faktu atakowania jej w mainstreamu.

Jan Pospieszalski to jedyny wyjątek w tej smutnej regule. Jego program z 6 kwietnia 2021 r. z cyklu „Warto rozmawiać” przeszedł do historii jako 40 minut prawdy. Z ekranów powiało argumentami fachowców, faktami, sugestiami. Nie było żadnego wyzywania oponentów, którzy akurat tu podali tyły i nie przyszli do studia. I Jan zapłacił za to zwolnieniem, medialną banicją, obstrukcją środowiska, chyba z tego powodu, że środowisko zobaczyło w nim hańbę własnych wyborów, i nawet go z tego powodu zaatakowało.

RETURN OF INVESTMENT

Mieliśmy czas inwestycji i utrwalania „modelu biznesowego”, pora więc, wedle reguł, na realizację zysków. One były co prawda i od początku, kiedy do szpitali,

w których „nie wiadomo, jak leczyć COVID, stąd błagamy o szczepionki”, wchodziły jakieś tam toksyczne remdesiviry za wiadro złotych, wypierając amantadyny za złotych dziesięć. To też „smarowały” media, zanim przyszedł czas żniw. Dla mnie tym końcowym etapem przedsięwzięcia był jednak program szczepienny. Wszystko ku niemu prowadziło.

Propagandowa maszyna do produkcji paniki w trójkącie media-rząd-Big Pharma doprowadziła rzesze do takiego poziomu strachu, że same rządy stały się zakładnikami wywołanej przez siebie i media paniki. Potem samozasachowały się, jak minister zdrowia Wielkiej Brytanii, przyłapani na tym, że kontynuowali obostrzenia tylko dlatego, że przerwanie ich bezsensowności zdemaskowałoby

błędność jego decyzji. Tak, że jak na początku rząd wywołał falę paniki, by lud akceptował rządowe obostrzenia, tak pchany okrążył pchacza i to on zaczął poganiać rząd. Szczepionki subito! I rząd się zakiwał, bo został sam w tej pułapce, z której właśnie wyskoczyła Big Pharma, by na powierzchni zrealizować zyski z przeciwko kosztownych inwestycji etapu wstępnego. Rządy, nawet jeśli były covidowo-niezależne i przed szczepionkami, mierzyły się z taką „oddolną”, w rzeczywistości stymulowaną presją społeczną. A jak przyszły szczepionki, to obietnica natychmiastowego rajy dla cywilizacji przetrzepanej dwutygodniową kwarantanną, która jakoś się przeciągnęła na rok, wprawiła lud panikowany w taką euforię, że rządy się ugięły i – tu już z własnej, pozakorupcyjnej rzecz jasna, woli – nakupiły dwudawkowej szczepionki po 10 sztuk na głowę.

Okres realizacji zysków wymagał ostatniego aktu – wsparcia medialnego akcji szczepiennej i media się tak dobrze spisały, że niektóre bidulki trzyma do dziś. Co prawda, inne kraje (USA, Niemcy, Szwajcaria) zamykały już w 2022 r. stoisko ze szczepieniami, proces ten w Polsce sącył się jeszcze, ciurkał, byłby pod pełną parą, gdyby nie jeden czynnik.

Pozaepidemiologiczny, a więc widać, że to nie wirus buja interesem mediów.

WOJNA

Przyszedł Putin i wygonił covidowych partyzantów z lasu. Pandemia skończyła się w mediach w jeden dzień i okazało się, że skończyła się także medycznie. Jednak to pierwsze było przed tym drugim, co dowodzi mojej tezy, że pandemia od dawna nie jest zjawiskiem medycznym, tylko społecznym, jak to bywa – podatnym na propagandowe działania. W jeden dzień wszystko zniknęło i to nie tylko z ekranów, lecz także ludzkich serc. Strach pandemiczny, to perpetuum mobile, został przebity atutem ostatecznym – jokerem wojny. Co prawda, jeden strach większy zastąpił ten mniejszy, a więc w ludzkich sercach dalej wieje paniką, ale trzeba było się mediom przestawić. A te idą jak jęczmień – za wiatrem.

Odbyła się przygoda. Postrachowało się ludność, faktury wystawiło. Pora się rozejść, fartuchy zamienić na moro, czepki na hełmy, tylko mikrofon ten sam. Bo my panu (sponsorowi) wszystko wyśpiewamy. Odbiorca jest nieważny, bo nie pamięta już starej zasady: jak chcesz zobaczyć, kto naprawdę rządzi, zobacz, kogo nie wolno krytykować.

Teraz domykane są efekty covidowego doświadczenia. W sensie medialnym ludzie przestali się bać i ten deficyt można zastąpić już tylko gołym przymusem. Bez żadnych uzasadnień. Wchodzi dyrektywa unijno-natowska Digital Services Act, która będzie skutecznie eliminować treści uznane za mowę nienawiści, zważanie się na protesty i działalność terrorystyczną. Nad „wolnym światem” zapadnie kurtyna autocenzury, wprowadzającej eliminujące kryteria na podstawie niejasnych definicji, w związku z tym niczym się to nie będzie różnić od ołówka cenzorskiego za komuny. Bardziej nawet – to sami nadawcy będą skreślać takie treści, próbując przewidzieć, o co chodziło ustawodawcy prokurującemu gumowe ramy definicji wykluczających.

I tak wylądowaliśmy. Od starego paradygmatu mediów, poprzez ich komercjalizację, później przyspieszającą medialny zamordyzm mediów covidianizację, aż wylądowaliśmy w czystej cenzurze, bezwstydnej, bo już nawet nieszukającej listka uzasadnień. © Wszelkie prawa zastrzeżone

Franciszek to pierwszy papież, który odwiedził Mongolię. Do tego środkowoazjatyckiego kraju został zaproszony w ubiegłym roku przez kard. Giorgia Marengę. Marengo ma 49 lat; to najmłodszy purpurat w Kościele. Franciszek wręczył mu biret kardynalski w ubiegłym roku po tym, jak Marengo przywiózł do Watykanu delegację mongolskich buddystów. Wcześniej Marengo od zaledwie dwóch lat pełnił funkcję prefekta apostolskiego Mongolii. Jako że katolików w Mongolii jest tyłu, ilu w większej polskiej wsi, Marengo kładzie duży nacisk na prowadzenie dialogu z pozostałymi mieszkańcami kraju. Na ten aspekt wskazywał również przed wizytą Franciszka. „Różne tradycje religijne w swojej różnorodności nie są zagrożeniem. Jeżeli są w stanie dobrze się ze sobą zharmonizować, to stają się bogactwem każdego społeczeństwa i państwa” – powiedział. Zwracam uwagę na określenie „tradycje religijne” użyte przez kardynała. W przypadku Mongolii obejmuje ono pogański szamanizm, islam, buddyzm oraz chrześcijaństwo. Terminem „tradycje religijne” posługuje się chętnie również Franciszek. Podczas wizyty w Mongolii zrobił to kilkakrotnie, przekonując, że różnorodność tradycji religijnych może się przysłużyć dobrostanowi narodów świata.

DIALOG Z BUDDYZMEM

Nic nowego: sprowadzanie religii katolickiej do jednej z wielkich światowych tradycji religijnej jest typowym motywem tego pontyfikatu. Ma to uzasadnienie polityczne: rezygnacja z roszczenia do prawdy sprawia, że w duchu liberalnego relatywizmu wszyscy mogą uznać, iż wiedzą o Bogu mniej więcej tyle samo, to znaczy – w sumie nic. Pozwala to na wzajemną tolerancję i realizację nadrzędnego celu, którym jest praca na rzecz lepszego jutra w imię „braterstwa i przyjaźni społecznej”, jak pisał papież we „Fratelli tutti” z 2020 r. Dlatego najważniejszym wydarzeniem papieskiej podróży do Mongolii było spotkanie międzyreligijne, które odbyło się z udziałem reprezentantów: Kościoła katolickiego, islamu, judaizmu, buddyzmu, szamanizmu, hinduizmu, szintoizmu oraz mormonów i protestantów. Tak jak w filmie wyprodukowanym

przez Watykan w 2016 r. różne „tradycje religijne” zebrały się, aby ogłosić, że – to cytując z nagrania – „Boga szuka się na różne sposoby”.

W przypadku Mongolii główną rolę odgrywa dialog z buddyzmem. Buddyzm to – obok chrześcijaństwa, islamu oraz manicheizmu – jedna z czterech religii powszechnych, o szerokim zasięgu

gnostycznej. Uznaje rzeczywistość materialną za fundamentalnie złą, upatrując jedyne sensu życia w radykalnym oddzieleniu się od tej rzeczywistości. W ten sposób buddyzm jest de facto ateistyczny. Nie ma w nim Boga ani łaski; „wyzwolenie” dokonuje się za sprawą wyłącznie ludzkich wysiłków, zdobycia szczególnego

Watykan między Rosją a Chinami



Paweł Chmielewski

Wizyta papieża miała dwa kluczowe wymiary: dialog międzyreligijny i wielką politykę. Mongolia jako kraj o tradycji głównie szamańskiej i buddyjskiej nadaje się idealnie do promowania relatywizmu religijnego, a jako państwo położone między Rosją i Chinami – do wzmacniania więzów Stolicy Apostolskiej z oboma mocarstwami i wzmocnienia ukierunkowania Watykanu na „globalne południe”

geograficznym. Sobór Watykański II wypowiedział się o buddyzmie w krótkim passusie deklaracji „Nostra aetate”, pochwalając buddyjską naukę o „całkowitej niewystarczalności tego zmiennego świata”. W istocie buddyzm nie zasługuje z chrześcijańskiej perspektywy na pochwały, wprost przeciwnie. Jest religią o naturze

rodzaju „poznania”. Nawet św. Jan Paweł II, który poprzez liczne gesty i spotkania zdawał się wysyłać sygnały głębokiego poszanowania wobec buddyzmu, wypowiadał się na temat tej religii bardzo krytycznie. W wywiadzie udzielonym Vittorio Messoriemu „Przekroczyć próg nadziei” przypomniał, że buddyzm jest zamknięty na Boga

■ i kończy się tam, gdzie dopiero zaczyna się mistyka chrześcijańska.

BUDDA I JEZUS

Religiami i filozofiami wschodu interesował się – z pozycji badacza – w swoich młodych latach Józef Ratzinger. Dobrze je poznawszy, jako prefekt Kongregacji Nauki Wiary ogłosił w 1989 r. dokument „O niektórych aspektach medytacji chrześcijańskiej”. Warto go przypomnieć tym wszystkim, którzy – również w Kościele w Polsce – organizują różnego rodzaju seanse medytacyjne inspirowane buddyzmem. Ratzinger przestrzegał tam przed łączeniem modlitwy chrześcijańskiej ze wschodnimi praktykami, które – jak wskazywał – mają quasi-gnostycki fundament i jako takie są po prostu zaprzeczeniem chrześcijaństwa. Pamięć o tych przestrożach jest szczególnie ważna dziś, gdy liczne wypowiedzi papieża Franciszka mogą sugerować jakieś rzekome głębokie wartości buddyzmu, a nawet jego własne „powołanie”. W maju 2022 r., przemawiając właśnie do mongolskich buddystów, Franciszek zestawiał ze sobą Jezusa i Budę, z obu czyniąc „budowniczych pokoju i propagatorów niestosowania przemocy”. W wystąpieniu z czerwca tamtego roku skierowanym do buddystów z Tajlandii stwierdzał z kolei, że „Budda i Jezus rozumieli potrzebę przezwyciężenia egoizmu, który rodzi konflikty i przemoc”, i zestawiał ze sobą cytaty z Buddy i Jezusa wzywające do wzajemnej miłości i budowania pokoju. W przemówieniu do buddystów z Tajwanu w marcu 2023 r. wyraził wprawdzie przekonanie, że „w Jezusie Chrystusie sam Bóg z miłości do ludzkiej rodziny stał się »pielgrzymem«, ale dodał zarazem, że wizyta mnichów w Watykanie będzie dla nich okazją „doceniania różnych doświadczeń w poszukiwaniu Boga”, tak jakby znowu chodziło o równoprawne „tradycje religijne”. Na spotkaniu międzyreligijnym w Mongolii Franciszek cytował buddyjskie powiedzenia i przekonywał, że religie mają swoją „społeczną wartość” i należy je oceniać według kryterium poziomu altruizmu. Według papieża religie mają swoje własne „powołanie”, którym jest budowanie „harmonii” na świecie. Buddyjski, gnostyczny ateistyczny system, jako powołany do budowy harmonii? Kościół widział zawsze w innych religiach błąd i przeszkodę w przyjęciu Chrystusa.



Podtrzymywanie tej nauki byłoby jednak mało polityczne, prawda? Dlatego chyba papież stawia na indyferentyzm: religia taka czy inna, nieważne, byleby była „altruistyczna”.

MULTILATERALIZM

Kwestie religijne nie są jednak jedynym aspektem wizyty papieża w Mongolii. Fundamentalną rolę odgrywa wielka polityka. Mongolia jako państwo położone pomiędzy Rosją a Chinami może uchodzić za idealny łącznik Watykanu z tymi mocarstwami. Franciszek od dawna chciałby udać się zarówno do Moskwy, jak i do Pekinu. Jak dotąd nie było

to możliwe, dlatego wizyta w Ułan Bator jest niejako substytutem tamtych dwóch. Zaledwie kilka dni przed wylotem do mongolskiej stolicy papież wywołał medialny i dyplomatyczny szum, w przemówieniu do młodzieży rosyjskiej chwalał carski imperializm. Lecąc do Ułan Bator, polecił wszystkim próbę głębszego zrozumienia Mongolii poprzez muzykę Aleksandra Borodina. Borodin w 1880 r. skomponował symfonię „Na stepach Azji Środkowej”, mającą uczcić 25-lecie panowania Aleksandra II. Symfonia Borodina jest pochwałą ścisłych związków Azji Środkowej z Rosją. Obie wypowiedzi nie są przypadkowe. Watykan wspiera



Papież Franciszek spotkał się z prezydentem Mongolii Ukhnaagiinem Churelsukhem w Pałacu Państwowym w Ułan Bator, 2 września 2023 r.

FOT. VATICAN POOL/GETTY IMAGES

W 2018 r. Stolica Apostolska podpisała tajną umowę z Chinami, dotyczącą przede wszystkim kwestii mianowania biskupów. Od tego czasu umowa była przedłużana już dwukrotnie, choć Pekin regularnie narusza jej postanowienia. Reakcja Watykanu na te naruszenia jest dość specyficzna. Kilka miesięcy temu Chiny mianowały bez zgody papieża biskupa Szanghaju. Stolica Apostolska w lipcu po prostu zaakceptowała tę

**Kwestie religijne nie są
jedynym aspektem
wizyty papieża
w Mongolii.
Fundamentalną
rolę odgrywa
wielka polityka**

nominaację. Co więcej, kardynał sekretarz stanu Pietro Parolin ogłosił, że w efekcie należałoby ustanowić w Pekinie stałe biuro do spraw kontaktów watykańsko-chińskich. Byłby to przełom, bo Watykan nie utrzymuje z Chinami oficjalnych relacji dyplomatycznych. Stworzenie takiej placówki wskutek chińskich pogwałceń umowy pokazuje, jak bardzo Watykanowi zależy na dalszym dialogu. Dla polskiej polityki, odrzucającej multilateralizm na rzecz wsparcia wysiłków USA w obronie swojej dotychczasowej pozycji, stanowisko Watykanu będzie niewątpliwie dużym wyzwaniem. Już dziś prorosyjskie papieskie wypowiedzi wywołują krytyczne komentarze, nawet wśród ministrów. Nie ma jednak powodów sądzić, że to stanowisko ulegnie w najbliższych latach jakiegóż głębszej zmianie. Stolica Apostolska jest strategicznie zainteresowana współpracą z krajami globalnego południa, do których starają się trafić Rosjanie i Chińczycy. To tam mieszka większość katolików, nie na bardziej ateistycznej północy. Dlatego nie tylko Franciszek, lecz także jego następca chętniej będzie wcielać się w rolę „papieża Putina i Xi” niż „papieża Bidena”. Może nam się to nie podobać, ale tak po prostu jest.

budowę świata tzw. wielobiegunowego, uznając, że amerykańska dominacja bezpowrotnie się skończyła.

Kilka dni przed papieską wizytą w Mongolii mówił o tym kard. Matteo Zuppi, określając multilateralizm jako „konieczność” i „jedyną drogę” do zapewnienia pokoju. Zuppi jest papieskim delegatem do spraw wojny na Ukrainie. Kardynał wywodzi się ze środowiska Sant'Egidio, wspólnoty założonej przez Andree Riccardiego, która od lat prowadzi nieformalną watykańską dyplomację. Sant'Egidio od początku wojny na Ukrainie stawia się w pozycji rzecznika rosyjskich interesów. Krótko po wybuchu woj-

ny Riccardi wezwał do ogłoszenia Kijowa tzw. miastem otwartym, co oznaczałoby zgodę na przejęcie przez Rosję kontroli nad stolicą Ukrainy. Później proponował wypracowanie nowej architektury bezpieczeństwa w Europie, która uwzględni interesy Rosji, a Putinowi pozwoli „wyjść z konfliktu z twarzą”. Wreszcie proponował Ukrainie rezygnację z Krymu, Donbasu oraz z aspiracji natowskich i unijnych. Riccardi tłumaczył, że Rosja została „okrażona i upokorzona” przez NATO. Polityka Franciszka i Zuppiego idzie po tej samej linii.

Multilateralizm wiąże się też ze szczególnymi relacjami Watykanu z Pekinem.



Gyula Andrassy koronujący cesarżową na obrazie Feszty Árpáda „Koronacja królowej Elżbiety”

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

„Piękny wisielec”

Fakt, że człowiek skazany na śmierć przez Habsburgów został potem nie tylko ułaskawiony, lecz także został premierem Węgier, a następnie wspólnym szefem dyplomacji austro-węgierskiej, zadziwiał Europejczyków w XIX w. Dla polskich rojalistów w Galicji w drugiej połowie XIX w. był wzorem męża stanu, który potrafił wypracować dla swego podbitego narodu niezwykle korzystne warunki modus vivendi z monarchią habsburską. Z okazji 200-letniej rocznicy urodzin w pałacu Betliar na Słowacji zorganizowano wystawę pamiątek po polityku, który wpisał się zarówno w historię Węgier, jak i Słowacji.

SEKLERSKI RODOWÓD

Nazwisko Andrassy u przedstawicieli narodów byłej Korony św. Stefana kojarzy się z wielkopańską dumą. Ród wywodził się z plemienia Seklerów, który różnił się etnicznie od Węgrów i przez badaczy utożsamiany jest z koczowniczymi plemionami Połowców i Pieczyngów. To azjatyckie pochodzenie uważane było za nieco dziką krew plemienną nawet



Piotr Semka z pałacu Betliar

In Effigie – tak nazywa się wystawa ku czci hrabiego Gyuli Andrassyego (1823–1890) – austro-węgierskiego męża stanu, współtwórcy dualnej monarchii Austriaków i Węgrów, która istniała w latach 1867–1918. To łacińskie określenie symbolicznej formy egzekucji – zamiast skazańca, który zdołał zbiec za granicę, uroczyste wieszano jego portret

w społeczności Madziarów, którzy przecież chętnie się pochodzeniem od Hunów Atyli. Faktem jest, że przedstawiciele rodu Andrassy w ciągu wieków zawsze przydawali się kolejnym władcom w roli tęgich rębajłów. Zapisywali się chlubnie w historii Węgier od końca X w. Praszczur rodu Andoros Silny walczył na zlecenie św. Stefana z Gyulą, wiarołomnym wielkorządcą Transylwanii. Potem Simon Andrassy zasłynął w krucjacie do Ziemi Świętej, zdobywając wraz z królem Andrzejem II mużulańską twierdzę Damietę.

Gdy Węgry weszły pod władanie dynastii Habsburgów, Andrassowcy – jak to do dziś mawiają Słowacy – otrzymali od władców z Wiednia siedziby rodowe w miejscowościach Betliar i Krasnohorske we wschodniej Słowacji. Obok Esterhazy, Rakocznych, Pálffyich ród ten od XVI w. zawsze uczestniczył w najważniejszych wyborach szlachty Korony św. Stefana.

Zanim odwiedzi się pałac Betliar i wystawę poświęconą Gyuli Andrassyemu, warto rozpocząć kontakty z tym węgierskim rodem od wizyty w rodowym mauzoleum Andrassy w Krasnohorskim

Podhradziu pod zamczyskiem w Krasnej Horce (aktualnie zamkniętym na czas remontu). W 1903 r. Dionyz Andrassy wybudował tu imponujące secesyjne mauzoleum dla członków rodu, przypominające nieco grobowiec Teodoryka w Rawennie. Warto obejrzyć ten pomnik arystokratycznej dumy. Ludzie budujący sobie tak ogromne grobowce musieli myśleć o sobie jako o sternikach narodu. Główny bohater tego tekstu – Gyula Andrassy – spoczął w innym, równie pompatycznym grobowcu w Trebiszowie na Słowacji (gdyby dożył do 1903 r., z pewnością uznalby krasnohorską mauzoleum za godne swojej wielkości).

„ON NATCHNIONY I MŁODY BYŁ...”

Pałac Betliar to rodowa siedziba Emmanuela Andrassyego – brata Gyuli. Przyszły premier Węgier i szef dyplomacji austro-węgierskiej bywał tu wiele razy. Eklektyczny pałacyk z atrakcyjnym parkiem i rodową kaplicą przetrwał w rękach rodu do 1945 r. Potem ocalał przed szabrem i grabieżą jako filia Słowackiego Muzeum Narodowego w Bratysławie. Przypomina zastygłą bryłkę bursztynu – tyle że z pamiątkami z epok Franciszka Józefa. Na Węgrzech tego typu magnackie siedziby w większości doszczętnie rozgrabiono, więc sporo tu wycieczek z kraju Madziarów.

Na wystawie zgromadzono dokumenty rodowe rodu ze Słowackiego Archiwum Narodowego Lewoczy oraz pamiątki po Gyuli Andrassy, które szczęśliwie ocalały w pałacu Betliar. Wystawa zaczyna się od drzew genealogicznych rodu, po czym przypomina kolejne etapy życia bohatera ekspozycji.

Gdy młody Gyula przyszedł na świat w 1823 r., Węgry poddane były dosyć brutalnym rządóm habsburskim, co nie znaczy, że ród Andrassy nie miał nic do powiedzenia. Miał i to sporo. Ojciec Guli – Karol III Andrassy – był zamożnym arystokratą i widział w swym synu kandydata na ważnego polityka. Gyula należał do pokolenia, które wyrastało w coraz bardziej roznamietnionej epoce lat 1845–1848, kiedy to młode pokolenie, urodzone już po kongresie wiedeńskim, zaczęło żądać dla Madziarów znacznie więcej praw, niż gotowy był przyznać im dwór w Wiedniu.



Gyula Andrassy. Portret pędzla Gyuli Benczúra. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Młody Gyula, który studiował prawo w Budapeszcie, szybko został deputowanym do węgierskiego parlamentu w Preszburgu (dzisiejsza Bratysława). Tam poznał swego politycznego mentora Lajosa Kossutha. Gdy wybuchła rewolucja, Andrassy walczył w węgierskiej wojnie o niepodległość. Zasłużył się w bitwie pod Pákozd 29 września 1848 r., gdzie walczył u boku gen. Artura Görgeya.

9 maja 1849 r. rewolucyjny rząd węgierski wysłał go do Konstantynopola, stolicy Turcji. Młody ambasador nie zdołał skłonić tego kraju do wystąpienia po stronie Węgier, ale nakłonił sułtana, by odmówił wydawania uchodźców, którzy uciekli z Węgier po stłumieniu powstania, w ręce austriackich prześladowców.

29 września 1851 r. w jego rodzinnym komitacie Zemplin doszło do wspomnianej już egzekucji In Effigio. Zamiast wieszania jego portretu do drewnianej szubienicy stojącej na terenie twierdzy austriackiej w Peszcie wbito drewnianą tabliczkę z jego nazwiskiem.

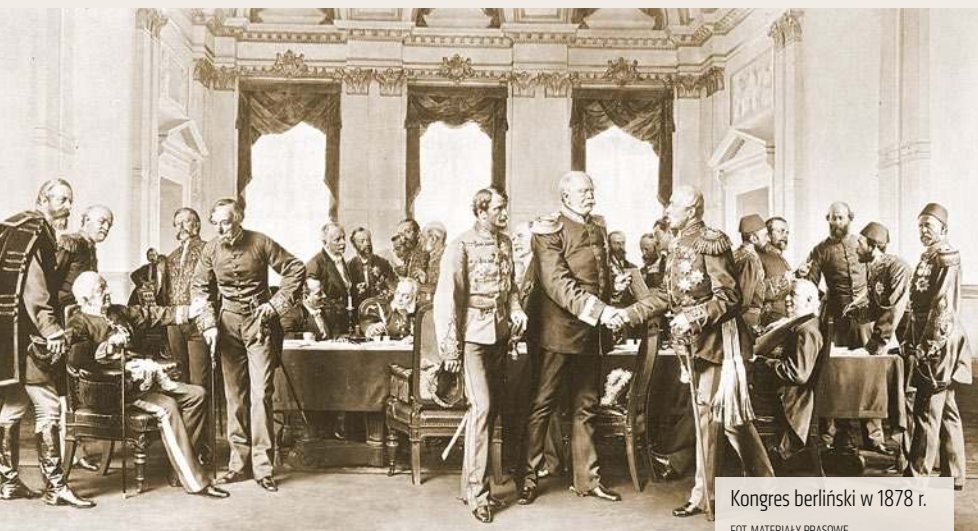
Przebywając na emigracji, młody Gyula nie cierpiał nędzy. Jego matka, której węgierskie dobra nie zostały naruszone przez władze, słała synowi spore sumy pozwalające na życie w Paryżu i Londynie na najwyższej stopie. Gyula Andrassy był ozdobą wielu paryskich i londyńskich salonów, gdzie jego nieco egzotyczna, dzika uroda przyczyniła się do powstania przydomku „piękny wisielec”.

Przewidując, że emigracyjne życie prowadzi do oderwania o zmianie myślenia w ojczyźnie. Dość szybko, bo w 1857 r., wrócił do kraju – co wywalczyła na dworze zakochana w nim matka hrabina Etelka Szapáry.

Kto wie, jak długo trwałyby jego starania o przywrócenie Węgrom partnerskiej pozycji w związku z Habsburgami, gdyby nie dwa czynniki. Pierwszy to dwie przegrane wojny Austriaków w 1859 r. przeciw Francuzom i Włochom oraz w 1866 r. w starciu z Prusami. Upokorzone szczególnie tą drugą klęską państwo Habsburgów musiało zdobyć się na jakąś ozdrowieńczą reformę. Traf chciał, że węgierską dzikością i niezależnością zachwyciła się żona cesarza Franciszka Józefa – Elżbieta, zwana potocznie „Sisi”. Cesarzowa poznała Gyula Andrassyego i była nim oczarowana. Wiedeńscy ministrowie zaczęli z irytacją szeptać, że „madziarski dzikus” owinął sobie władczynię wokół palca. Jeszcze bardziej nienawistni zaczęli rozpuszczać plotki o ognistym romansie zadzierzystego Węgra z czującą się samotnie w Wiedniu cesarzową.

W ogóle Gyula Andrassy wydawał się wręcz stworzony do bycia bohaterem ciągłych plotek. Na wystawie można zapoznać się z elementami, które budowały jego legendę. Już w Paryżu zabył fantazją, sprowadzając autentyczną madziarską kapelę cygańską do swojej paryskiej siedziby, aby przygrywać skoczne czardasze, pozwalać damom z najlepszych francuskich rodów na chwilę zapomnienia w tańcu uważanym wówczas przez Francuzów za nieprzyzwoity. Andrassyego zawsze otaczała sława ognistego kochanka, któremu udawało się wielu szacownym francuskim arystokratom przyprowadzić wielgachne rogi. Nie inaczej było w czasie jego wizyt na dworze wiedeńskim. Gdy wkraczał do sal balowych w nieco egzotycznym dla Austriaków węgierskim stroju z przetykanej złotą nitką pelerynce zwanej attyłką, gdy dzwonił ostrogami na swoich sięgających kolan węgierskich butach rajtarskich i gdy strzelał ognistym wzrokiem, w którym damy widziały dzikość Azji, wszyscy w towarzystwie, chcąc czy nie chcąc, zaczęli rozmowy od jego najnowszych poczyną.

W latach 1859–1867 Gyula przeprowadził projekt zrównania w pra-



Kongres berliński w 1878 r.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

■ wach Węgrów z Austriakami. Powoli powstawał prawdziwy parlament węgierski i stworzony został cały aparat rządowy równoległy do aparatu austriackiego.

Na wystawie stajemy przed kopią obrazu Feszty Árpáda „Koronacja królowej Elżbiety”. Na malowidle Gyula Andrassy jako Palatyn Węgier wkłada koronę na głowę cesarzowej. Chwilę wcześniej ta godność stała się udziałem Franciszka Józefa. Ten obrazek nie cieszył się popularnością w Wiedniu. Starzy urzędnicy monarchii życzali się, że ich cesarz otrzymał koronę z rąk niedawnego buntownika. Libertyni zaś kpili, że oto węgierski dzikus otrzymuje zaszczyt koronowania cesarzowej, z którą – jak głosiła stugębna plotka – poznał się znacznie lepiej niż tylko jako jej poddany. Historycy twierdzą, że legendy o romansie węgierskiego arystokraty z „Sisi” były przesadne. Owszem, cesarzowa była oczarowana potomkiem Seklerów, ale ścisła dyscyplina dworska nie dawała szansy nawet na parominutowe pozostawanie ich obojga bez przyzwoitek.

MISTRZ DYPLMACJI

Kolejny obraz na wystawie przedstawia trzech głównych graczy kongresu berlińskiego, który odbył się w stolicy Niemiec w 1870 r. W centrum kopii obrazu Antona von Wenera widać kanclerza Otto von Bismarcka, Gyula Andrassyego (tym razem w roli szefa dyplomacji austro-węgierskiej) i wreszcie rosyjskiego dyplomata księcia Piotra Szuwałowa. Węgrzy dumni są z tego, że właśnie obraz Wenera z trzema tymi dyplomatami umieścił na okładce swego



Drzewo genealogiczne rodu Andrassy

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

pomnikowego dzieła „Dyplomacja” Henry Kissinger, były amerykański sekretarz stanu. Ten tak chwalony przez Kissingera kongres zakończył wojnę rosyjsko-turecką i był uznany przez niego arcydziełem sprawności dyplomatycznej oraz testem na sprawczość Andrassyego. Węgierski dyplomata uratował Turków przed całkowitym pogromem, oskubał Rosję z wielu jej zdobyczy bałkańskich i pomógł zdobyć Bismarckowi rolę rozjemcy na tle przeciwstawnych europejskich ambicji terytorialnych. Dla swojej austro-węgierskiej ojczyzny Andrassy zdobył protektorat nad Bośnią i Hercegowiną.

Czy jednak zdobycze Andrassyego, którymi obdarował swój kraj, nie zwiastowały późniejszych sporów? Wielki węgierski mąż stanu zmarł w 1890 r. wycieńczony jego problemami urolo-

gicznymi. Nie zdołał zobaczyć skutków przywiązania Austrii do pruskiego rydwanu ani nie doczekał wybuchu antywęgierskich uczuć Czechów, Słowaków i Chorwatów.

Słowacka wystawa pozbawiona jest dość częstego u naszych południowych sąsiadów resentymetu wobec madziarskich ciemiężców. Autorzy wystawy wydają się dumni z gwałtownego rozwoju węgierskiej części monarchii Habsburgów w drugiej połowie XIX w. i na początku XX w. Być może to gest uczyniony wobec wycieczek z Węgier, które stanowią sporą część turystów odwiedzających zamek Betliar. A może to uznanie, że nie ma co się obrażać na okres dualizmu, bo oprócz przymusowej madziaryzacji przyniósł on także Słowacji pewien rozwój ekonomiczny i kulturalny.

Polakom Andrassy kojarzył się jako polityk z jednej strony życzliwy, ale z drugiej strony dbający usilnie, aby kompromis ustrojowy w państwie Franciszka Józefa dotyczył wyłącznie Niemców i Węgrów, bez wprowadzania do tego klubu zwycięzców polskiej arystokracji galicyjskiej. O ile dla Słowaków to postać, którą dopiero wydobywa się z kurzu zapomnienia, o tyle Węgrzy, szczególnie pod rządami Viktora Orbána, uznają go za bohatera przypominającego o przeszłej potędze Korony św. Stefana. W 2016 r. Orbán ustawił na nowo konną statuetkę Andrassyego przed budynkiem parlamentu w Budapeszcie.

Odpoczywając w uroczym parku otaczającym pałac w Betliar, nie sposób nie zadumać się nad obecną próbą wskrzeszenia siły Węgier w wykonaniu premiera Orbána. Gyula Andrassy zawsze przestrzegał Węgrów, a także Habsburgów przed słowianofilską polityką dworu w Petersburgu. Dyplomacja węgierska zawsze też krytycznie patrzyła na Serbię jako forpaczę wpływów rosyjskich na Bałkanach. Dziś Węgry oddaliły się od głównego nurtu państw NATO, za to wraz z Serbią utrzymują specjalne relacje z Rosją Putina. Czyżby dlatego 200. rocznicę urodzin seklerskiego hrabiego obchodzi się huczniej na Słowacji niż na Węgrzech?

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa In Effigie w zamku Betliar na Słowacji potrwa do 30 września. Szczegóły na stronie: www.muzeumbetliar.sk.



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Rzābiec

8 IX 1944 r.

Od wojny i okupacji minęły już trzy pokolenia, ale ówczesna walka polityczna (przybierająca czasami postać walk zbrojnych) trwa nadal w postaci walki politycznej i ideologicznej. Przykładem może być rozgromienie bandy AL Tadeusza Grochała „Tadka Białego”, współdziałającej z nią sowieckiej grupy NKGB „Szturm” oraz świeżo wcielonych w szeregi AL bandytów z SS-Wachmannschaften i Ostlegionen, którzy do ostatniej chwili pacyfikowali polską ludność cywilną na Kielecczyźnie. To byli jeńcy sowieccy, którzy przeszli na stronę niemiecką i stali się ich formacjami policyjnymi.

Przez kilkadziesiąt lat ich likwidacja przez oddziały Brygady Świętokrzyskiej NSZ była koronnym dowodem „zbrodni” popełnianych przez tę zniechwaloną przez komunę formację.

Wszystko zaczęło się od ujęcia przez komunistów patrolu zaopatrzeniowego Brygady. Jeńcy przechodzili odpowiednie „przesłuchanie” (było to według ich dokumentów „energiczne, krótkie śledztwo”; po latach jeden z przesłuchujących AL-owców napisał, że „zatrzymana ósemka była traktowana szlachetnie”) i mieli być zamordowani. Kopali nawet dla nich doły. Jeden z nich zdołał zbiec i zawiadomić o wszystkim swych towarzyszy broni.

Zdecydowane uderzenie oddziałów BŚ rozbiło w puch zgrupowanie komunistyczne. Wszyscy Sowietci w służbie AL zostali ujęci i z oczywistych powodów mieli być zlikwidowani – nie podlegali żadnej ochronie, którą zapewniała konwencja genewska, bo nie byli żołnierzami regularnych jednostek wroga, czyli Niemców. AL-owcy, po przejściu eks-Sowietów na ich stronę, nie dali im broni do ręki, traktując ich nadal jako bandytów, a w nocy trzymali ich pod strażą, bo się ich zwyczajnie bali. W szeregach kolaborantów wybuchł bunt i 67 z nich zostało zastrzelonych. Zginęło jednak przy tym trzech żołnierzy NSZ, a trzech zostało ciężko rannych.

Po wojnie komunści zrobili z tego wydarzenia zupełnie inną historię. Aby jakoś uzasadnić klęskę, twierdzili, że ramię w ramię z NSZ-owcami walczyło... 2 tys. Niemców. A Sowietów w służbie niemieckiej, którzy zostali przeciągnięci na stronę AL, określano jako... sojuszników. Taka wersja obowiązywała przez cały okres PRL i nawet teraz wraca co chwila w ramach walki z dawną nieistniejącą formacją NSZ. A banda „Tadka Białego” stała się mitem: „Oddział ten stoczył kilkaset walk z Niemcami i kilka walk z oddziałami NSZ i AK. Zginęło kilka tysięcy Niemców na skutek dzielnie bijących się gwardzistów”. ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Minaret

na Podolu

W dawnej stolicy Podola do dziś można odnaleźć pozostałości trzech wieków władzy Rzeczypospolitej, których nie zatarli Rosjanie, Sowietci ani Ukraińcy. Przy ulicy Tatarskiej zachowała się katedra pw. św. Piotra i Pawła – ufundowana na początku XVI stulecia i rozbudowana w następnych dziesięcioleciach. Turcy po opanowaniu Kamieńca dobudowali minaret, a świątynię zamienili w meczet. Na mocy pokoju w Karłowicach (symboliczne klucze do miasta przekazano stronie polskiej 12 września 1699 r.) miasto wróciło do Polski, ale zgodnie z warunkami układu minaret został zachowany. To chyba jedyny przypadek na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej, gdzie świątyni katolickiej towarzyszy budowla charakterystyczna dla świata islamu. Sprowadzono jednak z Gdańska miedzianą figurę Matki Boskiej, którą umieszczono na szczycie. I pomimo wszelkich zmian politycznych i światopoglądowych pozostało tak do dzisiaj.

To niejedyna pozostałość po blisko trzech dekadach rządów tureckich w Kamieńcu Podolskim. W kościele dominikańskim można znaleźć mimbar, turecką kazielnicę sprowadzoną kiedyś specjalnie ze Stambułu, którego pozostanie Turcy także zagwarantowali sobie w traktacie karłowickim.

W czasach ZSRs w budynku katedry mieściło się

muzeum ateizmu, a katolicy odzyskali świątynię w 1990 r. i od tego czasu stała się najważniejszym kościołem Podola. Ponownie jest siedzibą biskupa, miejscem, gdzie okoliczni Polacy dają świadectwo wiary i przywiązania do tradycji. Po upływie 200 lat od opanowania Podola przez Rosjan (na mocy drugiego rozbioru), po kilkudziesięciu latach krwawych rządów komunistów, w okolicach Kamieńca nadal żyją potomkowie polskiej szlachty. To niezwykle przypadek, polskie wsie przetrwały do dzisiaj – to miejsca, gdzie polskość i katolicyzm oznaczają to samo.

Na szczyt minaretu prowadzą 123 stopnie, a z wysokości 37 metrów rozciąga się wspaniała panorama miasta i twierdzy. Od kilku lat z ruin i zaniechania paulini odbudowują pobliski kościół dominikański, którego początki sięgają 1370 r. Latem można spotkać tutaj grupy studentów z Polski wspierających zakonników i pomagających w pracach. Przetrwały również: kościół Trynitarzy, Franciszkanów, Ratusz Polski, kilka polskich kamienic – budowle powstałe na pograniczu różnych kultur i religii. Kamieniec to polskie Kresy w najlepszym wydaniu, konglomerat różnych tradycji, miejsce magiczne dla Polaków, Ormian i Ukraińców. I można mieć tylko nadzieję, że to piękne miasto nie ucierpi podczas obecnej wojny. ©©

Wołodimir Zełenski ma w kraju opozycję, która nie waha się krytykować jego polityki nawet podczas wojny FOT. PRESIDENT.GOV.UA

Jak duże poparcie ma na Ukrainie Zełenski



Maciej Pieczyński

Zełenski spacyfikował oligarchów, ocenzurował telewizję i sprawił, że opozycja boi się wyborów, bo w warunkach konkurencji nie ma szans ich wygrać. Wciąż lideruje w sondażach. Jednak gdy tylko zakończy się wojna, czeka go czas politycznych rozliczeń za liczne błędy i zaniedbania

Zgodnie z kalendarzem Ukraińcy powinni tej jesieni wybierać parlament, natomiast w marcu przyszłego roku – prezydenta. I tak by było, gdyby nie inwazja rosyjska. Zgodnie z obowiązują-

jącym prawem w czasie obowiązywania stanu wojennego nie można organizować wyborów. Zabrania tego ustawa z 2015 r. Zdaniem wielu komentatorów byłoby to również niezgodne z konstytucją, której

z kolei podczas wojny nowelizować ani zmieniać nie można.

Ponadto ustawa zasadnicza nie zakazuje wprost organizacji wyborów w obecnych warunkach. Taki zakaz wynika tylko pośrednio z jej treści. „W przypadku zakończenia kadencji Rady Najwyższej w okresie obowiązywania stanu wojennego lub stanu nadzwyczajnego kadencja ta jest wydłużana aż do pierwszego posiedzenia Rady, wybranej po zniesieniu stanu wojennego lub nadzwyczajnego” – głosi konstytucja. Natomiast jeśli chodzi o wybory prezydenckie, to nawet takiego zawołowanego zakazu brak.

Ruslan Stefanczuk pod koniec lipca stwierdził, że konstytucja nie zabrania organizacji wyborów podczas wojny. A jednak ta wypowiedź przewodniczącego Rady Najwyższej wywołała nad Dnieprem spore oburzenie. W mediach niekoniecznie sprzyjających władzy pojawiały się głosy krytyki nie tylko ze strony polityków opozycyjnych, lecz także prawników.

Trudno się również dziwić przeciwnikom obecnej władzy, że nie podchodzą entuzjastycznie do pomysłu przeprowadzenia wyborów w obecnej sytuacji. Nawet gdyby były one legalne, z pewnością nie byłyby uczciwe. W warunkach inwazji rosyjskiej działa naturalnie „efekt flagi” – w obliczu zagrożenia społeczeństwo skupia się wokół obecnej władzy, bo to ona ma wszelkie narzędzia, aby zapewnić bezpieczeństwo. Przede wszystkim jednak nieuczciwość wyścigu – czy to po mandaty parlamentarne, czy to po fotel prezydenta – polega na nierównym dostępie do mediów.

Ekipa Zełenskiego w zasadzie zmonopolizowała przekaz telewizyjny. Największe stacje, w ramach tzw. Telemaratonu, w systemie zmianowym po kilka godzin dziennie nadają te same, patriotyczne, a także prorządowe treści. W programach informacyjnych i publicystycznych nie ma co prawda ostrej krytyki opozycji. Można jednak powiedzieć, że Telemaraton stał się tubą propagandową obecnej władzy.

W kwietniu 2022 r. zostały wyłączone trzy kanały, z których dwa należą do Petra Poroszenki, trzeci zaś do polityka Solidarności Europejskiej, czyli partii Poroszenki. Można je oglądać wyłącznie w Internecie.

W sieci w sposób nieskrępowany funkcjonuje przekaz opozycyjny. Największe portale udzielają swoich łamów politykom i publicystom związanym z Poroszenką i innymi przeciwnikami Zełenskiego. Przy czym krytyka władzy wciąż jeszcze nie jest tak ostra i nieprzejednana jak przed wybuchem wojny. Po 24 lutego 2022 r. scena polityczna i medialna nad Dnieprem zjednoczyła się ponad podziałami. Początkowo, pomimo cenzury w telewizji czy takich złośliwości, jak utrudnianie wyjazdu Poroszence na posiedzenie Zgromadzenia Parlamentarnego NATO w Wilnie, opozycja krytykowała raczej pojedyncze działania władzy – i to nie samego prezydenta, ale

konkretnych jego ludzi. To się zaczęło zmieniać, w miarę jak sytuacja na froncie się stabilizowała, a zagrożenie utratą niepodległości malało. Również Zełenski stawał się obiektem coraz bardziej zdecydowanych pretensji.

PROBLEMY WŁADZY

Lista zarzutów do obecnej ekipy rządzącej jest długa. Warto wymienić kilka poważniejszych. Zwłaszcza że przez długi czas nie trafiały one do polskiej opinii publicznej zdominowanej fałszywym przekonaniem, iż jakkolwiek krytyka Zełenskiego jest działaniem na rękę Moskwy. Otóż przeciwnie – na Ukrainie pomimo wojny, w ograniczonym przez cenzurę zakresie – ale jednak – działa zdrowa, demokratyczna debata publiczna, a jej uczestnicy uderzają w rządzących z pozycji patriotycznych, nie zaś prorosyjskich.

Przede wszystkim zarzuca się „sługom narodu”, że nie przygotowali się należycie do wojny. Zełenski ignorował amerykańskie ostrzeżenia przed inwazją. Nie ogłosił na czas ani mobilizacji, ani ewakuacji (jak tłumaczył, nie chciał siać paniki). Armia nie była należycie uzbrojona, o czym świadczy to, że permanentnie potrzebuje wsparcia sprzętowego ze strony zachodnich sojuszników. Szybko i łatwo został poddany obwód chersoński. Z jednej strony nie był przygotowany do obrony. Z drugiej strony wpływ na to miały masowe zdrady w SBU, której szefa zresztą – swojego wieloletniego przyjaciela – prezydent musiał się pozbyć. Osobną kwestią jest tradycyna już na Ukrainie szalejąca korupcja, nad którą rządzący próbują z różnym skutkiem zapanaować.

W ostatnich miesiącach podważana jest nawet skuteczność Zełenskiego w relacjach z Zachodem. Brak zaproszenia do NATO stał się dla Poroszenki pretekstem do uderzenia w politycznego rywala, choć w tym wypadku trudno było o lepszy rezultat, a zawód spowodowany był głównie tym, że niepotrzebnie rozbudowano nadmierne oczekiwania co do szczytu w Wilnie. Nie budzi kontrowersji spór z Polską o zboże – tutaj opozycja mówi jednym głosem z Zełenskim, domagając się za pośrednictwem Brukseli i Berlina zdyscyplinowania Warszawy.

W ostatnim czasie na Ukrainie zapadły dwie bardzo głośne politycznie

decyzje. Po pierwsze – dymisja Ołeksija Reznikowa ze stanowiska ministra obrony. Po drugie – aresztowanie oligarchy Ihora Kołomojskiego. Reznikow jest bardzo popularny na Zachodzie. Nic dziwnego – to jedna z najbardziej znanych twarzy ukraińskiego oporu w wojnie z Rosją. Twarz wiecznie uśmiechniętego, sympatycznego polityka, sprawnego na polu dyplomacji, który jednak nad Dnieprem już dawno stracił popularność. I to wcale nie dlatego, że pomimo hucznych zapowiedzi spektakularnej kontrofensywy ukraińska armia niemalże stoi w miejscu. Reznikow stał się personifikacją korupcji i nieudolności władzy. W styczniu okazało się, że ministerstwo obrony kupowało żywność po zawyżonych cenach. Symbolem stały się jajka, za które resort miał zapłacić trzy razy więcej niż w sklepie na przedmieściach Kijowa. Zastępca Reznikowa pożegnał się ze stanowiskiem, ale sam Reznikow utrzymał posadę. Najprawdopodobniej jednak już wtedy jego dymisja była kwestią czasu. Sprawa wyszła na jaw przed ważnymi rozmowami, które Reznikow miał prowadzić z Amerykanami, a poza tym nie było wówczas kim go zastąpić.

Kolejną aferę ujawnił latem dziennikarz „Ukraińskiej Prawdy” Mychajło Tkacz. Według jego ustaleń MO kupiło mundury letnie zamiast zimowych – i to znów po zawyżonej cenie. Reznikow, jak zwykle zresztą, ostro zareagował na ten „atak medialny”. Zaproponował Tkaczowi zakład: jeśli okaże się, że mundury są rzeczywiście letnie, to złoży dymisję – w przeciwnym wypadku dziennikarz odejdzie z zawodu. Tkacz zakładu nie przyjął. Ponadto właścicielem firmy, od której ministerstwo kupiło mundury, jest kuzyn parlamentarzysty Sługi Narodu, który z kolei ma powiązania z byłym dyrektorem zakładów Motor Sicz, oskarżonym o zdradę stanu. Ta afery przechylała szalę i Reznikow został odwołany.

Czeka go jednak raczej miękkie ładowanie. Prawdopodobnie zostanie ambasadorem w Wielkiej Brytanii, gdzie przydadzą się jego dobre kontakty z Zachodem. Warto przy tym podkreślić, że nawet najwięksi przeciwnicy obecnej władzy nie zarzucali Reznikowowi, że sam jest zamieszany w korupcję (na to dowodów brak). Zarzucano mu raczej nieudolność. Nie był w stanie zapanować nad

■ własnym resortem i zwalczyć korupcję. Ponadto dymisja była możliwa również dlatego, że wreszcie znalazł się wartościowy następca. Nawet opozycja chwali nominację Rustema Umierowa. Jako Tatar krymski i działacz tej mniejszości ma dobre kontakty w Turcji i krajach arabskich, a ponadto jest żywym dowodem na wieloetniczność (czyli nowoczesność tak ważną dla Zachodu) Ukrainy. Dał się poznać jako sprawny negocjator i menedżer. Pod jego kierownictwem zajmujący się prywatyzacją Fundusz Mienia Państwowego zanotował rekordowe zyski. Przede wszystkim Umierow nie był nigdy zamieszany w żadną aferę korupcyjną, a to na Ukrainie rzadkość.

NACISKI ZACHODU

Z kolei aresztowanie Kołomojskiego przynosi Zełenskiemu kilka korzyści. Po pierwsze, prezydent po raz kolejny udowadnia, że wyemancypował się spod wpływu swojego dawnego patrona politycznego. Po drugie, realizuje (choć w sposób powierzchowny i populistyczny) swój flagowy postulat walki z oligarchią, którą zresztą i tak mocno osłabiła wojna (nie

Zdaniem części komentatorów nieprzypadkowo właśnie teraz Reznikow stracił stołek, a Kołomojski trafił za kratki. Zełenski chce pokazać zachodnim sojusznikom, że zwalcza korupcję, i w związku z tym wynegocjować zwiększenie wsparcia dla Kijowa. Ponadto obie te decyzje są również adresowane na rynek wewnętrzny. Ukraińcy też muszą widzieć, że ich władza radzi sobie z oligarchami i skorumpowanymi urzędnikami.

KTO WYGRA WYBORY?

Bardzo możliwe, że tej jesieni nie odbędą się wybory parlamentarne na Ukrainie. Stan wojenny jest permanentnie przedłużany również głosami opozycji. Pomimo niezadowolonych rządów obecnej ekipy jej przeciwnicy boją się stanąć do wyścigu. Według opublikowanego na początku lipca sondażu wybory wygrałby Sługa Narodu, zdobywając 51,4 proc. głosów. Solidarność Europejska mogłaby liczyć na niewiele ponad 14-procentowy wynik. 3,3 proc. zdobyłaby Bačkiwyszczyna Julii Tymoszenko, 4,1 proc. zaś nacjonalistyczna Swoboda. Sondaż pokazuje też siłę nowych graczy. Na drugim miejscu,

założona przez wojskowych – pod egidą Walerija Załużnego, Ołeksandra Syrskiego czy pułku „Azow”. O ile oczywiście przed końcem wojny armia nie straci autorytetu wskutek niepowodzeń na froncie.

Zachód otwarcie naciska na Kijów, aby pomimo wojny przeprowadzić wybory i udowodnić, że nad Dnieprem wciąż panuje demokracja. Zełenski w odpowiedzi postawił warunek: wybory mają zostać sfinansowane przez zachodnich partnerów Ukrainy. Nie tylko opozycja, lecz także sam prezydent nie podchodzą entuzjastycznie do organizacji głosowania. Trudno sobie wyobrazić głosowanie pod bombami. Obóz władzy głośno rozważa wybory internetowe, co jednak budzi obawy o fałszerstwa.

Zełenski wciąż pozostaje zdecydowanie najpopularniejszym politykiem w kraju. W opublikowanym 10 sierpnia sondażu uzyskał 51 proc. głosów, Poroszenko – jedynie 7 proc. Lider opozycji jest mniej popularny niż jego własna partia. Po 2 proc. otrzymali Serhij Prytuła oraz były doradca szefa biura prezydenta Ołeksij Arestowycz. Drugie miejsce zajął wirtualny kandydat. Gdyby w wyborach wystartował Walerij Załużny, zyskałby 18 proc. głosów. Po wojnie ukraińską scenę polityczną czekają zatem mocne przetasowania. Obecnie funkcjonujące partie mogą zostać wyparte przez ugrupowania założone przez byłych wojskowych i wolontariuszy.

Zełenski już zapowiedział, że jeśli wybory prezydenckie odbędą się w czasie wojny, to on w nich wystartuje, ponieważ nie chce „zostawiać swojego kraju w potrzebie”. Warto przypomnieć, że w 2019 r. obiecał, iż nie będzie się ubiegać o kolejną kadencję. W tej chwili byłby faworytem wyścigu. Opozycyjna dziennikarka Maryna Danyluk-Jarmołajenko, komentując deklarację Zełenskiego, ironizowała, że półtora roku po wybuchu wojny Ukraińcom przestaje wystarczać, iż ich prezydent bohaterstwo nie uciekł z kraju w pierwszych dniach inwazji. Gdy tylko umilkną działa, gdy zostanie zniesiony stan wojenny, zjednoczenie ponad podziałami przestanie być priorytetem, a na Ukrainie wróci normalna, nieskrępowana niczym debata publiczna, Zełenski będzie musiał wytłumaczyć się z licznych zaniedbań i zaniechań swojej ekipy. © Wszelkie prawa zastrzeżone

Wołodymyr Zełenski zapowiedział, że jeśli wybory prezydenckie na Ukrainie odbędą się w czasie wojny, to on w nich wystartuje, ponieważ nie chce „zostawiać swojego kraju w potrzebie”.

Warto przypomnieć, że w 2019 r. obiecał, iż nie będzie się ubiegać o kolejną kadencję

tylko zniszczenia wojenne czy pogorszenie warunków biznesu, lecz także nacjonalizacja części firm). Po trzecie, Kołomojski ani nie wyjechał za granicę, ani nie wspiera wysiłków wojennych państwa, więc jest łatwym i wdzięcznym medialnie celem.

To swoją drogą też może być odebrane jako pełzająca korupcja polityczna. Władza daje bowiem jasno do zrozumienia, że będzie ściagać akurat tych oligarchów, którzy nie dają jej pieniędzy (inna sprawa, że na słuszny cel). Ci, którzy finansują wojnę, mogą na razie spać spokojnie.

Po czwarte, Kołomojski jest objęty amerykańskimi sankcjami w związku z zarzutami korupcyjnymi. Na koniec września planowana jest wizyta Zełenskiego w Stanach Zjednoczonych.

z wynikiem 18,1 proc., znalazłaby się Partia Polityczna 24 sierpnia, założona przez popularnego wolontariusza Serhija Prytułę. W przyszłości to właśnie on mógłby skutecznie rzucić wyzwanie Zełenskiemu. Podobnie jak urzędujący prezydent ma za sobą karierę w show-biznesie. Był prezydentem telewizyjnym, aktorem, komikiem. W 2019 r. wstąpił do partii Głos, z której dwa lata później odszedł. Krytykował Zełenskiego za niedostateczne starania o integrację z UE i NATO. Własne ugrupowanie założył w ubiegłym roku. Po wybuchu pełnowymiarowej wojny przestał krytykować urzędującego prezydenta i zajął się organizacją zbiórek na wyposażenie dla armii. Badania pokazują, że duże szanse w polityce miałyby również partia

**DOBRZE SKONSTRUOWANE KŁAMSTWO JEST
W DUŻEJ MIERZE ZBUDOWANE Z FAKTÓW*
NIE ZAŚMIECAJ SOBIE GŁOWY.**



WŁĄCZ PRAWDĘ O 19:00.



DZISIAJ

GŁÓWNE WYDANIE INFORMACJI

Od 1 września główne wydanie serwisu informacyjnego
Telewizji Republika „DZISIAJ” zmienia godzinę emisji na 19:00.



Zapraszają: **Piotr Kieraga, Jacek Sobala i Magdalena Bałkowiec**



RepublikaTV



@RepublikaTV



Telewizja Republika



@RepublikaTV

*cytat amerykańskiej pisarki Lionel Shriver, laureatki prestiżowej nagrody Orange Prize.



Z Wernerem Weberem, farmerem z RPA, politykiem afrykanerskiej partii Freedom Front Plus, działaczem na rzecz poprawy bezpieczeństwa farmerskich rodzin rozmawia Piotr Włoczyk



PIOTR WŁOCZYK: „Zabij Bura!” – za sprawą pieśni o tym tytule znów głośno jest o białych farmerach z Afryki Południowej. Pański rodak Elon Musk napisał na swej platformie, że czarni politycy, którzy tak śpiewają, „otwarcie nawołują do przeprowadzenia ludobójstwa na białych w RPA”. A jak pan reaguje na tę pieśń?

WERNER WEBER: To jasne wezwanie do zabijania ludzi takich jak ja – południowoafrykańskich farmerów, dzięki którym w RPA głód jest pojęciem nieznanym. Radykałowie, którzy śpiewają tę pieśń, zwracają się głównie do ludzi słabo wykształconych, dla których te słowa są bardzo jednoznaczne – biały człowiek to wróg, więc trzeba go zabić. Takich rzeczy

Nie wyrzucą nas z domu



Brutalne zamieszki na ulicach Kapsztadu, sierpień 2023 r.

FOT. BRENTON GEACH/GALLO IMAGES/GETTY IMAGES

lat wzniesia nienawiść do białych Południowoafrykańczyków i chce zabrać ziemię ludziom takim jak pan. Mimo to „The New York Times” w dużym artykule wyjaśniał niedawno swoim czytelnikom, że „Zabij Bura!” nie należy brać dosłownie, że to tylko antyapartheidowa pieśń, która stanowi część politycznego „folkloru” w RPA...

Trudno mi to na poważnie komentować. Zachęcam do zapoznania się z tekstem tej pieśni. To pełne jadu wezwanie do zabijania białych. I już mamy tego efekty. Odkąd Malema zaśpiewał te słowa i ten temat znów stał się gorący, zanotowaliśmy gwałtowny wzrost ataków na białych farmerów, szczególnie w prowincji, w której żyję – Mpumalanda w północnej części kraju. To nie jest przypadek. Radykał napędza innych radykałów, którzy chwytają za broń i biorą na celownik nas i nasze rodziny. Trzeba przy tym rozumieć, że ataki na farmerów są bardzo nietypowe.

W jakim sensie?

W czasie tych napaści zazwyczaj mało co ginie. W wielu przypadkach nie ma wręcz żadnych strat, jeżeli chodzi o wartościowe przedmioty. Z drugiej jednak strony ataki są niezwykle brutalne. Katowanie, wiązanie i przypalanie to norma. Zdarza się też wlewanie do gardeł wrzącej wody. Dlaczego tak się dzieje, skoro w 90 proc. przypadków sprawca i ofiara się nie znają? Jeżeli popatrzymy na inne kategorie napaści w RPA, to nie widzimy takiej brutalności. Oczywiście jest więc, że sprawcy działają z nienawistnych pobudek. Tak wygląda „plon” ziaren rzucanych przez radykałów pokroju Juliusa Malemy.

Co roku w setkach ataków na farmy mordowanych jest ok. 100 białych farmerów i członków ich rodzin. A przecież w RPA żyje zaledwie 30 tys. białych farmerów.

Każdy chyba rozumie, jak bardzo niebezpiecznym krajem jest Afryka Południowa i z jak wielkim zagrożeniem wiąże się praca tutejszych policjantów. Tymczasem statystyki jasno pokazują, że zawód farmera jest bardziej niebezpieczny niż praca w policji!

Jeżeli chodzi o ataki na farmy, to jest pan nie tylko teoretykiem...

Dwadzieścia lat temu stanąłem na czele kampanii społecznej, której celem

było zwrócenie uwagi władz na ataki na farmy. Ten problem stał się palący wraz z upadkiem apartheidu. W 2002 r. zebraliśmy ponad 400 tys. podpisów pod petycją, w której wzywaliśmy rząd do poprawy bezpieczeństwa na prowincji. Dzień po przekazaniu władzom petycji sam padłem ofiarą takiego ataku! Napastnicy wiedzieli, że w niedzielę jeżdżę z rodziną do kościoła. Podjeżdżam z żoną i dziećmi pod nasz dom i ze zdumieniem widzę, że w naszą stronę pędzi... mój pick-up!

Bandyci jechali prosto na nas i strzelali z karabinów, które wyciągnęli z mojego sejfku. Na szczęście nie najlepiej sobie z nimi radzili i w nasze auto trafiły jedynie rykoszety. Udało nam się uciec. Sprawą od razu zajęli się dziennikarze, ale ich relacja była mocno zastanawiająca. Lokalna telewizja poinformowała wprawdzie o „włamaniu” na moją farmę, ale reporterzy ani słowem nie zająknęli się o strzelaninie! Proszę się nie dziwić, że dziś uważam tamten atak za zemstę za to, że byłem twarzą tamtej petycji.

W związku z tym, że farmerzy niespecjalnie mogą liczyć na policję, stworzyliście ciekawy system samoobrony. Jak to wygląda w praktyce?

Mieszkamy na prowincji, często na odludziu. Pierwszą linią obrony musimy być my sami i nasze rodziny. Od małego wiemy, jak obchodzić się z bronią... Druga linia obrony to sąsiedzi. Policja jest dopiero na trzecim miejscu. Niektórzy policjanci wykazują się zrozumieniem i pomagają nam, ale nie brak też takich, którzy nie za bardzo się przejmują atakami na farmerów. Dlatego sami musimy organizować patrole, cały czas jesteśmy ze sobą w kontakcie radiowym, mamy specjalne „guziki bezpieczeństwa”.

Po wszczęciu alarmu każdy farmer w okolicy łapie za karabin, wskakuje do pick-upa i pędzi do sąsiada. Tak też było w przypadku ataku na moją farmę. Bardzo szybko zjechali się sąsiedzi. Bandyci wiedzą o tym i jeżeli cokolwiek ma ich powstrzymać przed kolejnym napadem, to jest to myśl, że szybko mogą stanąć oko w oko z takim „rojem pszczoł”, który nie będzie się z nimi patyczkował. Sam zresztą też byłem kilka razy taką „pszczołą”, kiedy w mojej okolicy dochodziło do ataków na farmy. Niestety, nie zawsze uda się zdążyć z pomocą na czas,

nie wolno bagatelizować. W Rwandzie ludobójstwo zaczęło się od tego, że radykałowie z Hutu zaczęli nazywać Tutsi „karaluchami”. Musimy robić wszystko, by nagłaśniać i piętnować takie nienawistne ataki na białych, dlatego jesteśmy bardzo wdzięczni Elonowi Muskowi, że zwraca uwagę na nasze problemy. Zresztą on doskonale rozumie, co się dzieje w naszym kraju, bo przecież dorastał w RPA.

Tym razem o zabijaniu Burów zaśpiewał podczas wielkiego wiecu politycznego Julius Malema, przywódca skrajnie lewicowego Ruchu Bojowników o Wolność Gospodarczą. Malema od

niekiedy też atak jest na tyle dobrze przygotowany, że farmerskie rodziny nie mają możliwości wezwania pomocy...

Wydawałoby się, że skoro zawód południowoafrykańskiego farmera jest bardziej niebezpieczny od pracy policjanta, to powinno to mieć odbicie w emigracji z RPA. Jak pod tym kątem wyglądają statystyki emigracyjne?

Pyta pan, czy wielu z nas ucieka z kraju? Nie, to są jednostkowe sytuacje. Farmerzy to patrioci. Tu jest nasz dom. Nasza skóra ma wprawdzie biały kolor, ale Afryka to nasz dom.

Ja sam kilka razy odwiedziłem Europę, kontynent, z którego przybyli moi przodkowie, ale nie zamierzam opuszczać mojego domu. Afryka to mój dom. Kocham tę ziemię! Farmerzy są w szczególnej sytuacji, bo żyjemy z ziemi, mamy do niej szczególnie sentyment. Od końca apartheidu milion białych wyjechało z RPA, ale ja zostaję. Nie mam innego domu. Będziemy walczyli o nasze życie w tym kraju. To nie znaczy oczywiście, że będziemy chwycić za broń. Nie – przemoc do niczego dobrego nie prowadzi. Będziemy walczyć, czyli będziemy nieustannie przekonywać do naszego prawa do życia w Afryce Południowej.

Nikt nas nie wyrzuci z naszego domu, bo nie mamy innego... Musimy być twardzi, walczyć o poprawę bezpieczeństwa i uświadamiać resztę społeczeństwa i polityków, jak ważną rolę odgrywamy.

Przykład sąsiedniego Zimbabwe, z którego Robert Mugabe wyrzucił białych farmerów, doprowadzając tamtejsze rolnictwo do katastrofy, musi chyba działać trzeźwo jako na polityków rządzącego RPA Afrykańskiego Kongresu Narodowego (ANC)?

Tak, nieszczęście Zimbabwe unaocznili wszystkim, co się dzieje, gdy radykalowie u władzy wyrzucają z kraju białych farmerów, a wraz z nimi ginie rolnicze know-how. W RPA nie brakuje radykałów, którzy chcieliby odebrać nam ziemię i rozdać ją swoim wyborcom, ale jednak polityków obecnie rządzących powstrzymuje przed takimi krokami obawa przed powtórzeniem tragedii Zimbabwe, które z kraju zasobnego w żywność stało się pariasem niezdolnym do samodzielnego wykarmienia swojej ludności.

Nigdy nie zapomnę słów, które wypowiedział były król sąsiedniego Suazi, obecnie znanego jako Eswatini. Sobhuza II

Większość czarnej ludności RPA nie jest radykalna. Problemem jest 10 proc. wierzących antybiałej propagandzie

(1899–1982) powiedział, że biali farmerzy są jak pszczoły, które przynoszą miód dla jego ludu. Wszelkiej maści radykalowie powinni wziąć sobie te słowa do serca. Wyrzucenie nas byłoby dla RPA katastrofą. Wszędzie to podkreślam, bo przyszłość mojego kraju bardzo leży mi na sercu.

Ataki na was to problem rasowy?

I tak, i nie. Większość czarnej ludności RPA nie jest radykalna. Problemem jest te 10 proc., które wierzy antybiałej propagandzie. 90 proc. czarnych żyje w normalnych stosunkach z białymi. I my też chcemy żyć z naszymi czarnymi rodakami w zgodzie. Ja sam gospodaruję na prawie 5 tys. ha i zatrudniam ponad 50 czarnych pracowników. Te rodziny pracują dla mojej rodziny od ponad 100 lat! Jesteśmy jak jedna wielka rodzina, nie ma między nami żadnych większych problemów, żyjemy ze sobą zgodnie. Kolor skóry nie jest problemem. Problemem jest radykalizm.

Kwestia redystrybucji ziemi to jeden z najbardziej palących problemów społecznych w pańskim kraju. Biali, którzy stanowią 9 proc. populacji RPA, wciąż są właścicielami ok. dwóch trzecich gruntów ornych należących do osób fizycznych. Wasi przeciwnicy, naciskając na ANC, twierdzą, że ta ziemia została ukradzioną czarnej ludności...

Trzymajmy się historii. Czarni nie są ludnością rdzenną w RPA. Przybyli oni tu z okolic Wielkich Jezior Afrykańskich. Czarna ludność przekroczyła rzekę Limpopo (granica między RPA a Zimbabwe) dopiero na przełomie wieków XIV i XV. W tamtym czasie żyli tu Buszmeni i Hotentoci (obecnie nazywani Khoikhoi) i to oni są ludnością rdzenną RPA. Czy czarni przybysze przejęli ziemię na zasadzie negocjacji czy wzięli ją sobie siłą? Jeżeli więc ktoś zarzuca białym z RPA kradzież ziemi, to jak nazwać to, co zrobiła setki lat temu czarna ludność? Podkreślmy raz jeszcze – oni również, tak samo jak przybysze z Europy, nie byli ludnością rdzenną południowej Afryki!

Biali osadnicy, idąc od Kapsztadu w głąb lądu, negocjowali z rdzennymi mieszkańcami i przejmowali od nich ziemię. Biali po raz pierwszy zetknęli się z czarnymi nad rzeką Fish w Prowincji Przylądkowej Wschodniej. Miało to miejsce w 1770 r. Cały ten wielki obszar na południe od rzeki Fish był wówczas kompletnie niezamieszany przez czarną ludność! Z kolei w latach 20. XIX w. doszło do strasznych wojen pomiędzy czarnymi plemionami. To była rzeź. W jej wyniku zginęło i uciekło mnóstwo czarnych. Większość dzisiejszych terenów RPA była właściwie pusta, prawie nikt tam nie mieszkał. Opowieść o tym, że biali ukradli czarnym ziemię, pełna jest mitów.

W zeszłym roku z więzienia wyszedł w końcu Janusz Waluś, bez wątpienia najsłynniejszy w RPA Polak...

... wszyscy słyszeliśmy o tym, że Waluś został tuż przed zwolnieniem raniony nożem. To zupełnie niebywała historia! Nasz rząd robił wszystko, żeby go nie zwolnić warunkowo. To było wbrew przepisom regulującym takie zwolnienia. Waluś dużo wcześniej powinien był wyjść z więzienia.

Dlaczego to tak wyglądało?

Myślę, że to była zwykła zemsta. Władze RPA chciały pokazać białym, że mogą wszystko.

Chris Hani, zabity przez Walusia w 1993 r. przywódca Południowoafrykańskiej Partii Komunistycznej, do dziś jest dla wielu czarnych radykałów bohaterem walki z białymi. To był niezwykle popularny polityk, wielu wieszczło nawet, że będzie następcą Nelsona Mandeli. Potrafi pan sobie wyobrazić RPA pod rządami Haniego?

To byłby dramat dla mojego kraju! Nelson Mandela był umiarkowanym politykiem, a Hani był wściekłym radykałem. Nie mam żadnych wątpliwości, że Hani zamieniłby Afrykę Południową w rzeźnię i stertę ruin.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Werner Weber jest południowoafrykańskim farmerem, politykiem partii Freedom Front Plus broniącej interesów białej ludności RPA, a także członkiem parlamentu prowincji Mpumalanga.

Pobierz i czytaj za darmo dodatek w wersji elektronicznej!
tygodnik.dorzeczy.pl/dodatki-specjalne



WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPOONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI



Fundusz
Sprawiedliwości

funduszsprawiedliwosci.gov.pl



Ministerstwo
Sprawiedliwości

eprasa.pl 1547176ac7



ZBANKRUTOWALI PRZEZ RÓWNOUPRAWNIENIE

Drugie co do wielkości miasto w Wielkiej Brytanii – Birmingham – ogłosiło, że jest bankrutem. Rada miasta poinformowała, że w związku z brakiem pieniędzy wstrzymane zostają wszystkie wydatki, oprócz najbardziej podstawowych (na ochronę zdrowia, oświatę i opiekę społeczną). Komunikat władz wskazuje, że pieniędzy zabrakło miastu przez konieczność spłaty 650–760 mln funtów z tytułu roszczeń o równość wynagrodzeń wniesionych przez pracownice urzędu.

FOT. SHAHID A. KHAN/ADBE STOCK

SOWIETYZACJA BIAŁORUSKICH SZKÓŁ

Nowy rok szkolny na Białorusi zaczął się zapowiedzią ministra edukacji Andreja Lwańca dotyczącą zmiany podręczników dla dzieci. Do 2027 r. szkolne książki mają być „maksymalnie zbliżone do tego wzoru czy też ideału, który był w czasach radzieckich”. Resort zamknął ostatnie dwie działające w tym kraju polskie szkoły (zbudowane za polskie pieniądze). Języka polskiego można się na Białorusi uczyć już tylko prywatnie.

PRZEDZIURAWILI WIELKI MUR

Dwóch pracowników budowlanych postanowiło sobie skrócić drogę do pracy. W tym celu wywiercili w Wielkim Murze Chińskim dziurę, przez którą mogła przejechać koparka. 38-latek i 55-latką zostali zatrzymani i czekają na postępowanie. Tłumaczyli się, że w murze już wcześniej istniała dziura, a oni tylko ją poszerzyli. Policja opisała ich działania jako „nieodwracalne szkody”.

ZABÓJCZYNI MĘŻA ŻĄDA PIENIĘDZY Z POLISY

Trzydziestodwuletnia Koreanka Lee Eun-hae została w ubiegłym roku aresztowana i wraz ze swym kochankiem oskarżona o zamordowanie jej męża. Zbrodnię mieli zaplanować i wykonać w 2019 r. nieopodal Seulu. Odsiadująca dożywocie za zbrodnię kobieta dwa lata temu złożyła pozew, w którym domagała się od firmy Orange Life Insurance wypłaty 800 mln wonów (blisko 2,5 mln zł) z polisy zawartej na życie męża. Sąd właśnie odrzucił ten pozew.

BOMBA BIOLOGICZNA

W USA samolot lecący z Atlanty do Barcelony musiał lądować awaryjnie ze względu na... biegunkę jednego z pasażerów. Pilot stwierdził, że sytuacja stwarzała „zagrożenie biologiczne” na pokładzie. W Atlantcie samolot został gruntownie oczyszczony i poleciał w rejs do Hiszpanii następnego dnia. © Łukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Morderstwo (nie)doskonałe

Takiego finału eutanazji nie spodziewałoby się nawet najmądrzejszo aktywistyczne, członcze czy rzecznicze prasowe nawet najbardziej postępowego ugrupowania wzywającego do powszechnego dostępu do morderstw na życzenie.

W liberalnej Belgii (tak, to właśnie ten kraj, którego politycy tak chętnie pouczają Polaków na temat praworządności) piewcy postępu napotkali nietypowy problem. Otóż lekarz i dwie pielęgniarki przeprowadzali akurat zabieg pozbawienia życia 36-letniej Alexiny (w jej własnym mieszkaniu), gdy nagle

okazało się, że kobiecie podano zbyt mało stosownych środków i uparcie nie chciała opuścić tego świata.

W postępowej Belgii byłby to nie lada skandal, puścić żywcem kogoś, kto poprosił o eutanazję. Działający w majestacie nowoczesnego prawa mordercy postanowili więc nieco improwizować i zabójstwo na życzenie zakończyli w znany od wieków sposób: udusili swą pacjentkę poduszką.

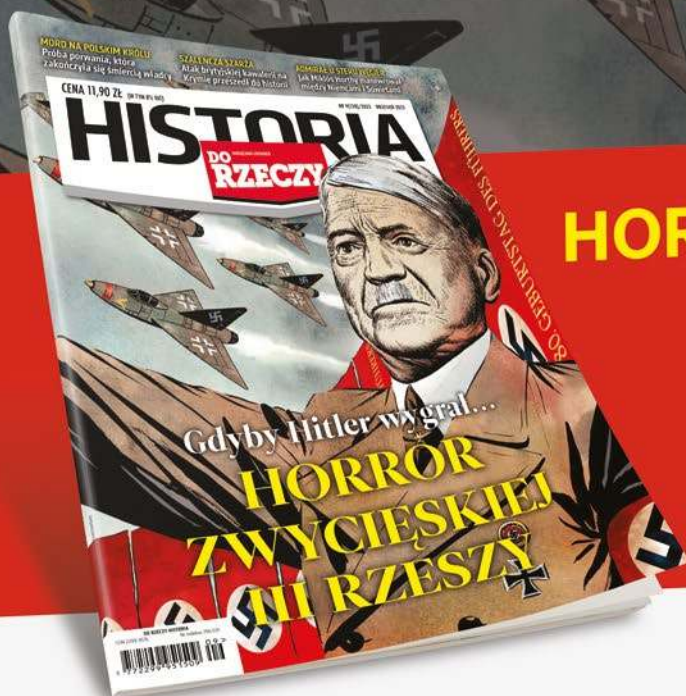
Lekarz sądowy stwierdził uduszenie, więc w sumie operacja się udała. Zespół „lekarzy” nie dostał jednak premii za innowacyjność działania (zresztą nic w tym

dziwnego, bo taki styl likwidowania pacjentów mógł jednak wydawać się za bardzo konserwatywny). Dwa dni przed pogrzebem ofiary sprawą zainteresowała się więc belgijska prokuratura, a za nią – rok po „zabiegu” – światowe media.

Jak słusznie się państwo domyślają, mało kogo z postępowych odbiorców bulwersował sam fakt zabijania na żądanie, a jedynie staroświecka metoda, którą użył zespół „lekarzy”. Niewykluczone więc, że turystyka eutanazyjna do Belgii chwilowo uciurpi. W Holandii tzw. medycy wydają się jednak pewniejsi.

HISTORIA
DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



HORROR ZWYCIĘSKIEJ III RZESZY

Niemieckie plany
wobec Europy
po wygranej wojnie

Największy błąd Hitlera – Dlaczego Niemcy zdecydowali się na krok, który doprowadził do ich upadku?

Plan Germania – W 1950 r. przebudowana stolica Niemiec miała stać się tak wspaniała jak starożytny Rzym

Mord na królu Polski – Próba porwania Przemysła II zakończyła się zabójstwem monarchy

Zbrodnia 00486 – Ten rozkaz oznaczał koszmar dla żon i dzieci mężczyzn skazanych w wielkim terrorze

Szałeńcza szarża Brytyjczyków – Absurdalny atak kawalerii pod Bałakławą przeszedł do historii

Admirał u steru Węgier – Jak Miklós Horthy manewrował między Niemcami i Sowietami

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

Konsument na kulturowej wojnie



Jakub Wozinski

Liczne w ostatnim czasie bojkoty konsumenckie pokazują, że promując szkodliwe ideologie, korporacje muszą się liczyć z poważnymi finansowymi turbulencjami



Cechą charakterystyczną światowej gospodarki ostatnich lat jest bez wątpienia wszechobecna dążność do przedkładania potrzeb rynków finansowych ponad zadowolenie klientów. Do tej pory mogło się wydawać, że o ile dana firma nie posiada zagwarantowanego prawnie monopolu czy jakiegokolwiek innego przywileju, o tyle w jej interesie leży uczynienie wszystkiego, aby przypadła się konsumentom. Bez tego czynnika nie sposób bowiem osiągnąć najbardziej pożądanego w świecie biznesu efektu, czyli ponadnormatywnej gratyfikacji finansowej.

NAJWAŻNIEJSZY Z KLIENTÓW

W XXI w. dotychczasowe standardy uległy jednak radykalnej zmianie i dziś coraz częściej na plan pierwszy wychodzi nowy rodzaj klientów. Rzecz jasna, każda korporacja musi wciąż sprzedawać usługi i produkty dla szerokiego grona odbiorców, lecz nieproporcjonalnie wielki wpływ na kondycję przedsiębiorstw uzyskali hurtowi nabywcy korporacyjnych papierów wartościowych. Czysto teoretycznie giełdy istnieją już od kilku wieków, więc mogłoby się wydawać, że firmy niemal od zawsze musiały w sposób szczególny zabiegać o opinię inwestorów. Nasze czasy różnią się jednak od wszystkiego, czego doświadczyliśmy do tej pory bezprecedensowymi ogromnymi ilościami pustego pieniądza obiegającego w gospodarce.

Owe nadwyżki pieniądza są tak wielkie, że dziś nawet 25 proc. firm w USA i 20 proc. w Europie to tzw. spółki zombie, których koszty obsługi długu są wyższe niż osiągnięte zyski. Skoro więc rynki finansowe są w stanie utrzymać przy życiu stale rosnącą armię „zombie”, a także wywindować na sam szczyt firmy, które od początku swego istnienia nie wypracowały niemal żadnego zysku (jak choćby Uber), to jaki szczególny sens miałoby staranie się o odczucia klientów? Tym bardziej że w czasach szalejącego wzrostu cen aktywów finansowych (nie mylić z inflacją konsumencką, z którą mierzymy się w ostatnich miesiącach) możliwy do uzyskania zwrot z kapitału z normalnej biznesowej działalności tworzy coraz mniej zachęt do realnego konkurowania na rynku. O wiele bardziej opłacalne stało się kokietowanie najpo-

tężniejszych inwestorów zaangażowaniem ideologicznym.

Z tego właśnie powodu największe firmy świata zachodniego stały się w ostatnich latach politrukami neomarksiowskiej rewolucji i pseudonauki zrównoważonego rozwoju. Jeszcze do niedawna świat reklamy przypominał rewię, w której wszyscy prześcigali się w jaskrawości i wyrazistości przekazu; obecnie przestrzeń reklamowa służy coraz częściej natrętnemu virtue signalingowi. Wielki biznes coraz rzadziej chce pozyskać aprobatę konsumentów, dostosowując się do jego potrzeb, a zamiast tego wchodzi w rolę edukatora, moralizatora i natrętnego ideologa. Każda dostępna korporacjom forma komunikacji staje się tym samym przestrzenią do wymuszania akceptacji dla ruchu LGBT, walki z rzekomo antropogenicznym globalnym ociepleniem czy też promocja wymierzonego w białych rasizmu.

PRZEWROT KAEPERNICKAŃSKI

Przez pewien czas mogło się wydawać, że praktycznie nic nie jest w stanie zakłócić triumfalnego pochodu „przebudzonych” idei przez korporacyjny świat. Po śmierci George’a a Floyda szczytem ambicji każdej liczącej się firmy było zatrudnienie dyrektora do spraw różnorodności (CDO – chief diversity officer), którego głównym zadaniem było dbanie o to, aby zatrudniano odpowiednią liczbę lesbijek i osób o płynnej tożsamości płciowej, a czarnoskórzy i Latynosi piastowali wystarczająco dużą liczbę kierowniczych stanowisk i dostawali wyższe uposażenia. W telewizyjnych reklamach miejsca smukłych kobiet i dobrze zbudowanych mężczyzn zaczęły coraz częściej zajmować postaci nieatrakcyjne i płciowo nieokreślone, a natężenie tęczowej propagandy przekroczyło wszelkie dopuszczalne przez zdrowy rozsądek normy.

Na szczęście ostatnie miesiące pokazały, że ogromny ideologiczny napór ze strony świata korporacyjnego może być powstrzymany, a przynajmniej na wybranych odcinkach. Jeszcze w 2018 r. firma Nike podpisała kontrakt reklamowy z futbolistą Colinem Kaepernickem, który wobec mizernych rezultatów osiągniętych na niwie sportowej postanowił zabłysnąć w świecie polityki. W ramach



FOR: ANDRZEJ STOLIK

■ sprzeciwu wobec, jego zdaniem, wszechobecnego rasizmu wymyślił gest klękania w czasie sportowych zawodów, a brak chęci zatrudnienia go przez wszystkie kluby ligi NFL zinterpretował jako ostateczny dowód rasowego ucisku.

Początkowo decyzja firmy Nike nie spotkała się z zadowoleniem klientów, z których część paliła nawet publicznie buty z charakterystycznym logo. Brak entuzjazmu był widoczny nawet wśród inwestorów, lecz w ciągu roku kurs akcji producenta sportowych akcesoriów wzrósł aż o 60 proc. Ryzykowny ruch z Kaepernickem stanowił rodzaj przełomu, który zachęcił inne marki do coraz bardziej odważnych kampanii. Nie dziwi więc to, że Nike był jedną z firm, która jakiś czas temu podpisała kolejny kontrowersyjny kontrakt reklamowy, tym razem z transseksualnym aktystą Dylanem Mulvaneyem.

Prowadzący popularne w serwisach społecznościowych konto dokumentujące rzekomą zmianę płci 26-latek stał się twarzą reklamującą nową serię legginsów i sportowych staników, lecz jego wątpliwe wdzięki nie spotkały się z uznaniem klientów. O ile w przypadku Kaepernicka akcja udała się w znacznej mierze, dlatego że futbolista był rzeczywistym, a nie udawanym atletą, który sportowe braki nadrabiał politycznym aktywizmem, o tyle w przypadku Mulvaneya zarówno urok, jak i jakkolwiek pojęta atletyczna sylwetka były od początku co najmniej dyskusyjne.

Transgenderowa agitacja przysporzyła firmie Nike nie lada kłopotów. W pierwszym półroczu 2023 r. sprzedaż spadła o 6 proc., a wycena akcji jest wciąż o ok. jedną trzecią niższa niż przed wybuchem reklamowej afery.

PIWNE FIASKO

Dużo wyższą cenę za promowanie tego samego transinfluencera zapłacił jednak producent piwa, firma Anheuser Busch. Wystarczyło, że wizerunek podającego się za kobietę aktywistę pojawił się na puszcze najpopularniejszego od wielu lat amerykańskiego piwa Bud Light, a konsumenci odpowiedzieli masowym bojkotem. Co ciekawe, niemałą część bojkotujących stanowiły osoby o lewicowych poglądach, których poirytowało to, że w reakcji na społeczne oburzenie firma pospieszenie wycofała się ze promocji, twierdząc jedynie, że

wysłała Mulvaneyowi okolicznościowy zestaw puszek. Najważniejszy skutek konsumenckiego bojkotu jest taki, że obecnie najbardziej popularnym piwem w Stanach Zjednoczonych jest już Modelo Especial. W ciągu miesiąca sprzedaż Bud Light spadła o 25 proc., a prognozowane zyski firmy będą w tym roku niższe o 26 proc.

Przypadek piwa reklamowanego przez Dylana Mulvaneya stanowił swego rodzaju przełom, który zapoczątkował kolejne udane bojkoty konsumenckie. Można wręcz pokusić się o tezę, że nachalna promocja transbrydoty doprowadziła w końcu do tego, iż amerykańskie społeczeństwo zaczęło wreszcie stawiać zaczątki konsumenckiej tamy dla zideologizowanego przekazu. Wkrótce potem z bojkotem musiała zmierzyć się firma odzieżowa Kohl's. Z okazji „mie-

Amerykanie doznali szoku, gdy ujrzeli tęczę na śpioszkach i kaftanikach dla niemowląt w jednej z sieci sprzedaży

siąca dumy” kierownictwo firmy zaczęło sprzedawać specjalną linię tęczowych produktów, w tym stroje kąpielowe dla dzieci w wieku od 3 do 24 miesięcy, okraszone wizerunkiem homopary. Oprócz tego klienci mogli nabyć dziecięce bluzy z przeróżnymi hasłami promowanymi przez homo- i transspołeczność.

Obecność tęczy na ubraniach i firmowych logotypach nie jest oczywiste w dzisiejszym świecie niczym szokującym, lecz ujrzawszy ją na śpioszkach i kaftanikach dla niemowląt sprzedawanych w jednej z największych sieci, Amerykanie doznali mimo wszystko szoku. Przez pewien czas firma Kohl's była na ustach całego kraju, podobnie jak inna wielka sieć detaliczna – Target. Z okazji miesiąca tęcowej pychy również zdecydowała się na zaferowanie swoim klientom niezliczonej liczby LGBT-akcesoriów, w tym strojów kąpielowych dla „transkobiet”. Oburzenie klientów było naprawdę spore. Sprzedaż w placówkach stacjonarnych i przez Internet momentalnie spadła o 5,4 proc. W ciągu trzech tygodni od wybuchu skandalu wartość

rynkowa Targetu spadła aż o 15 mld dol., a w chwili pisania tego tekstu nadal nie została odbudowana.

Rozochoceni skutecznością swoich decyzji konsumenci dali także odczuć swoje niezadowolenie fastfoodowej sieci Chick-Fil-A. Oprócz tego, że firma zatrudniła dyrektora do spraw różnorodności, na jaw wyszło, że hojnie wspierała tęczową społeczność. Przez lata Chick-Fil-A była znana jako firma, która nie wstydziła się umieścić pracy na chwałę Boga wśród oficjalnych celów swojego istnienia i zasad funkcjonowania. I właśnie fakt dokonanej zdrady wyznawanych niegdyś wartości sprawił, że konsumenci poczuili tak ogromny zawód.

Osobny przykład gasnącej cierpliwości wobec ekscesów korporacyjnego światka stanowi reakcja publiczności na politykę koncernu Disney. Nieustanne skandale związane z promocją ideologii LGBT w filmach przeznaczonych dla dzieci sprawiły, że obecnie kurs akcji firmy jest najniższy od dziewięciu lat. Od czasu, gdy w marcu ubiegłego roku Walt Disney Company zaangażowało się w polityczną kampanię przeciwko uchwalonemu przez gubernatora Florydy prawu zabraniającemu organizowania w szkołach dyskusji o orientacji seksualnej i płciowej tożsamości, firma znajduje się wręcz na równi pochyłej.

Utraciwszy w ciągu roku 4 mln subskrybentów, medialny potentat został zmuszony do podniesienia stawek, co postawiło go w niekorzystnej sytuacji względem konkurencji. Wartość rynkowa spółki spadła zaś o 56 proc., lecz – o dziwo – rada nadzorcza przedłużyła niedawno prezesowi Robertowi Igerowi kadencję aż do 2026 r. Disney musiał zwolnić w tym roku ok. 5,5 tys. pracowników, a ostatnich kilka wyprodukowanych przez niego filmowych niewypałów przyniosło łącznie 900 mln dol. strat. Nie ma się jednak temu co dziwić, skoro nawet krasnoludki w najnowszej wersji „Królowny Śnieżki” zachowują kanony płciowej różnorodności, a ich ulubienica ma wyraźnie latynoską cerę.

GET WOKE, GO BROKE

Głośne w ostatnim czasie bojkoty przyczyniły się ostatnio do znacznego wzrostu popularności hasła „get woke, go broke”, które sugeruje, że sprzyjanie polityce skrajnej politycznej poprawności może skończyć się bankructwem.

Niestety, działanie tego mechanizmu, nawet pomimo znacznych strat poniesionych przez wielki biznes, jest wciąż mocno ograniczone. W praktyce żadna „przebudzona” firma nie zapłaciła jeszcze za swoją postawę najwyższej ceny, jaką byłoby zniknięcie z rynku. Całe zjawisko może napawać optymizmem jedynie o tyle, że konsumenci zdołali wreszcie oszacować swoje siły i wiedzą już, jak silny cios mogą zadać korporacyjnej hydrze.

Równie wielką wartość ma także to, że bojkoty pojawiły się akurat w momencie, w którym skrajnie lewicowe wzmożenie świata wielkiego biznesu zaczyna wreszcie słabnąć. Wszystko wskazuje na to, że wokeistowska gorączka stanowiła swego rodzaju apogeum okresu szczytowej ekspansji kredytowej, który jest już za nami. Wielkie korporacje masowo zwalniają dyrektorów do spraw różnorodności i nie zatrudniają nowych. Największe firmy inwestycyjne świata, takie jak BlackRock czy Vanguard, nie dają już swoim klientom tak radykalnych wytycznych jak jeszcze choćby rok temu.

Na razie żadna z „przebudzonych” firm nie zapłaciła jeszcze za swą postawę zniknięciem z rynku

Najbardziej optymistycznym czynnikiem w całej układance jest natomiast coraz większa w korporacyjnym świecie obawa, że wkrótce w sądach mogą się pojawić dosłownie tysiące pozwów przeciwko największym firmom oskarżanym o dyskryminację. Podstawę do tego daje niedawne orzeczenie Sądu Najwyższego uznające tzw. akcję afirmatywną za niezgodną z konstytucją. Na jej podstawie przez wiele lat uczelnie przyjmowały studentów na podstawie kryteriów rasowych.

Opierając się na tym wyroku, grupa amerykańskich stanowych prokuratorów generalnych wystosowała niedawno list zaadresowany wprost do przedsiębiorstw z listy Fortune 100, przypominający im, że stosowanie zasad uchylonych właśnie

w świecie akademickim może wiązać się z licznymi komplikacjami natury prawnej. Prezesi Google, Facebooka, Apple, Goldman Sachs czy też PayPal zostali tym samym poinformowani o tym, że już wkrótce w swoich sprawozdaniach finansowych będą musieli uwzględnić nową pozycję w postaci odszkodowań w procesach o stosowanie radykalnie rasistowskich kryteriów w ramach swojej polityki kadrowej. Efekty tego mogą być nawet bardziej bolesne niż jakiegokolwiek bojkoty konsumenckie.

Zakładając jednak nawet, że rasizm w środowisku korporacyjnym zostałby tym samym bardzo ograniczony, nie zmienia to wciąż tego, że wiele z najnowszych zdobyczy lewackiej rewolucji kulturowej zdomowi się w świecie reklamy, biznesu oraz kultury już na trwałe. Aby je trwale wykorzystać, potrzebny byłby bojkot ze strony najważniejszych klientów tego świata, czyli elit finansowo-korporacyjnych. Te jednak nie przejawiają jak dotąd najmniejszej chęci do tego, aby zmodyfikować zestaw promowanych przez siebie idei.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



Pobyty w terminach:
11.09 – 01.10 oraz
01.10 – 26.11.2023

LECZENIE I REHABILITACJA

POBYTY: Zdrowy Kręgosłup, Neurologiczny, Dla Aktywnych, Biodra, Kolana, Bark, Antystresowy, Kardiologiczny z diagnostyką.

Szwedzki stół, 15 albo 20 zabiegów na 7 dni pobytu

- Wstęp na basen z atrakcjami do 90 minut dziennie
- Diagnostyka fizjoterapeutyczna i laboratoryjna
- Specjalistyczne konsultacje lekarskie
- *możliwa dopłata



Turnus Świąteczny 20.12 - 27.12.2023, Turnus Noworoczny 27.12.2023 - 03.01.2024



tel. 54 416 70 00

www.podtezniami.pl

Klinika Uzdrowiskowa „Pod Tężniami” im. Jana Pawła II, ul. Warzełniana 7, 87-720 Ciechocinek



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

„Równi” i „równiejsi”

Jak wiadomo, w Polsce nie brakuje „równych” i „równiejszych”. Ba, ich obecność wydaje się jedną z naszych narodowych specjalności. Na domiar złego ci „równiejsi” stają się coraz „równiejsi”, czyli coraz drożsi w utrzymaniu dla „równych”.

W tym roku tylko na emerytury rolników, funkcjonariuszy i pracowników służb mundurowych oraz sędziów i prokuratorów polscy podatnicy wydadzą o niemal 10 proc. więcej niż przed rokiem, czyli aż ponad 45 mld zł. To tyle, ile ci sami podatnicy wydają co roku na „500+”, i dwa razy więcej, niż wydają na 13. i 14. „emerytury”.

Albowiem „równiejsi” albo w ogóle nie składają się na swoje świadczenia, albo składają się na nie w żenująco małym stopniu, przerzucając obowiązek utrzymywania ich na starość na „równych”, czyli na nas, rodaków podatników. Rolnicy płacą za siebie zaledwie kilka procent wartości swoich emerytur, a sędziowie i prokuratorzy nie płacą ani grosza. Wszelako to i tak przecież dalece nie wszystkie wyjątki w polskim, jakże niepowszechnym systemie emerytalnym, bo kolejne miliardy co roku kosztują „równych”, czyli podatników, przywileje emerytalne np. górników. A teraz, jak się okazuje, niewykluczone, że „równi” będą się musieli „jeszcze bardziej” składać na ekstremalnie wysokie emerytury europosłów i urzędników UE, takich jak

Donald Tusk (jego „brukselska” emerytura wynosi ponad 20 tys. zł), bo zajmująca się ich wypłatą instytucja znalazła się na skraju bankructwa.

A przecież – co gorsza – różnica między „równymi” a „równiejszymi” polega w Polsce nie tylko na tym, że „równi” płacą za „równiejszych”, lecz także na tym, że „równiejsi” zazwyczaj mają dużo wyższe emerytury od „równych”, a ponadto nierzadko są uprawnieni, by zaczynać je pobierać znacznie wcześniej od „równych”, a więc także przez znacznie dłuższą część swego życia na nich żerować.

Żeby pobudzić wyobraźnię, dodam, że średnia emerytura górnicza wynosi ponad 4,5 tys. zł, a średnia emerytura „równych” – ledwie 3,3 tys. zł. O wysokości średnich emerytur sędziów i prokuratorów czy policjantów, którzy mogą na nią przejść już po przepracowaniu 25 lat, nie będę się rozpisywał, żeby nie denerwować fundujących im te cymesy „równych”; dość wspomnieć, że każdy sędzia ma prawo do emerytury w wysokości aż 75 proc. sumy aktualnego wynagrodzenia zasadniczego i dodatku za wysługę lat, pobieranych na ostatnio zajmowanym stanowisku.

Czyli – dla „równiejszych” – żyć, nie umierać. A dla „równych”? Cóż – płakać i płacić. I marzyć o obiecany im kiedyś przez polityków jedynym, powszechnym systemie emerytalnym dla wszystkich – równych wobec prawa, także emerytalnego – Polaków. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Rujnująca łapówka wyborcza

Henry Hazlitt, wybitny amerykański wolnorynkowy publicysta ekonomiczny, autor znakomitej „Ekonomii w jednej lekcji” (1946), zajął się w latach 70. inflacją, pisząc książkę „Inflacja: wróg publiczny nr 1” („Inflation Crisis, and How To Resolve It”, 1976, w Polsce wydana przez nieocenione FijoRR Publishing). Hazlitt pisze w niej: „To, co nazywają inflacją, jest, zawsze i wszędzie, wywołane głównie poprzez wzrost podaży pieniądza i kredytu. Prawdę mówiąc, inflacja jest właśnie wzrostem podaży pieniądza i wielkości kredytu”. Potoczne

na którym opiera się urok inflacji, polega na pomyleniu »pieniądza« z bogactwem”. „W długim okresie [inflacja] przynosi rujnujące skutki całemu społeczeństwu”. „Podobnie jak każdy inny podatek inflacja wpływa na postępowanie firm i jednostek. Zniechęca do roztrąpności i zapobiegliwości. Zachęca do rozrzutności, hazardu, wszelkiego rodzaju lekkomyślnego marnotrawstwa”.

I wreszcie być może najistotniejszy w naszej sytuacji cytat: „W naszych czasach najbardziej uporczywie utrzymywana argumentacja na rzecz inflacji mówi, że »napędza ona koła przemysłu«, że ocali nas od nieodwracalnych strat powodowanych przez zastój i bezczynność, że doprowadzi do »pełnego zatrudnienia«. Argumentacja ta w swojej najprymitywniejszej postaci opiera się na odwiecznym pomieszaniu pieniądza z rzeczywistym bogactwem”.

Czy członkowie Rady Polityki Pieniężnej czytali Hazlitta? Wątpię. Ich nieodpowiedzialną decyzję o obniżeniu stóp procentowych aż o 75 punktów bazowych przy inflacji w sierpniu wynoszącej 10,1 proc. można zrozumieć tylko w kontekście wyborczym. Zapłacimy za nią wszyscy straszliwym, rujnującym podatkiem inflacyjnym. Ze wszystkich łapówek wyborczych ta jest prawdopodobnie najgorsza. ©©

**Za decyzję RPP
zapłacimy wszyscy
podatkiem
inflacyjnym**

dziś i powszechne określanie inflacją wzrostu cen zdaniem ekonomisty odwraca uwagę od jej głównej przyczyny, czyli właśnie wzrostu podaży pieniądza nieodpowiadającego wzrostowi ilości dóbr na rynku.

Hazlitt zajmował się inflacją również we wspomnianej „Ekonomii w jednej lekcji”. Oto kilka myśli z poświęconego jej rozdziału: „Najbardziej oczywisty, a przy tym najstarszy i najbardziej uporczywy błąd,

Już 18 września w „Do Rzeczy” dodatek



WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPOONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI



Fundusz
Sprawiedliwości

funduszsprawiedliwosci.gov.pl



Ministerstwo
Sprawiedliwości

eprasa.pl 1547176ac7

To było trochę jak odwiekanie egzekucji. W tym sezonie Iga Świątek kilka razy mogła już stracić numer 1 w rankingu WTA, ale wtedy nie wiodło się również próbującej sięgnąć po szczyt Białorusince. Ostatecznie turniej US Open okazał się tym, po którym Polka przestała być dominatorką w kobiecym tenisie.

Raszynianka odpadła w czwartej rundzie, nie dając sobie rady na korcie z Jeleną Ostapenko. Choć wygrała pierwszy set (6:3), to w dwóch kolejnych wyglądała na bezradną (6:3, 6:1).

Po 75 tygodniach bycia najlepszą na świecie Polka 10 września spadła na drugą pozycję. Jej liderowanie (od 4 kwietnia 2022 r.) było trzecim najdłuższym ciągłym byciem na szczycie w historii. Dłużej od naszej zawodniczki tytuł bez przerwy dzierżyły tylko Martina Hingis (80 tygodni) oraz Steffi Graf (186 tygodni).

Polka oczywiście ma szansę jeszcze wrócić na szczyt. I przesunąć się w górę w rankingu pod względem w ogóle posiadania najwyższej pozycji. Tę listę otwiera Graff z wynikiem 377 tygodni. Druga w historii jest Martina Navratilova (322), a trzecia Serena Williams (319).

Aby jednak wrócić na top, Iga Świątek i jej sztab muszą sobie odpowiedzieć na pytanie, dlaczego z niego spadła.

MONOTONIA DO PRZEŁAMANIA

W poprzednim sezonie każdy, kto spostrzegł pewne braki w grze polskiej gwiazdy, natychmiast był atakowany. Iga dominowała, zatem wszelkie dyskusje ucinął argument, że gra taki tenis, który przynosi wyniki. To już nieaktualne. W tym sezonie mankamenty jej stylu stawały się jeszcze bardziej wyraźne.

Iga nadal grała fantastycznie mocny, agresywny tenis, ale to już nie wystarczało. Rywalki – i ich trenerskie sztaby – zrozumiały już, że z Polką nie wolno grać długich, mocnych wymian z końca linii, że trzeba zmieniać tempo, grać skróty. Coraz częściej tę metodę zaczęły stosować.

– Oczywiście nie ma jednego powodu tego, że Polka traci pozycję liderki, to spłot kilku okoliczności – uważa Adam Romer, szef „Tenis Magazynu”. – Trzeba uznać, że poprzedni sezon był w jej wykonaniu nadzwyczajny i takie nie za często udaje się ponawiać. Oczywiście widać też, że jej przeciwniczki podciągnęły się w grze.

Detronizacja



Łukasz Zboralski

Iga Świątek przestała być numerem jeden kobiecego tenisa. Jej miejsce zajęła najlepsza w tym sezonie Aryna Sabalenka. Polka musi zdecydować się na zmiany. Jakie?



Iga Świątek przez 75 tygodni była numerem jeden w rankingu WTA

FOT. SARAH STIER/GETTY IMAGES

Dziewczyny odrobiły lekcję domową i są przygotowane do gry z Polką.

To, co było siłą raszynianki – mocne uderzenia z końca kortu – stało się teraz jej barierą, którą musi pokonać. Iga musi zacząć grać tenis o wiele bardziej urozmaicony, a tego nie próbowała. Nawet w świetnie wypracowanych wymianach, które wyciągały rywalki na skraj kortów, ciągnęła do upadłego mocne uderzenia, zamiast próbować skrótnów. Rzadko też pojawiała się przy siatce.

– Jest trochę tak, że Iga bazuje na paru elementach i jest to trochę jednostronne – potwierdza Romer. – Do tej pory wygrywała, więc nie było motywacji, by coś zmieniać. Po tym sezonie na pewno nadejdzie refleksja. Pytanie oczywiście, w jaki sposób Polka rozbuduje swoją grę. Bo że musi to zrobić, nie ma wątpliwości. Legendarny jest tu przykład Djokovicia, który w pewnym momencie zaczął serwować inaczej, bardziej efektywnie. U Igi takich elementów do rozbudowy jest kil-

ka. Na pewno to, o czym się powszechnie mówi, czyli to, że Tomasz Wiktorowski nie wyeliminował braku zmiany rytmu gry, mało grania slajsem. Teraz widać, że trzeba coś dołożyć.

Tu zła wiadomość dla kibiców – zmian u Igi nie będziemy na pewno obserwować szybko. Bo rzadko kiedy jest na nie czas u zawodowców będących w turniejowym ciągu. – Zmuszenie się do grania pewnych elementów tenisa to czasem kwestia przełamania się w głowie. Ktoś lubi grać szybko, a musi zacząć zwalniać grę i to będzie już kwestia charakterologiczna – mówi Maciej Tobała, trener tenisa z Nowej Iwicznej, wykładowca Akademii Trenerów Tenisa. – Pytanie, kiedy zawodnik jest w stanie to wprowadzić. Bo to jest też ogromne wyzwanie logistyczne. Gdy się jeździ z turnieju na turniej, czasu jest naprawdę mało. Z kolei w przerwach między turniejami trzeba znaleźć moment na regenerację i odpoczynek – tłumaczy. I dodaje: – Z pewnością jednak tenis wymaga nieustannego rozwoju. Gdy się chce być na topie, trzeba wciąż pracować nad poprawą. Tak robią najlepsi.

Jest jeszcze jedno pytanie: Czy Iga Świątek będzie dokonywać zmian z Tomaszem Wiktorowskim i swoją psycholog Darią Abramowicz? – Iga dużo mówiła o zmęczeniu fizycznym. Jednak to jest młoda dziewczyna. Gra dużo, ale w historii występów kobiet były zawodniczki grające o wiele częściej. To fizycznie nie jest ponad jej siły – ocenia Adam Romer. – Ja ostatnio miałem wrażenie, że jest bardziej zmęczona mentalnie niż fizycznie.

Etap, w którym Polka nie będzie już pod presją obrony fotela liderki rankingu, może pomóc w odprężeniu. Teraz Świątek będzie miała pewien luksus psychiczny, a ambicji na pewno jej nie zabraknie. Sama zresztą dała już temu wyraz we wpisie na Twitterze: „Przez ostatnie 1,5 roku miałam szanse obserwować i doświadczać na własnej skórze, jak dużo mówi się i pisze o »bronieniu« i »obrobie«: tytułów, pozycji w rankingu, punktów. Sama łapałam się na tym, że czasami zaczynam w ten sposób myśleć. Już nie muszę »bronić« – i to dobry moment, żeby o tym wspomnieć [...]. Zaczyna się sezon lub kolejny turniej, a wtedy zaczyna się też czas na zdobywanie, a nie obronę czegokolwiek. Czysta karta”.

– Nie wiem oczywiście, co będzie z jej sztabem trenerskim, ale patrząc na jej karierę, widzę, że do tej pory nie podejmowano tam pochopnych decyzji – komentuje szef „Tenis Magazynu”. – Z trenerem Piotrem Sierzputowskim Iga pracowała pięć i pół roku, wcześniej z Michałem Kaznowskim – ponad trzy lata. Rzadko więc w jej otoczeniu decydowano się na nerwowe ruchy. Aczkolwiek nie mam wątpliwości, że gdy Iga dojdzie do wniosku, iż z tym sztabem nie jest już się w stanie rozwijać, to go zmieni.

NIEKOCHANA ARYNA

Sabalenka, nowy numer 1 w świecie kobiecego tenisa, po zameldowaniu się w ćwierćfinale US Open z gracją stwierdziła, że królowanie w rankingu wolałaby przejąć własnoręcznie, czyli pokonując Polkę. – Było mi smutno, że Iga przegrała. Jestem jednak szczęśliwa, że udało mi się osiągnąć cel, na który tak długo i ciężko pracowałam – powiedziała Aryna Sabalenka w Nowym Jorku.

Urodzona 25 lat temu w Mińsku tenisistka o zawodowstwie zaczęła myśleć późno – dopiero gdy zaczęła grać w mniejszych turniejach jako 16-latką. Marzenie o byciu liderką zawdzięcza ojcu, który zmarł kilka lat temu. To on fetował każde jej zwycięstwo i miał stale mówić, że ma wszystko, aby osiągnąć tenisowy szczyt.

Sabalenka tak jak Świątek jest zawodniczką ofensywną, siłową, ale też zupełnie inną pod względem mentalnym.



Aryna Sabalenka to od 10 września najlepsza tenisistka wśród kobiet

FOT. AL BELLO/GETTY IMAGES

Nie ma psychologa w sztabie. „Kiedyś tak pracowałam, ale zdałam sobie sprawę, że nikt nie zna mnie lepiej niż ja sama i nikt inny niż ja nie może mi pomóc” – stwierdziła w wywiadzie dla „Vogue” udzielonym tuż po tym, jak okazało się, że za kilka dni przejmie pozycję liderki rankingu.

Białorusinka przyznaje otwarcie – co w dzisiejszych czasach jest już aktem odwagi – że lubi zjadać steki. I że relaksuje się czasem, wypijając parę shotów wódki albo tequili.

Jej droga na szczyt nie była łatwa. Już w ubiegłym sezonie miała apetyt na de-tronizację Polki, ale pokonywały ją własne demony – nie była w stanie utrzymać formy na wysokim poziomie.

Borykała się też z innymi problemami poza sportem. Dziennikarze stale wytykali jej to, że kiedyś podpisała polityczny list poparcia Aleksandra Łukaszenki, a nie potępiła jednoznacznie rosyjskiej napaści na Ukrainę. Wiele konferencji po turniejach kończyło się pytaniami o to, czy popiera wojnę. Sama dolewała oliwy do ognia, bo do pewnego momentu unikała jasnych odpowiedzi. Wydusiła to z siebie dopiero w kwietniu tego roku na konferencji turnieju w Stuttgarcie. – Gdybym mogła zatrzymać wojnę, zrobiłabym to – powiedziała. Dodała, że zdaje sobie sprawę z tego, że wiele osób nienawidzi jej tylko za to, że urodziła się na Białorusi. – Ja nie zrobiłam nic, zwłaszcza przeciwko Ukrainie – dodawała.

Łukaszenka tych deklaracji nie miał jej za złe. Miesiąc później – gdy wygrała z Igą Świątek w Madrycie – białoruski satrapa złożył jej oficjalne gratulacje. „Droga Aryno! Gratuluję kolejnego triumfu” – napisał. I dodał, że sportowy sukces przyszedł w przededniu białoruskiego Dnia Zwycięstwa.

Czy Sabalenka długo utrzyma się na topie? – Chyba nie zdominuje tenisa. Ona ustabilizowała swoją formę, ale wcale bym się nie zdziwił, gdyby jeszcze w tym roku doszło do kolejnej zmiany liderki rankingu WTA – mówi Adam Romer.

Jeszcze bardziej zaskakującą informację podał Artur Szostaczko, pierwszy trener Igi Świątek. W rozmowie z portalem Sportowy24.pl stwierdził, że Sabalenka poważnie rozważa macierzyństwo, więc po US Open może ogłosić zawieszenie kariery.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

AUDI RS3 LIMOUSINE PERFORMANCE EDITION

To nie jest jakiś tam hot hatch. To mocno podrasowany hot sedan, który potrafi poprawić humor kierowcy nawet po bardzo ciężkim tygodniu. I sprawia, że nawet najbardziej zrzędlowi sąsiedzi szybko znajdują powód, aby podejść do garażu, zagadać o pogodę i zupełnie przy okazji zadać serię prawdziwie męskich pytań o stojące na podjeździe auto...

Koniec już tego wprowadzenia, bo przecież państwo też chcą znać te odpowiedzi. Pięciodylindrowy silnik benzynowy 2.5 TFSI skrywa moc 407 KM. Maksymalny moment obrotowy wynosi 500 Nm. Przyspieszenie od zera do pierwszej setki: zaledwie 3,8 s. Prędkość maksymalna: 300 km/h (jest to więc zdecydowanie najszybszy seryjnie produkowany kompakt; zarówno BMW, jak i Audi do 300 brakuje niewiele, ale jednak brakuje). Napęd: no oczywiście, że na cztery koła (tak, tak, jak ktoś lubi, to da się tym driftować). Do tego automatyczna skrzynia biegów S-tronic, dzięki której auto bez trudu wykorzystuje swoją moc nawet na zatłoczonych autostradach. Inżynierowie zastosowali jeszcze jeden trick: podnieśli ciśnienie doładowania generowanego przez dużą turbosprężarkę do 1,6 bara, dzięki czemu moc i maksymalny moment obrotowy są dostępne przy nieco wyższych obrotach silnika (to właśnie dzięki temu ta kompaktowa rakietka potrafi tak szybko latać).



FOT. JAP

Bardzo fajne jest też to, że ten model nie prezentuje się jak typowy hot hatch, czyli nie wygląda wyłącznie jak zabawka dla dużych chłopców. W wersji Limousine nisko zawieszone auto z 19-calowymi felgami prezentuje się naprawdę rasowo, choć sprawne oko od razu wypatrzy, co z niego za gagatek. Audi RS3 Limousine Performance Edition poza znacznikiem RS3 ma jeszcze jedno ważne oznaczenie: „1 of 300”. Podkreśla ono to, że w tej wyjątkowej wersji wyprodukowano jedynie 300 egzemplarzy.

Również w kabinie wszystko przypomina o tym, że nie siedzimy w aucie dla członków kółka różańcowego. Kubelkowe fotele są wygodne i dobrze podtrzymują ciało przy dynamicznej jeździe. Bardzo przyjemna jest też mięsista, spłaszczona u dołu sportowa kierownica. Miejsca

z przodu jest dużo, na tylnej kanapie można zaś przewozić przypiętego pasami psa, dzieci lub tych dorosłych, którym nie przeszkadza ciągły kontakt głowy z podsufitką.

Ile pali? Takich pytań w świecie hot hatchy i hot sedanów w zasadzie nie wypada zadawać głośno. Owszem, przy spokojnej jeździe da się zejść ze średnią poniżej 9 l/100 km. Tylko po co? Spalanie Audi RS3 zależy bezpośrednio od tego, ile frajdy przeżyło się po drodze. Podczas testu średnio – bez oszczędzania pedału gazu na trasach szybkiego ruchu – było to mniej więcej 12,7 l/100 km.

Ile kosztuje taka zabawka? Cena modelu bazowego to 301,6 tys. zł. Model testowy, doposażony w najróżniejsze bajery, został już wyceniony na 376,2 tys. zł. ☺☺

HULAJNOGA ELEKTRYCZNA ACER ES SERIES 3

Nowoczesny wygląd, łatwość obsługi i niezły stosunek ceny do jakości – to największe zalety hulajnog elektrycznej dla początkujących firmy Acer.

Testowana hulajnoga wygląda nowocześnie. Ma czytelny i duży wyświetlacz LCD. A nawet kierunkowskazy, które poprawiają bezpieczeństwo użytkownika. Na pochwałę zasługuje również wygodny podest.

Silnik o stosunkowo niewielkiej mocy (250 W) pozwala rozpędzić się ważącej aż 16 kg hulajnodge do 20 km/h. Użytkownik ma do wyboru trzy tryby jazdy (ECO, standard i sport), które wyznaczają jednocześnie maksymalną prędkość, z którą będzie mogła się poruszać hulajnoga (6 km/h, 10 km/h lub 20 km/h). Po co w ogóle takie ograniczenia? W przypadku pojazdów elektrycznych, w tym hulajnóg, zasada jest prosta: im szybciej jeździmy, tym mniejszy będzie zasięg. Zaletą testowanego modelu jest płynny start, bez żadnego rwania czy szarpania.

Jeśli więc ktoś zdecydował o porzuceniu komunikacji miejskiej i do biura jeździ już tylko hulajnogą (nie tracąc czasu na korki i szukanie miejsca parkingowego), to takie tryby mogą okazać się bardzo przydatne (oczywiście również im lżejszy użytkownik, tym zasięg większy). Hulaj-

noga może być też dobrym uzupełnieniem transportu miejskiego. Można szybko dojechać na autobus/pociąg, a potem łatwo złożyć, aby zajmowała jak najmniej miejsca. Na rynku są dużo szybsze hulajnogi niż Acer ES Series 3, ale jazda powyżej 20 km/h w razie kolizji może nieść poważne konsekwencje. Zresztą zgodnie z przepisami hulajnogą można pędzić maksymalnie właśnie 20 km/h.

Wady? Maksymalny zasięg na jednym ładowaniu to 20–25 km. Szalu nie ma, choć taka wartość wielu użytkownikom powinna wystarczyć.

Akumulator o pojemności 7,5 Ah ładuje się ok. czterech godzin.

W codziennym użytkowaniu brakuje również nieco np. tempomatu, który ułatwia poruszanie się ze stałą prędkością. Trzeba również pamiętać, że koła 8,5-calowe (standardowe w przypadku wielu modeli hulajnóg elektrycznych różnych producentów) pozwalają na jazdę niemal wyłącznie po prostych chodnikach i ścieżkach rowerowych. Jazda np. po zdezelowanych płytach chodnikowych do przyjemności już nie należy.

Biorąc pod uwagę cenę testowanego modelu – i trzeba za niego zapłacić 1399 zł – warto rozważyć hulajnogę Acera przy poszukiwaniu elektrycznego pojazdu, który ma ułatwić dojazdy do pracy i osiedlowych sklepików. Ja sam wolałbym dołożyć kilkaset złotych do modelu o większym zasięgu (co najmniej 50–60 km). ☺☺



STRONĘ PRZYGOTOWAŁ JACEK PRZYBYLSKI

DO RZECZY TYGODNIK LIŚCICKIEGO

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Kutyszcze – jedenastu do jednego



JACEK KOMUDA

Położona ok. 6 km na północny wschód od Lubaru na Ukrainie osada Kutyszcze to kolejny pomnik husarskiej chwały. O świcie 26 września 1660 r. dwie chorągwie – Aleksandra Lubomirskiego, której przewodził porucznik Władysław Wilczkowski, i Stanisława Lubomirskiego pod dowództwem Stanisława Wyżyckiego – zaatakowały i rozniosły tutaj przeważającą liczebnie straż przednią armii moskiewsko-kozackiej. Ich szarża przeszła do historii jako jeden z niezwykłych wyczynów, ponieważ odbyła się przy ogromnej przewadze wroga, ocenianej na 1:10, a być może nawet 1:16.

Szarża była elementem zwycięskiej dla naszych wojsk kampanii 1660 r., kiedy Moskwa rzuciła na Rzeczpospolitą dwie ogromne armie z zamiarem podbicia Litwy i Korony. Jak zapowiadał dowodzący siłami uderzającymi na Ukrainę Wasyl Szeremietiew, jego wojska zamierzały rozłożyć się na leża zimowe dopiero pod Krakowem. Nie wiedział jednak, że do walki Rzeczpospolita skierowała znaczne siły – dywizje hetmanów: Stanisława Rewery Potockiego i Jerzego Sebastiana Lubomirskiego. Rozpoczął zatem w ciemno marsz na zachód, który zakończył się 14 września pod Lubarem, niespodziewanym

spotkaniem z armią koronną. Jak na wiek XVII, siły zaangażowane w tę kampanię były ogromne. Około 30 tys. żołnierzy polskich wspierało 15 tys. sojuszników Tatarów. Z kolei Szeremietiew dysponował nawet 20 tys. wojsk moskiewskich i kozakami Tymofieja Ciecziury liczącymi ok. 15 tys. ludzi. Na Ukrainie zbierała



FOT. DOMENA PUBLICZNA

się także armia Jurija Chmielnickiego, nowego hetmana zaporoskiego, który odnowił unię z Moskwą. Jej liczebność miała dochodzić nawet do 40 tys., co jest grubą przesadą. Do dziś zresztą trwają na ten temat spory wśród historyków. W porównaniu: 28 lat wcześniej, w bitwie pod Lutzen, gdzie zginął król Szwecji Gustaw Adolf, uczestniczyło 19 tys. wojsk protestanckich i 22 tys. katolickich, habsburskich. To pokazuje skalę zmagania.

14 września armie spotkały się pod Lubarem. Doszło do ciężkich walk, w których zwycięzcami okazali się Polacy. Szeremietiew założył ufortyfikowany obóz. Zwątpiwszy w możliwość zwycięstwa w polu, otoczony przez Tatarów i jazdę koronną, 26 września o świcie rozpoczął odwrót w szyku taborowym w stronę pobliskiego Cudnowa. Aby za wszelką cenę zatrzymać Moskali i Kozaków, wspomniane dwie chorągwie husarskie zaatakowały tylną straż przeciwnika. Było to właśnie w okolicach wspomnianej wioski, a wówczas uroczyska Kutyszcze, zapewne na północ od mostu, po którym dzisiejsza droga H03 przechodzi przez rzeczkę Werbkę, pomiędzy lasami.

Husarze zaszarżowali przeciwko moskiewskim rajtaram, których liczbę oceniać należy na ok. 600 koni. W pobliżu znajdowało się także co najmniej tysiąc kozaków zaporoskich, którzy jako piechota maszerowali z arkebuzami na tyłach taboru. Husarii było zaś, jak podaje

Radosław Sikora, ok. 140 koni, co daje już na wstępie przewagę dla Moskwy i Kozaków jak 11:1.

Jako pierwsza uderzyła chorągiew Wilczkowskiego, zmiatając jeden ze szwadronów moskiewskiej jazdy – przypomnijmy, szkolonej i uzbrojonej według zachodnich standardów. Rajtarzy zdołali otworzyć ogień, nie zadali jednak Polakom dużych strat – ranny został tylko syn podkomorzego lwowskiego. Chwilę później szarżowała druga rota husarska – Wyżyckiego. Impet uderzenia sprawił, że wroga rajtaria została rozbita, a uciekając, wpadła na kozacką piechotę. Ta zaś wystawiona na sztych szabel i koncerzy rozpierchła się. Piechota strzelcza bowiem pozbawiona osłony pikinierów, wózów taborowych albo fortyfikacji polowych ma niewielkie szanse na obronę przed rozszarżowaną konnicą. Mimo wszystko niektórzy Kozacy padali na ziemię, dźgali i cięli od dołu konie husarii. Część zaś chroniła się za ciałami poległych. Nieliczni uciekli do taboru, ukrywając się i dając opór zza linii wozów, które zatrzymały pęd jazdy. Większa część uciekła do pobliskiego lasu, gdzie pod osłoną drzew i chrustów stawili opór. Husaria nie próbowała zdobywać ich pozycji – teraz bowiem do walki włączyły się kolejne oddziały koronne – dragonia, piechota i chorągwie pancerne. Ostatecznie kozacy zaporoscy broniący tyłów taboru powstrzymali ich atak, ale zostali wyparci z lasu.

Rozbicie tylnej straży osłabiło morale wycofujących się wojsk moskiewskich. Wkrótce ich tabor został osaczony pod Cudnowem i bronił się do 4 listopada, kiedy Szeremietiew skapitulował i został wydany Ordyńcom. Kolejne 21 lat spędził w tatarskiej niewoli. ©



RYŚ MARI



ANNA POPEK Z D. CHRZUK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRZUK

SIOSTRY GOTUJĄ

Figi

We wrześniu króluje figa, czyli owoc figowca pospolitego. Historia uprawy figowców sięga IX w. p.n.e. – pojawiły się w starożytnej Grecji. Znajdowały się na liście towarów, których wywóz był bezwzględnie zabroniony. Powołano nawet do tego celu specjalny zawód sykofanta, czyli zawodowego donosiiciela. Byli to ludzie, którzy informowali władzę o nielegalnym wywozie fig z kraju, czyli o kradzieży fig. Za nielegalne ścięcie drzewa figowego groziła nawet kara śmierci. Z kolei w starożytnym Rzymie figa stała się symbolem życzenia komuś powodzenia.

Jadalne owoce rosną jedynie na drzewach, które zawierają kwiaty żeńskie, a na drzewach z kwiatostanem męskim rosną figi, które nie nadają się do spożycia, czyli tzw. figi kozie.

Figi mają wiele właściwości zdrowotnych, przede wszystkim są doskonałym źródłem wapnia – wspierają i utrzymują w zdrowiu nasze kości i zęby. Zawierają witaminę B6, potas, wapń i żelazo. Wykazują silne działanie przeciwnadciśnieniowe.

Spożywane na surowo mają jedynie 74 kalorie w 100 g, natomiast te same ususzone aż 250 kalorii w 100 g. Ich indeks glikemiczny wynosi IG 40. Jest to bardzo istotna informacja dla cukrzyków!

Figi pomagają również w profilaktyce chorób sercowo-naczyniowych i niedokrwistości, usprawniają pracę jelit, a co najważniejsze – łagodzą stres, bo zawierają, aż 68 g magnezu w 100 g owoców.

Możemy je wykorzystać do sałatek, do mięs pieczonych, dodać do kanapek, wysmienicie smakują grzanki z kozim serem, polane miodem i posypane tymiankiem. Stanowią dobry dodatek do owsianek i ciast.

ZAPIEKANY SER FETA Z FIGĄ I MIODEM

- 1 opakowanie sera feta (ważne, aby był to ser oryginalny)
- 4–5 świeżych fig
- 1 łyżka płynnego miodu
- kilka gałązek świeżego tymianku lub rozmarynu
- oliwa z oliwek
- bagietka lub dobry chleb, z którego możemy zrobić grzanki na patelni
- ząbek czosnku

Piekarnik nagrzewamy do 180 st. C, do naczynia żaroodpornego nasmarowanego oliwą wkładamy ser, pokrojone na ćwiartki figi, polewamy miodem i na wierzch układamy gałązki tymianku lub rozmarynu. Całość przykrywamy folią aluminiową lub pokrywą i pieczemy 15–20 min. W tym czasie na patelni grillowej rozgrzewamy odrobinę oliwy z oliwek, bagietkę lub chleb kroimy na kromki, nacieramy czosnkiem i grillujemy kilka minut.

Ser wyjmujemy z pieca, rozgniatamy widelcem i zajadamy z bagietką. ©©



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Refleksje (p) o śniadaniu



Klasę hotelu poznaję po stopniu rozcieńczenia soku pomarańczowego serwowanego na śniadanie. W podłych oberżach stosunek soku do wody ma się gdzieś mniej więcej jak 1 do 10. W trzech gwiazdkach bywa lepiej, w pięciogwiazdkowych sok w zasadzie powinien być świeżo wyciskany, jednak nie zawsze jest. Przy czym moje obserwacje, całkowicie osobiste (nie prowadziłam badań laboratoryjnych) nie odnoszą się do przybytków hotelowych jednego kraju. Jestem wyjadaczem hotelowym i nawet wiedząc, że hotel jest warunkiem sine qua non podróży, muszę przyznać, że współczuję gwiazdom muzycznym, które pół życia spędzają w hotelowych łóżkach. Nawet za celebryckie honorarium bym nie chciała.

Przyjęło się jakoś, że bez soku pomarańczowego nie można rozpocząć dnia. Można to zrozumieć, bo pomarańcze są tanie. Jednak ciekawe, bo dla Polaków era tego napoju rozpoczęła się stosunkowo niedawno – jeszcze w latach 90. uważano go za symbol zachodniego dobrobytu. Dziś z naszych seriali można wynioskować, że to nasz narodowy napój. Czy to rzeczywistość czy wyobraźnia scenografów, nie wiem. Pomidorki z cebulą, rzodkiewki i ogórek są bardziej zakorzenione w naszych przyzwyczajeniach, ale widocznie pomarańcze wydają się filmowcom

bardziej światowe. Żółty ser, wędlina oraz nasz skarb narodowy, który zasługuje na ochronę – biały ser – mam nadzieję nie zostaną wyparte przez kosmopolityczną fuzję. To stało się niestety już z chlebem, któremu zagraża tostowe pączkowanie świństwo. Mam również nadzieję, że pocziwa owsianka odzyska należną jej rangę. Fantastyczne płatki górskie kosztują 6 zł! Czy są w Polsce jeszcze dzieci, które jadają na śniadanie kaszkę manną lub lane kluseczki na mleku? Te tradycyjne, znienawidzone przez niektórych zupy mleczne popadły w całkowitą niełaskę na rzecz „nowocześniejszych”, farbowanych na kolorowo i nafaszerowanych poprawiaczami płatków. Zwyciężyły płaski słodki smak oraz ciekawość gadżeciku niespodzianki, który znajduje się w torebce.

Według moich osobistych doświadczeń najgorzej wypada śniadanie w Ameryce. Jeśli ktoś nie jest klientem hoteli, gdzie pokój kosztuje 500 dol. za noc, w tańszych czekają go grzanki z chleba o smaku styropianu, niepijalna lura zwana american coffee oraz smar, który trudno nazwać masłem. To wszystko podane na plastikowym talerzu (hotel w centrum Manhattanu za 180 dol.). Faj! Jeśli w Stanach nie mieszka się u znajomych, którzy wiedzą, gdzie kupić się jadalne pieczywo, to w sprawie śniadania trzeba być przygotowanym na najgorsze. ©©



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Legiony polskie

Ja wiedziałem, że tak będzie. Jak pisałem swój „Dziennik zarazy”, to zobaczyłem, że w przekazie oficjalnym poszukuje się bardziej długotrwałego trendu do podtrzymania paniki i obostrzeń. Wiadomo – każdy wirus się kiedyś da pokonać. I co wtedy? A praktycznie od początku widzę ochotę podmiiany tematu z epidemiologicznego na... klimatyczny. Tak. Teraz mamy co prawda okres przejściowej hybrydy, nie zabije nas klimat, ale – po zwalczeniu koronawirusa – przyjdą inne wirusy powodowane zmianami klimatycznymi. Zastanawiałem się, jak będzie wyglądał taki fikolek, i się doczekałem.

Mamy więc legionellę. Zaczęło się jak z koronawirusem – 160 chorych, 19 zgonów, głównie wśród osób starszych i wszystkie przy chorobach współistniejących. Zjawisko statystycznie pomijalne, co innego niż 200 tys. ponadnormatywnych zgonów, ale panika zawsze działa w drugą, medialną stronę. Połączenie klimatu z bakteryjnym zakażeniem wygląda mniej więcej tak: człowiek swą działalnością ociepla klimat, temperatura się podnosi, wzrastają opady i przychodzą do nas choroby afrykańskie, nieznane europejskiemu systemowi odpornościowemu. A więc na początku mamy grzech klimatyczny, na końcu – falę zakażeń. I tak to klimat wyładował w epidemiologii. A tu jest lepiej niż z COVID-19. To można było leczyć (choć wielu z państwa ten rewolucyjny pomysł nie

przyszedł do głowy), w końcu dobito go szczepionką. A z klimatem to nie tak prosto.

Po pierwsze, aby nie było śmiertelnej choroby legionistów, trzeba by złagodzić klimat na całej ziemi, a to zadanie na wieki, choć Unia uważa, że do 2030 r. da się zacząć, w 2025 r. zaś skończyć to szczytne dzieło (co prawda, tylko z Europą). Po drugie, no, szczepionki przecież, ludzie. No bo jak doczekać się oziębienia klimatu w ciągu tylu lat? Ano trzeba będzie zrobić okres przejściowy. Dopisze się po prostu szczepionkę na legionellę do obowiązkowego zestawu paszportu szczepionego, co to go Unia Europejska z WHO nam gotują. W końcu – inwestycje. Aby się pozbyć śmiertelnej bakterii, trzeba będzie wymienić instalacje wodne w co drugim domu.

Opozycja utyskuje, że przez PiS zmarło 19 osób, bo nie podpisał dyrektywy unijnej. Tak jakby podpisanie umów likwidowało bakterie. Polska postąpiła tak jak 20 innych krajów, które tej dyrektywy nie podpisały, bo jej zakres wymusza horrendalne koszty inwestycyjne. Dziś mamy dowód na konieczność takich zmian, pompowany medialnie. W okresie, w którym zmarło owe 19 osób, innych ponad 35 tys. osób zmarło głównie z powodu chorób cywilizacyjnych. O niezdrowym trybie życia, fatalnym odżywianiu się nic nie usłyszycie. Jednak o śmiertelnej wodzie w prysznicu będą pisać miesiącami. Taki mamy klimat. ©©



JAN POSPIESZAŃSKI

#WARTO

Zabierzcie mu mikrofon!

Taki okrzyk słyszałem, gdy jako licealista dorabiałem, grając na weselach, i nad ranem któryś z gości koniecznie chciał z naszym akompaniamentem zaśpiewać swoją ulubioną piosenkę.

Pierwszy raz chciałem tak krzyknąć po wypowiedzi Franciszka podczas wizyty w Kanadzie, kiedy przeproszał za „zbrodnie” misjonarzy popełnione na dzieciach indiańskich. Papieżowi, jak sam podkreślał, chodziło o nadużycia, do których zaliczył brak poszanowania dla tożsamości Indian i ich wartości duchowych. Z takiej perspektywy Franciszek w pierwszej kolejności powinien przeprosić za misję apostołów i męczenników Kościoła, którzy w tym braku poszanowania dla wartości duchowych pogaństwa byli tak zacierzawieni, gardzili nimi z taką arogancją, że chętnie umierali, by okazać swoją wyższość.

Franciszek, przepraszając w imieniu Kościoła za kolonizację i eksterminację ludności tubylczej, powtarza prostackie kłamstwa antyklerykalnej propagandy.

25 sierpnia zaś, mówiąc o dziedzictwie wielkiej, oświeconej Rosji, świętych władców Piotra I i Katarzyny, Franciszek nie tylko zignorował fakty, lecz także takimi tekstami urąga pamięci milionów ofiar wielkoruskiego imperializmu.

Potem, podczas wizyty w Mongolii, odnosząc się do historii gospodarzy, powiedział coś, co chyba przekracza

zdolności watykańskich służb prasowych, by odkręcić i wytłumaczyć, co artysta miał na myśli: „Ogarnianie przez wieki ziem tak odległych i zróżnicowanych uwypukliło niezwykłą zdolność waszych przodków do uznania doskonałości ludów, które tworzyły ogromne terytorium imperium, i do oddania ich na służbę wspólnego rozwoju [...] Dałby Bóg, żeby na ziemi spustoszonej przez nazbyt wiele konfliktów odtworzyły się, z poszanowaniem ustawodawstwa międzynarodowego, warunki tego, co kiedyś było pax mongolica, to jest brakiem konfliktów”.

Metody jednego z najbardziej krwiożerczych władców, podboje, które przeszły do historii jako przykłady nieludzkiego okrucieństwa, gdzie na podbitych terenach zostawały najczęściej stosy trupów i zgłiszcza, Franciszek nazywa „brakiem konfliktów” – czyli „pax mongolica”.

Tym razem mamy do czynienia z czymś bardziej wyrafinowanym niż kłamstwo. Zestawiając te wypowiedzi z innymi tekstami Franciszka, widzimy typową dla postmodernizmu postawę w traktowaniu rzeczywistości. Wszystko, co istnieje – fakty, dowody, historia, biologia – jest tylko „tekstem wymagającym interpretacji”. Rzeczywistość, którą znamy, można dowolnie przekształcić, zastępując ją wytworami językowymi. Dopiero teraz wiem, dlaczego Franciszek tak zachęca młodzież do marzeń, żeby byli poetami. ©©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Święta Rito, pomocy!

Do Sejmu wspólnie z chrześcijańskimi demokratami kandyduje AKTYWISZCZE, co jest pewnym zaskoczeniem. Stop. Na konferencji przy mikrofonie stanęła osobopostać, którą ja identyfikowałbym jako dużą kobietę, ale wtedy mógłbym kogoś urazić, więc przeproszę, no ale tak mi się wydawała. Stop. I rzekła: „San Kocoń, reprezentuję Ostrą Zieleń. Jestem aktywistą LGBT i aktywistą ekologicznym”. Stop. A stojący za nią Michał Szczerba posiadał minę: „Powiedźcie mi, jak zniknąć?”. Stop. Tymczasem marszałek Senatu Tomasz Grodzki, biorąc w obronę aktywistów, użył słów, które do niedawna wydawałyby się kuriozalne, lecz wszystko tak szybko się zmienia: „To, kim jest i jak się definiuje, nie ma żadnego znaczenia”. Stop. Panie Grodzki, to, kim się jest i jak się definiuje, ma podstawowe, powtórzone, podstawowe znaczenie. Stop.

W Belgii postępuje postęp. Stop. Jak donoszą media, 36-latką chora na raka zażyła sobie eutanazji. Stop. Do jej domu przyjechali pan lekarz i dwie pielęgniarki. Stop. Niestety, mieli za mało środków do wstrzyknięcia i pacjentka złożyła sobie samobójstwo. Stop. Więc uduszono ją poduszką. Stop. Cynicy twierdzą, że jak na cywilizację śmierci to wszystko dobrze się skończyło. Stop.

Izabela Leszczyna z PO udzieliła wywiadu dotyczącego przyszłości. Stop. „Czyli po wyborach koniec projektu

Centralnego Portu Komunikacyjnego?” – dopytywał dziennikarz. „Absolutnie tak” – odpowiedziała wiceprzewodnicząca PO. W sumie pytanie było zbędne, bo dawno Rafał Trzaskowski powiedział, że nie potrzebujemy tego lotniska, bo jest w Berlinie. Stop.

Sprawy potoczyły się w nienależnym kierunku. Stop. Arkadiusz Myrcha z PO poinformował w mediach społecznościowych: „Na Waszą prośbę stworzyliśmy generator. Sami możecie wpisywać, dla kogo Kaczyński jest największym zagrożeniem! Używajcie i podajecie dalej”. Stop. Pomysł wydawał się prosty, na czarnym tle część groźnej fotografii Kaczyńskiego i napis „Ja jestem zagrożeniem dla...” i tu każdy wielbiciel opozycji mógł wymieniać, uzupełniać do woli. Stop. Niestety, pomysłodawcy nie przewidzieli, że generator wpadnie w łapy okropnych PiS-owców, którzy uzupełniali sprzecznie z ideą i jeszcze się tym beczelnie chwaliли. Stop. Sytuacja wymknęła się spod kontroli i w świat poszły memy „Ja jestem zagrożeniem dla Ryżego, dla mafii śmieciowej, dla Nowaka, Baniaka, Karpińskiego, wnuków SB, UB, MO i PZPR”. Generator wyłączono, a Marcin Palade na X skomentował: „Jeszcze kilka takich pomysłów jak ten dzisiejszy z generatorem, a opozycji (jej wierzącej części) nie pozostanie do wyborów już nic innego, jak tylko modlitwa do św. Rity – patronki w sprawach beznadziejnych”. ©©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

DARIUSZ
WIEROMEJCZYK

SPODE ŁBA

Szekspir w psychiatriku

W czarnych barwach rysuje się przyszłość odbudowanego przed ćwierćwieczem szekspirowskiego teatru Globe. Jedną z najznajomitszych londyńskich scen w pełni już ogarnięta została rewolucyjnym zapałem ideologii „woke”. W ramach internetowych seminariów objaśniających widzom sekrety twórczości Williama Szekspira, organizowanych pod patronatem teatru, wzięto się za wyjaśnianie „Makbeta”. Uczniowie profesorowie odkryli w tym dramacie pokłady XVII-wiecznego rasizmu, z trudem tylko kamuflowanego opowieścią o żerającej duszę ambicji i niebezpiecznej pokusie władzy.

Kluczem do nowej interpretacji okazało się określenie Makbeta postacią „czarną”. Uczonym nie podoba się też stała obecność w dramacie atrybutów takich jak nietoperze, żuki, noc oraz ciemność. Zdaniem prof. Kathryn Vomero Santos są to elementy języka rasistowskiego, ukazujące uprzedzenia XVI-wiecznego dramaturga. Dzięki takim określeniom Szekspirovi udało się przemycić w swojej sztuce pokłady ideologii rasistowskiej, polegającej na rozgryzaniu przeciwności takich jak ciemność i biel, ciemność i jasność. Jawnym skandalem jest też wykorzystanie w Makbecie słów „Żyd”, „Maur” i „Turek”. „Nie zamierzam udawać, że Szekspir nie był rasistą –

twierdzi współprowadząca seminarium dramatopisarka Migdalia Cruz. – Był on rasistą, rasistą swoich czasów. Każdy w tamtych czasach był rasistą”.

Innym dylematem teatru Globe jest wyjątkowy brak wrażliwości angielskiego klasyka. Jego sztuki opatrywane są przez teatr tzw. trigger warnings – ostrzeżeniami dla wrażliwych. Widzowie szekspirowskiego dramatu „Juliusz Cezar” uprzedzani są o następujących zagrożeniach: „Wskazówki co do treści: opisy wojny, samouszkodzeń i samobójstw, sceniczne wykorzystanie krwi i broni, w tym noży”. Jeszcze ciekawsze jest „trigger warning” informujące widzów o zagrożeniach „Romea i Julii”: „Ta produkcja zawiera opisy samobójstw, sceny przemocy i odwołanie do użycia narkotyków. Są też w niej dźwiękowe efekty strzałów oraz wykorzystanie krwi na scenie. Jeśli zostałeś dotknięty przez problemy poruszane w przedstawieniu »Romea i Julii«, to poniżej znajdziesz kontakty do instytucji gotowych zaoferować ci poradę i wsparcie”. Informacjom tym towarzyszy lista organizacji oferujących terapię w razie kryzysu nerwowego.

Jeśli ostrzeżenia takie świadczą mogą cokolwiek o widzach angielskiego teatru, to szekspirowska Ofelia wydaje się przy nich wzorem psychicznej stabilności, zwiastującą woli życia i zdrowego rozsądku. ©©

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Tajemnice psychologii politycznej

WOJCIECH
ROSZKOWSKI

Na pytanie, dlaczego człowiek przyjmuje z wigorem stanowisko, które zawiera sprzeczności, godzi w logikę i dobry obyczaj, a nawet czasem w interes osobisty, psycholog Antoni Kępiński odpowiadał, że przyczyną jest brak wewnętrznej harmonii. „Im większe w człowieku wewnętrzne rozbieżności, poczucie własnej słabości, niepewności i lęku, tym większa tęsknota za czymś, co z powrotem scali, da pewność i wiarę w siebie”, a właściwie „nie tyle w siebie, ile w ideę, która własne »ja« zastępuje”. W przypadku ideologii totalitarnych mieliśmy wiele takich przykładów całkowitego zatracenia rozumu i sumienia. Jak jednak rozumieć dzisiejszą sytuację? Jaką ideologią kierują się ludzie, którzy w żywe oczy zaprzeczają faktom, a nawet własnym, zarejestrowanym dokładnie słowom? Którzy wykluczają rozmówców, zauważających tego rodzaju nadużycia, a nawet im ubliżają? Co kieruje tymi ludźmi? Dążenie do władzy jest tu czynnikiem ważnym, ale przecież dotyczy tylko elit, które są zdolne osiągnąć tę władzę. Jak rozumieć zwykłych katolików, uczęszczających co niedziela na Mszę Świętą i głoszących na rzeczników aborcji? Jak rozumieć ludzi uważających się za patriotów, którzy akceptują otwieranie granic przed migrantami łamiącymi prawo i zagrażającymi bezpieczeństwu Polski? Czy da się zrozumieć ludzi, którzy używają słowa „miłość”, a jednocześnie pogardzają innymi, którzy walczą z „mową nienawiści”, szerząc nienawiść i kłamstwo? O konieczności używania kłamstwa jako narzędzia politycznego mówią zresztą wprost.

Jak więc nazwać ideologię, która miałaby dziś, wedle słów Kępińskiego, „scalić” osobowość tych ludzi? Ideologia ta nie ma jeszcze nazwy. Można jednak spróbować nazwać niektóre jej elementy składowe.

Najbardziej widocznym elementem jest poczucie wyższości graniczące z pychą, która każe adwersarzy wykluczać z grona osób godnych rozmowy i pozbawiać godności. Innym elementem jest relatywizm poznawczy, czyli przekonanie, że dziś prawda jest gdzieś indziej niż wczoraj lub że w ogóle prawda zależy od tego, kto ją głosi. Jeszcze innym jest relatywizm moralny, czyli pogląd, że to, co robią jedni, można nazwać dobrem, a to samo, co czynią inni, jest złem. Zastanawia to, że rzecznicy tej mglistej ideologii unikają formułowania pozytywnych celów swej działalności. Odwołują się do wolności, ale nie wskazują żadnych pozytywnych celów korzystania z wolności. Walczą o prawa człowieka, ale nie uznają żadnej definicji natury człowieka. Jak ognia wystrzegają się rozważań o sensie życia. Najczęściej zajmują postawę na „nie”.

Innym przejawem owej mglistej ideologii jest przekonanie o sile oddziaływania grupowego, innymi słowy zaś – konformizm, który tylko na siłę można nazwać solidarnością. Choć przedstawiciele omawianej tendencji czują, że ich sprzymierzeńcy mówią czasem rzeczy głupie lub szkodliwe, unikają krytykowania się nawzajem. Czują jednak, że dopuszczenie zdrowego rozsądku do głosu może zaszkodzić skuteczności, toteż czujnie strzegą granic debaty i wątpliwości bez litości

wykluczają z grona „uczciwych” ludzi, jak to się niedawno stało z biednymi „symetrykami” na Campusie Polska. Prawda nie leży bowiem w ich mniemaniu pośrodku, lecz w całości należy do nich. Jaka to prawda? W tym sęk, ponieważ odwrócenie rzeczywistości do góry nogami nie jest skuteczne.

Można oczywiście, jak powiada ks. Paweł Rochman, stworzyć matematykę alternatywną, opartą na kłamliwych przesłankach i wadliwych metodach rozumowania, jednak maszyny i konstrukcje oparte na takich obliczeniach nie przyniosą efektów praktycznych. To samo dotyczy prawdy o rzeczywistości społecznej. Można uznawać za prawdę o świecie i ludzkiej kondycji słowa kompletnie irracjonalne, ale w praktyce okażą się one zawsze szkodliwe. Można twierdzić, że człowiek zagraża przyrodzie, więc należy przed nim bronić zwierzęta, tyle że zwierzęta zagrażają roślinom, a rośliny – przyrodzie nieożywionej. Czyżby najwyższą formą bytu był więc kamień?

Jeśli więc walczy się z bezpieczeństwem energetycznym, obroną granic i ochroną własności publicznej, jeśli posiadanie dzieci to „udręka”, jeśli uznawać wolność rzekomych transwestytów do korzystania z damskich łazienek kosztem intymności dyskryminowanych w ten sposób kobiet, jeśli w ogóle walczy się z zasadami korzystnymi dla ludzi, to czyż niewłaściwe byłoby nazwanie tej ideologii nihilizmem? Ideologia taka nie pomoże scalić wadliwych osobowości. Ona je do końca zniszczy. ©

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Czym jest debata? Obecnie jest cyrkiem, oszustwem, nie istnieje. Kandydaci nie debatują nigdy, a debaty wyborcze to zwykły wywiad prowadzony z kilkoma osobami naraz.

Czym jest debata prawdziwa, widać na ringu bokserским – jeden na jednego i debatują, który mocniejszy, sprawniejszy, szybszy, mądrzejszy, bardziej skuteczny. Tłuką się samodzielnie. Jeden na jednego. Trener czeka w narożniku, czasem coś krzyknie z boku i tyle jego pomocy. Przed pojedynkiem istnieją treningi i sztab opracowujący strategię, sztab, który studiował wcześniejsze walki twojego przeciwnika i rozpracował go dla ciebie, na ile się dało, jednak ostatecznie na ringu jesteś sam na sam z przeciwnikiem. To jest debata!

Dzisiejsze „debata” kandydatów to oszustwo, pozory. Pytania zadaje dziennikarz moderator. A na cholerę on tu? I po co ten tykający zegar i szkolny dzwonek, że twój czas się skończył? W przyszłości obecny kandydat może zostać premierem. Czy gdy on kiedyś będzie rozmawiał z Putinem, też będzie jakiś moderator? Czy będzie dzwonek nakazujący przerwać myśl w pół słowa? Będziesz, człowieku, sam na sam z wrogo nastawioną bestią! W narożniku będziesz miał jakichś swoich doradców, ale ostatecznie decyzję, co powiedzieć, a czego nie, podejmiesz sam. Czy walczyć Putina mocnym argumentem czy zrobić unik? Wszystko sam na sam. A co zrobisz, gdy Putin zaatakuje? Gdy wyprowadzi cios, którego się nie spodziewałeś? Co zrobisz, gdy wyprowadzi cios



FOT. W. CEJROWSKI / LUDY JAROSŁAW SIOŚNICKI

nieczysty? Przytulisz się do niego, jak Tusk w Smoleńsku, czy odparujesz jak Ronald Reagan odparował Gorbaczowowi?

Debata prawdziwa są po to, żebym ja się dowiedział dziś, jacy będą Tusk czy Kaczyński, gdy ich ktoś zacznie prowokować lub straszyć, lub przyprze do muru, lub zagra nieczysto. Jak zareagują w stresie? Jak zareagują na chamstwo? Na kłamstwa, obelgi? Propozycje Kaczyńskiego, że „zgodzę się na debatę z Tuskiem pod warunkiem, że nie będzie poruszany temat...”, to oszustwo wobec wyborców. Chcesz mojego głosu, człowieku? To ja chcę, żebyś mi pokazał, że sobie poradzisz z KAŻDYM, nawet z nieuczciwym chamem, który wali niżej pasa. Bo do radzenia sobie z kulturalnymi pudelkami cię nie potrzebuję.

Ronald Reagan to był kowboj i aktor. Umiął zagrać złość lub kompletny spokój (niezależnie od tego, czy był naprawdę spokojny czy wkurzony); umiał też wstać i kopnąć w stolik, gdy akurat tego wymagały okoliczności. Musisz wiedzieć, kiedy wstać i wyjść. Gdy dalsza rozmowa nie ma sensu, nie możesz czekać na zegar, na dzwonek, na planowe „dokończenie kalendarza rozmów”. Rozmowy kończy się wtedy, gdy skończyć trzeba, bo nie ma już nic więcej do powiedzenia.

Rozmowa Reagan-Gorbaczow w Rejkiawiku (1986) skończyła się właśnie tak – Reagan wstał z wyraźną złością

i wyszedł, a ci wszyscy doradcy i eksperci, moderatorzy i dyplomaci pochowani po kątach uważali, że to będzie ostatnia rozmowa tych dwóch panów i zacznie się eskalacja zimnej wojny. A to był zimnej wojny koniec.

Gdy Reagan obejmował urząd prezydenta USA, zimna wojna była tak zimna jak tylko można. Gdy opuszczał urząd, zimnej wojny nie było.

Reagan z Gorbaczowem spotykali się kilka razy. Na jednym z tych spotkań Reagan, siadając do stolika, zdjął marynarkę i podwinął rękawy koszuli. Gorbaczow odebrał to z lekkim zdziwieniem, ale jako gest przyjaźni – propozycja rozmowy w luźniejszym tonie. Reagan wyprowadził go z błędu: „Wie pan, czemu podwijam rękawy? Bo kiedy w Ameryce godzimy się grać w karty ze znanym szulerem, obie strony podwijają rękawy. Chcę, żeby pan wiedział, co o panu myślę, zanim zaczniemy rozmawiać”.

Gdy brak debaty w telewizji, brak jej również na spotkaniach z wyborcami, bo wyborcy nie są nauczeni debatować z kandydatem. Kaczyński miał kandydować z Warszawy, gdzie mieszka od dziesięcioleci. To jego miasto i jego okręg wyborczy. Ale gdy istnieją listy partyjne, to już się żadnej partii nie opłaca wystawiać swojego silnego kandydata przeciw innemu silnemu kandydatowi opozycji. Gdy istnieją listy wyborcze, zaczyna się opłacać wystawiać słabego kandydata przeciwko

mocnemu. Wówczas debata nie istnieje, istnieje za to gwarancja obsadzenia tych samych stołków co zawsze przez te same postaci co zawsze. Każdej partii zaczyna zależeć na tym, aby jej kandydat nie konfrontował się z mocnym kandydatem przeciwnika. Wszystkim zależy, by mocnego wystawić tam, gdzie nasz przeciwnik wystawia słabszego. Słabsi idą z definicji na straty, mocniejsi nie muszą z nikim walczyć, bo mają zagwarantowane wejście do Sejmu.

Kaczyński kandyduje w Kielcach? Pytanie, które bym mu zadał: CO PAN TUTAJ ROBI? I kolejne: Ile czasu pan spędził w Kielcach? Co pan wie o Kielcach? Czy ma pan w Kielcach krewnych, kochankę, kota, udział w schronisku dla kotów lub COKOLWIEK?

Kaczyński na to pytanie odpowiedział tak: „Z punktu widzenia interesów partii, a im się muszą podporządkować, to jest lepsze, bardziej efektywne” – powiedział to w Sokołowie Podlaskim pytany przez dziennikarkę Polsat News, dlaczego nie startuje z Warszawy.

Uuu... Czyli Jarosław Kaczyński nie reprezentuje ani siebie, ani kieleckich wyborców, ani nawet interesów Polski, a jedynie interes swojej partii. I nie jest samodzielny, niezależny, niezawisły, tylko jest PODPORZĄDKOWANY interesom swojej partii, którym „musi się podporządkować”. No to WON.

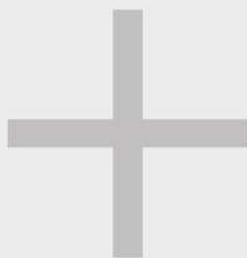
I Kaczyński to jedynie przykład, bo każdy kandydat każdej partii robi to samo – reprezentuje interes swojej partii, a nie interes wyborców. Interes partii, a nie okręgu wyborczego, z którego kandyduje. Interesy wyborców nie istnieją, istnieją wyłącznie interesy partyjne. W tej sytuacji mówię: WSZYSCY WON. ©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY” I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”



~~1178~~ Zł

**W PREZENCIE
KSIĄŻKA**

MICHAŁ CHODORKOWSKI
MARTIN SIXSMITH:

„ROSYJSKA ZAGWOZDKA. CO ZROBIĆ
Z UROJONYM IMPERIUM?”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

368,00 Zł

OSZCZĘDNOŚĆ 810 Zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużemy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI | E-MAIL: prenumerata@mpg.pl | TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) | INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 1547176ac7

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski

DO
RZECZY

HISTORIA
RZECZY

FUNDACJA
STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI

2023

XI EDYCJA

WYJĄTKOWYCH NAGRÓD W KATEGORIACH:

MECENAS | INSTYTUCJA | TWÓRCA

JUŻ WKRÓTCE

WIĘCEJ INFORMACJI: [DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI](https://dorzeczy.pl/straznik-pamieci)

PARTNERZY

Dofinansowano ze środków Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej
im. Romana Dmowskiego i Ignacego Paderewskiego w ramach Funduszu Patriotycznego



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego



INSTYTUT DZIEDZICTWA
MYŚLI NARODOWEJ
im. Romana Dmowskiego
i Ignacego J. Paderewskiego



FUNDUSZ
PATRIOTYCZNY